

56

ISSN 2449-5328

GALERIA

CZĘSTOCHOWSKI MAGAZYN LITERACKI
Towarzystwa Galeria Literacka

październik – grudzień 2020



poezja • proza • szkice • recenzje • eseje • felietony • humoreski • fraszki • satyra



Daniel Pielucha, „Centaur”, 130/110, 2016 r.

SŁOWO OD REDAKCJI

Bogdan Knop, *Drugie nadejście* 3

WYDARZENIA

Kalendarium: październik-grudzień 2020 r. 4

POEZJA – DEBIUT

Anna Kielbasińska, *Możesz przyjść bez pukania (wybór)* 6

POEZJA

Beata Brodowicz-Szymanek, *Wiersze na listopad* 9

Tadeusz Luterek, *Wypominki poetyckie* 13

Anna Jędryka, *Wspomnienia* 15

Zdzisław Opałko, *Dopóki myśl wolna* 17

Jacek Gierasinski, *Z wierszy najnowszych* 18

Alicja Nowak, *Kształt wiersza* 19

Janusz Strojec, *Wigilie* 21

WŚRÓD WIERSZY I POETÓW. DIARIUSZ CZĘSTOCHOWSKI

Arkadiusz Frania, *Poezja wrzątku. O wierszach Jacka Gierasinskiego* 23

PROZA – DEBIUT W GALERII

Ida Jadwiga Łubińska, *Agnieszka Oknińska* 34

Agnieszka Oknińska, *Różaniec* 35

PROZA

Rafał Socha, *Spóźniony rzut (fragment powieści)* 51

Elżbieta Jeziorowska-Wróbel, *Siedem złotych czas* 57

Janusz Jano Mielczarek, *Człowiek z innej dzielnicy snów* 61

Małgorzata Franc, *Sezon na czereśnie* 65

NA SZTALUGACH

Daniel Pielucha 67

Marian Panek, *Daniel Pielucha – jego twórczość malarska w kontekście „nadrealizmu polskiego”, pojęcia definiowanego przez samego artystę* 68

SZKICE, ESEJE, RECENZJE

Arkadiusz Frania, *Z przykładów przekładu:*

poezja łotewska Olgi Anny Wiewióry 72

Konrad Ludwicki, *O „Osobowościach i osobliwościach...”*

Arkadiusza Frania i o osobie ich autora 81

Maciej Rudlicki, *Nasze pisanie* 84

CZĘSTOCHOWA Publikacja dofinansowana ze środków budżetu Gminy Miasta Częstochowy w ramach otwartego konkursu ofert na realizację w 2020 roku zadań publicznych z zakresu kultury i sztuki, dziedzictwa narodowego oraz upowszechniania kultury.

październik – grudzień 2020

Tomasz „Aztenty” Barański, <i>Bł. Euzebiusz – założyciel Zakonu Paulinów</i> .	86
Iwona Skrzypczyk-Gałkowska, <i>Refleksje o przekładzie literackim i elementy obcej kultury w twórczości Ludmiły Marjańskiej (część druga)</i> . . .	88
Bogdan Knop, <i>Miasto pomiędzy początkiem i końcem</i>	92
Z NOTATNIKA MAŁGORZATY N-K	
Małgorzata Nowakowska-Karczewska, <i>Namiętności</i>	94
NOTY O KSIĄŻKACH	
Noty o książkach	
Halina Poświatowska, <i>Wiersze. Gedichte. Cmuxu</i>	105
Małgorzata Nowakowska-Karczewska, <i>Pasi koniki upiórkowane</i>	105
Rafał Socha, <i>Spóźniony zrzut</i>	105
ZAPISKI GALERJANA	
Jan Ciesielski, <i>Świąteczne refleksje</i>	106
NOTY O AUTORACH	
Anna Kiełbasińska	8
Agnieszka Oknińska	34
Daniel Pielucha	67

■ Na okładce: Daniel Pielucha, „Ostatnia wieczerza”, 150/250, 2015 r.

DRUGIE NADEJŚCIE

Boże Narodzenie to czas choinki, składania życzeń, śpiewania kolęd i prezentów. Gdzieś w tym zgiełku świątecznym zanika refleksja, że to pamiątka przyjścia. Pierwszego przyjścia. Ale przecież tym, co wierzą, zapowiedziano jeszcze drugie przyjście, już na koniec. To drugie przyjście kojarzy się z nadzieją, tak jakby było powrotem czegoś, co wspominamy z rozrzewnieniem albo z postanowieniem poprawy, obietnicą niepopelniania dawnych błędów lub grzechów. Ja jednak wybrałem na ten trudny czas lęku i nadziei wiersz Williama Butlera Yeatsa:

Drugie przyjście

(...)

*Tak, objawienie jakieś się przybliża;
Tak, Drugie Przyjście chyba się przybliża.
Drugie Przyjście! Zaledwie wyrzekłem te słowa,
Ogromny obraz rodem ze Spiritus Mundi
Wzrok mój poraża: gdzieś w piaskach pustyni
Kształt o lwim cielsku i człowieczej głowie,
Z okiem jak słońce pustym, bezlitosnym,
Dźwiga powolne łapy, a wokół krąży
Pustynnych ptaków rozdrażnione cienie.
Znów mrok zapada; lecz teraz już wiem,
Że dwadzieścia stuleci kamiennego snu
Rozkołysała w koszmar dziecinna kolebka –
I cóż za bestia, której czas wreszcie powraca,
Pełźnie w stronę Betlejem, by tam się narodzić?*
(przekład Stanisław Barańczak)

Wspomniałem ten wiersz, bo jest tak bardzo odległy od nastroju beztroskich Świąt. W czasie nawracającej pandemii nie będzie beztroskich Świąt, a okres adwentu przed Bożym Narodzeniem nie będzie radosnym oczekiwaniem. W zasięgu naszych możliwości jest, aby w tym czasie najlepsi nie tracili wszelkiej wiary, gdy w najgorszych kipi żarliwa i porywcza moc. Yeats pisał *Drugie przyjście* w okresie Wielkiej Wojny (Pierwszej Światowej),

może i w czasie obecnym jego słowa coś nam powiedzą.

W „Galerii” dominuje ton poważny. W poezji namysł nad rzeczywistością, nad rolą i kształtem poezji, literackie wypominki, wspomnienia, w tym także ubiegłych Wigilii, wiersze najnowsze. W prozie twórcy znani z fragmentami większych całości oraz z krótkimi opowiadaniem. Nie zabrakło literackich debiutów: poetyckiego Anny Kielbasińskiej i prozatorskiego częstochowianki Agnieszki Oknińskiej. Jest też sporo recenzji i krytycznej analizy twórczości poetyckiej i przekładowej. Czytelny jest rys metaliteracki wielu tekstów. I jakby na przekór rzeczywistości zmysłowe malarstwo Daniela Pieluchy, zaprezentowane przez Mariana Panka, opowieść o namiętnościach w literaturze oraz ironiczny komentarz GalerJana. Dwie ma pozycjami odnotowujemy działalność wydawniczą Towarzystwa: trójjęzycznym wydaniem *Wierszy* Haliny Poświatowskiej i zebranymi esejami Małgorzaty Nowakowskiej-Karczewskiej.

Życzę wszystkim, by Boże Narodzenie przyniosło nam nadzieję, dało siłę, wiarę i byśmy zachowali zdrowie, również w Nowym Roku.

Bogdan Knop



KALENDARIUM październik – grudzień 2020



PAŹDZIERNIK

- 2.10.** – wernisaż wystawy malarstwa Tomasza Lubaszki „Moja rzeka...”
– Pawilon Wystawowy Muzeum Częstochowskiego;
- 4.10.** – Finał Nagrody Literackiej „Nike”
– Radek Rak został nagrodzony za powieść *Baśń o wężowym sercu albo wtóre słowo o Jakobie Szeli*;
- 4.10.** – zmarł Henryk Boukołowski, aktor;
- 5.10.** – otwarcie wystawy exlibrisów ze zbiorów Leszka Grochulskiego „800-lecie dziejów pisanych Częstochowy” – Biblioteka Publiczna;
- 8.10.** – Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury trzymała amerykańska poetka Louise Glück;
- 10.10.** – tenisistka polska Iga Świątek wygrała French Open 2020 w grze pojedynczej;
- 10.11.** – wirtualne spotkanie z dr. Łukaszem Pabichem i kuratorskie oprowadzanie po Muzeum Górnictwa Rud Żelaza – Muzeum Częstochowskie;
- 11.10.** – 53. rocznica śmierci poetki Haliny Poświatowskiej;
- 15.10.** – zmarł Wiesław Brągoszewski, prezydent Częstochowy w latach 1987-90;
- 17.10.** – zmarł Juliusz Łuciuk, kompozytor;

- 17.10.** – 15. rocznica śmierci poetki Ludmiły Marjańskiej;
- 17.10.** – objęcie Częstochowy „czerwoną strefą” epidemiczną;
- 17.10.** – wernisaż on-line VIII Międzynarodowego Salonu Fotografii Artystycznej Lekarzy PhotoArt-Medica 2020 – Muzeum Częstochowskie, Ratusz;
- 19.10.** – zmarł Wojciech Pszoniak, aktor;
- 20.10.** – zmarł Dariusz Gnatowski, aktor;
- 24.10.** – cały kraj objęto „czerwoną strefą” epidemiczną;
- 29.10.** – udostępnienie wystawy „Podróż na Wschód – Wielokulturowość” – Muzeum Częstochowskie, Galeria Dobrej Sztuki;
- 30.10.** – zmarła Agnieszka Fatyga, aktorka;
- 30.10.** – „Inspiracja, wątek, warsztat... Poznaj kolekcję sztuki” – wirtualne spotkanie z Katarzyną Sucharkiewicz – Muzeum Częstochowskie;
- 31.10.** – zmarł Sean Connery, aktor.

LISTOPAD

- 1.11.** – zmarł Janusz Szuber, poeta;
- 15.11.** – zmarł Witold Sadowy, aktor;
- 20.11.** – udostępnienie w Internecie wystawy 10. Triennale Sztuki Sacrum „Świętość natury?” – Miejska Galeria Sztuki”

- 21.11.** – „(Nie)Wprost o Wolności i Solidarności. Linoryty Leszka Sobockiego w zbiorach Muzeum Częstochowskiego” – wirtualne spotkanie z Agnieszką Świerzy w ramach cyklu „Wokół Kolekcji” i 115-lecia Muzeum Częstochowskiego;
- 25.11.** – zmarł Diego Maradona, piłkarz;
- 26.11.** – zmarł prof. Marcin Król, filozof.

GRUDZIEŃ

- 7.12.** – zmarła Katarzyna Łaniewska, aktorka;
- 9.12.** – udostępnienie wystawy mandali Magdaleny Uchrońskiej – online i w oknach Galerii „Zwiastun” Miejskiej Galerii Sztuki;
- 9.12.** – zmarł Henryk Bardijewski, pisarz;
- 11.12.** – Wirtualne spotkanie z Anną Żelechowską – komisarzem XXXIX Dorocznej Wystawy Stowarzyszenia Plastyków im. Jerzego Dudy-Gracza w Częstochowie – Muzeum Częstochowskie;
- 11.12.** – koncert kameralny „Na okrągło orkiestra!” – profil YT Filharmonii Częstochowskiej;
- 14.12.** – zmarł Piotr Machalica, aktor, dyrektor artystyczny Teatru im. Adama Mickiewicza w Częstochowie w latach 2006-2018;
- 14.12.** – zmarła Hanna Stankówna, aktorka;
- 20.12.** – zmarł Jerzy Filip Sztuka, artysta plastyk;
- 22.12.** – „Przybieżeli do Betlejem...” „Szopki bożonarodzeniowe w kolekcji Muzeum Częstochowskiego, wirtualne spotkanie z Agnieszką Ciuk-Koćwin – Muzeum Częstochowskie;
- 26.12.** – 97. rocznica urodzin Ludmiły Marjańskiej;
- 29.12.** – zmarł Pierre Cardin, projektant mody;
- 31.12.** – zmarł o. Maciej Zięba, dominikanin, działacz opozycji demokratycznej.

Barbara Strzelbicka



Anna Kiełbasińska

MOŻESZ PRZYJŚĆ BEZ PUKANIA (WYBÓR)

Przyjaciół

Możesz przyjść bez pukania.
Wystarczy jedno spojrzenie,
A zrozumieć więcej niż mogę odczytać z własnych myśli,
Rozwianych na cztery strony świata.
Mówią, że istnieją więzy przyjaźni –
Nas połączyła miłość do rzeczy,
Dotkniętych magią zrozumienia.

Kocham ten słodki materializm
Subtelnych istot,
Złączonych Duszą Wszechświata.
Klątwą przenikliwości.
Delikatną ironią spływającą beczelnie
W najmniej spodziewanych momentach.

...Wystarczy jedno spojrzenie.

Zwę Cię czasem Nitką W Sercu,
Bo splątałeś moją gałąź życia
Zupełnie bez pytania.
Nie bacząc na utarte mądrości
Oziębłych buntowników.

Więc za Tobą podążam, Ty przy mnie.
Niczym pielgrzymi wędrujący do Świętych Źródeł.
To Ciebie strzeże załoga mojego Anioła Stróża,
Bo przypominasz modlitwę, gdy zapominam pacierza
I nasłuchujesz dźwięku kroków,
Gdy zbliża się niebezpieczeństwo.

Możesz przyjść bez pukania.
Wystarczy jedno spojrzenie.
Dlatego nie trzaskaj więcej drzwiami, by powiedzieć – „Kocham”.
Znam tę rozkoszną grę słów i gestów.
Ciche przystanki obojętności,
Za które mówię – „Przepraszam”.

Lekcja historii

Przyglądała się Klara Adolfowi z bliska,
 Gdy się mlekiem pomazał, gaworzył pacierze.
 Gdy go kołysała drewniana kołyska,
 Kiedy kreślił cyfry na szarym papierze.
 Dumą ja napawał ten mały artysta,
 Gdy na liściach suchych, w mozaice kolorów,
 Układał Adolfik muszki na kamykach,
 Wydarte ze szponów pajęczych potworów.
 Bajdurzył pocieszenie, gdy już zdania składał,
 Że zbije krewnego, co pił wodę z kranu
 I że przy obiedzie przykać nie wypada,
 Takie są zasady wielkich mężów stanu...
 – Kochana mateńko! – zwykł wołać radośnie –
 Pójdziemy w góry, zobaczyć sokoły?
 – Pójdziemy, Adolfie, przyjrzymy się wiośnie,
 Ty kochasz przyrodę jak niebo anioły.

*

Bywało nader często, po latach w operze,
 Że ten podmuch wiatru wychwytywał w dźwiękach.
 Szaro-białe chmury kreślił na papierze,
 Jak mu nostalgicznie dyktowała ręka.
 A gdy przyszło lato, z rulonem pod pachą
 Mknął schodami w górę i w dół jak małpa w dziczy.
 Wraz z latem bezpowrotnie mijała nadzieja

I perłowe pręgi, których nikt nie liczył.
 To nie włóczypędzlów chciała Akademia,
 Nie bajkopisarzy z piórem w kałamarzu.
 Upadli malarze są jak epidemia.
 – Gdzie jesteś, mój Boże, panie gospodarzu?

*

Tak przez wiosen dzieci, od pamiętnej jesieni
 Szemrały potoki o chłopaku w bieli,
 Który to historii nigdy nie chciał zmienić,
 Lecz tylko artystów, którzy go nie chcieli.

Na dokładkę

Dieta i filozofia.
 Dwie znoszące się przypowieści –
 Jak w dialektycznym przesądzie.
 Drażą w sobie i zwalczają się nawzajem,
 Niczym przepis na befszytk z ziemniakiem
 I recepta na zapchane aorty.
 Obie mają tendencję do najprzeróżniejszych mutacji
 I fluktuacji w obrębie zdrowego rozsądku.
 Po wiekach wzajemnego docierania –
 Stają się jednym.
 Obie żyją w potencji,
 By stać się dojrzałym owocem.
 Reprezentują idealną jakość.
 Są inteligibilne,
 Ponadczasowe,
 Lecz zmienne.
 Dają się wystawić na ławę
 I drzemać,
 Póki ktoś ich nie wdroy w życie
 I wzbogaci
 Słodką dygresją,
 Fruktozowymi ekstraktami dodającymi mocy.
 Słodczyą płynącą z pasji
 I obowiązku.
 Trudno dostrzec ten moment,
 W którym galareta gęstnieje
 I staje się twarda jak filozoficzny kamień.
 Kiedy filozofia staje się dietą,
 A dieta filozofią.
 Kiedy jako jedność,
 Zostawiając ciało pod ziemią –
 Wchodzą na wyższy stopień.
 Do miejsca na kształt świata platońskich idei,
 By znaleźć idealne jabłko,
 Na które każdy się skusi
 I do którego łatwo dopisać teorię.



Anna Kielbańska, fotografia ze zbiorów prywatnych

Anna Kielbańska urodziła się i dorastała w Krakowie. W 2015 roku ukończyła studia filozoficzne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Od 2016 roku pracuje poza granicami kraju jako animator kultury – aktywizując lokalną społeczność Kornwalii (hrabstwo południowo-zachodniej Anglii). Autorka również aktywnie uczestniczy w życiu kulturalnym i artystycznym Krakowa. Miłośniczka fotografii, poezji młodopolskiej oraz współczesnej literatury bałkańskiej. Przemijanie i pełnia życia to dwa przeplatające się wątki jej twórczości, której istotnym elementem stało się podróżowanie.

Beata Brodowicz-Szymanek

WIERSE NA LISTOPAD

Przyjaciele

Maćkowi Kędziorze

Najbardziej boli
kiedy odchodzą
gasną razem
z iskierką w oczach
Nigdy z własnej woli...
Zapamiętam
każdy dzień
każdą chwilę
daną mi po to
żeby życie
skończyło się
SNEM –
jak idziemy
znów razem
piechotą...

(listopad 2009 r.)

Kiedy odejdziemy
na wieczne wakacje
do nieba
tylko anioł wiosenny
tylko anioł letni
będzie dla nas śpiewał

a my tak mocno
ziemscy –
kosmiczni szaleńcy
na ziemi będziemy
w swoim żywiole
dalej natchnieniem
szaleni...

Kiedy odejdziemy
na wieczne wakacje
do nieba
tylko anioł wiosenny
tylko anioł letni
będzie dla nas śpiewał

(29.06.2010 r.)

Artyści

Nie zdziwi nikogo
gdyby z wyboru
mądrzy
zdolni i czyści
siedzieli w czyścicu
wszyscy artyści
Filozofii przecież
w życia materii
szukali – nie nieba...

Czy lepszego
Boga im trzeba?

(1.03.2011 r.)

Krzysiu Walczakowi

Nie obudził się
Przyjaciele dzwonili do siebie
Mówili – odszedł od nas
dzisiaj rano...

Wieczorem Krzyś rozlał
na niebie atrament
i grał cichutko ballady
zanim usłyszał –

AMEN

(23.09.2013 r.)

Monice W.

Otworzyło się niebo
kilka kropli deszczu
spadło na chodnik
zapowiadając
ostatnie pożegnanie

Wspomnienia
jak zatrzymana
w kadrze klisza

Córeczko moja
córuniu kochana

CISZA

(29.09.2012 r.)

Mojej Mamie

Czas bywa psychopatycznym mordercą
z premedytacją znęca się
nad każdym fragmentem ciała
dławi umysł zamętem
oddziela duszę od Boga
i krzyczy bezbronnym szeptem
– Już nie potrafię się modlić...

(24.05.2014 r.)

Rodzicom

Mieli dom pod gwiazdami
 rozanielone twarze
 i ciała niedojrzałej
 brzoskwini mocno
 zlepione sercem pestki
 Nie dało się tego
 ani przekroić
 ani rozerwać na pół
 Miłość
 Dojrzewała zatopiona
 w marzeniach
 radościach i zmaganiach
 niesionych w koszyku
 codziennego życia...

Tego lata pękła –
 jedna połowa
 w niebie ugrzęzła
 druga długo jeszcze
 nosić będzie
 nierozzerwalną
 pestkę

(17.08.2014 r.)

Mojemu Tacie

Przy cmentarzu
 już astrzy sprzedają –
 jesienne kwiaty
 do samotnych przemyśleń
 składanych w monologu
 cichej modlitwy
 nad grobem ukochanej...
 Anioł Stróż zdaje się
 nie pamiętać o przeprawie
 na drugą stronę
 Pilnuje światła
 by nie gasło w lampkach
 robi porządki
 w ciągle żywych kwiatach
 skrzydłami ścieżkę
 omiata
 jakby czekał na jej powrót
 z dalekiej podróży

(17.08.2014 r.)

Portret niejednoznaczny

Małgosi Kozakowskiej

Twarz zakryta kapeluszem
ciekawszym w formie
dla wysublimowanego
odbiorcy
Piersi nie zmieniły kształtu
od czasów pierwotnych
figurek Bogini Płodności
Ciało na wieki
zaplątane bandażem
chce zachować doczesność

Spłonie czy przetrwa
w sarkofagu fotografii...

(3.01.2016 r.)



Fotografia Małgorzaty Kozakowskiej

List do Marysi Ogłazy

Siedziałaś przy sztaludze
nad kolejnym obrazem
zatracona w tworzeniu
zamyślona nad ważnym
szczegółem co nie mógł
przegapić ani chwili
Nie jadłaś nic zapewne
nie wzięłaś insuliny

Pomyślałaś –
Oni już po tamtej stronie
podbijają kosmiczne
galerie wszechświata
Nie mogą się doczekać
Nie opuszczą żadnego
wernisażu

Zajrzałaś tam na moment
Chciałaś o coś zapytać
i poniosło...

(1.12.2018 r., popr. 13.10.2020 r.)

Oczy włączone
do regresu widzenia
Obrazy na ścianach
nie stanowią już
dzieł do głębszych
przemyśleń
Rzeźby i bibeloty –
niemi domownicy
Bohaterowie książek
przemawiają innych
ciekawym życiem
Klamoty –
przeszkadzają
w zbieraniu
dobrych myśli...
czy może tylko
przyśniła się
SAMOTNOŚĆ

(6.10.2020 r.)

Tadeusz Luterek

WYPOMINKI POETYCKIE

WIELKIE GONITWY

*Wsiadajcie, madonny, madonny,
Do bryk sześciokonnych ...ściokonnych!*
Miron Białoszewski

Ten obraz bliski fantazji, Mironie,
w mieszkaniu teatr, a w teatrze konie,

pędzą nad ziemią, wielkie ich gonitwy,
jakby staczały literackie bitwy,

w tle zaś madonny, kręcą karuzele,
lecz mówić o nich nie mogę za wiele,

a po spektaklu poetów rozmowy
i całe w piórach pulsujące głowy,

słowa wędrówki i rzeczy obroty,
jawne wyznania, duszy wszechkęsknoty.

POWTARZAJĄCA SIĘ PIOSENKA

*Nie rozdziobią nas kruki, ni wrony, ni nic!
Nie rozszarpią na sztuki Poezji wściekle kły!*
Edward Stachura

Nie rozdziobią nas, Edwardzie, ptaki zła
i wnętrzości nie wyprują – jak los da,

choć przeciwne burze, sztormy biją w nas,
nie czujemy się bezbronni w porze gwiazd,

siłą naszą słowa tarcza, słowa miecz,
napiszemy też niejedną piękną rzecz,

rozświetlimy blaskiem oczy, tam gdzie cień
i powróci dzień uroczy, widny dzień,

opróżnimy wspólnie szklankę, może dwie,
uwolnimy wyobraźnię, co we śnie.

ZWIĄZKI UCZUCIOWE

*Kto by pomyślał, że mnie rymy wiozą,
Że sobie konno usiadłem na pierwszym.*
Juliusz Słowacki

Mówisz, Juliuszu, że jedziesz na rymie,
nieskromnie powiem, sam podobnie czynię,

czy konna jazda na nim mnie uwodzi?
nie wiem doprawdy, czy tu o to chodzi,

o gesty, pozy i resentymenty,
koturny, wzrosty, duchowe prezenty,

czy raczej brzmienia zgodność i znaczenie,
prawa reguły, starań uświęcenie,

a może życia rytm, co się powtarza,
prowadzi strofę, jak wieszcz, do ołtarza.

ZUCHWAŁE CZASY

Zuchwałe czasy obwieszczasz, Cyprianie,
gdy wyobraźnia nad religią stanie,

myśli ogarnie i tak rozprzestrzeni,
że zapanuje nad umysłem ziemi,

wielu odpowie, że to piękne słowa,
do jakich zdolna poetycka mowa,

a jednak złuda pole swe poszerza
i gdzie nie spojrzysz, tam fantazji wieża,

jej nieomyślność, absolut, mądrości,
lecz jakże duży stopień niepewności.

ZATARTE RÓŻNICE

Szlachetni, podli, prości, czy mężowie
tacy, o których słowa nikt nie powie.

Mocni i słabi, ci tracący ducha,
głos podnoszący, choć nikt ich nie słucha.

Chwiejni, krocący bez trudu po ziemi,
słyszający wiele, głusi oraz niemi.

Równi, skrzywdzeni, niedostosowani,
zwykle, przez innych, łatwo naginani.

Nieporównanie bliscy i dalecy,
wypominani przy płomyku świecy.

Anna Jędryka

WSPOMNIENIA

WRACAJĄ WSPOMNIENIA

Wracają wspomnienia jak echo z oddali,
co wiatr swoim szumem zagłusza,
a serce tęskniące w milczeniu się żali
i w przeszłość odległą wyrusza.

Już tyle minęło lat długich, dalekich,
co zatrzeć pragnęły wspomnienia,
lecz przecież ze źródeł bierze się nurt rzeki,
choć płynąc bieg często swój zmienia.

I wijąc się wstęgą, kamienie porywa
i w nowe obrasta wciąż wody,
i pluszcze o brzegi, a w głębi swej skrywa
wschód słońca i słońca zachody.

A życie jak rzeka – wciąż płynie i płynie
unosząc tajemnic niemało,
lecz wiernie pamięta o każdej godzinie,
gdy dzieckiem się jeszcze było.

Te lata bez troskie są żywym wspomnieniem
i budzą na nowo sny dawne,
choć czasem w pamięci już kładą się cie-
niem –
to wszystko się działo naprawdę.

24.09.2020 r.

ZAPACH WIOSENNYCH CZEREŚNI

Czuję zapach wiosennych czereśni,
Słodycz malin, cierpkość kwaśnych wiśni,
Wierzę w przyjaźń największą na świecie,
Przyjaźń, która dzisiaj mi się przyśni.

Widzę niebo usiane gwiazdami,
Sierp księżycy, co ciemność rozjaśnia,
Widzę szczęście największe na świecie,
Szczęście, co się zdarza tylko w baśniach.

Widzę miłość, co nie liczy czasu,
Taką miłość, co bywa jedyna,
Widzę miłość największą na świecie,
Miłość, która właśnie się zaczyna.

Widzę życie usłane różami,
Życie pełne prawdziwej mądrości,
Widzę życie najdłuższe na świecie,
Życie, które nie zazna nicości.

Sen się kończy – z nim wszystkie radości,
Czas powrócić do rzeczywistości.

Może jutro znów dalej popłynę,
W taką dziwną, młodzieńczą krainę...

13.10.2020 r.



Zdzisław Opałko, bez tytułu

Zdzisław Opałko

DOPÓKI MYŚL WOLNA...

Trudno świętować gdy się życie zmienia
w różne stany cierpienia
choć współczucia i troski od wielu
wciąż nie widać światła w tunelu
jednak warto żyć trwać buntować się przeciw niemocy
jaśnieć w sobie i w innych jak dzień
który wstaje po nocy

Trudno się bawić w proste zabawy
gdy inni uparcie wolą płaszać w chocholim tańcu
lub okopani w swoim szańcu
w przybyszach z bliska i z daleka nie dostrzegają człowieka
tylko sobą się chlubią to sprawiedliwe – mówią
trudno smutkiem nie malować twarzy
gdy dla wielu problemem staje się zawiłym
jak zwyczajnie być miłym

Trudno nie drżeć gdy wyczuwamy że gdzieś koło północy
może się zacząć spektakl przemocy i kłamstwa z każdej strony
okrążą zniewolą mózgi słowa jak sztylety
zaczną przecinać nam dusze – wtedy trzeba coś zrobić
dla dobra nie tylko swojego i stanąć naprzeciw złego
samotnie jak mąż tylko w godność spowity
bo ciągle warto - warto być przyzwoitym

Trudno jest wytrwać w wierze gdy bóg bliski
pełen wszechmocy każe nam któreś nocy obudzić
syna niewinnego i zabić go w ofierze
z użyciem noża długiego – wtedy warto naprawdę warto
pokazać ludzką twarz hardą i jak Dylan
rzucić w niebiosa bez zbędnej ogłady:
no stary... bez przesady!...

Trudno jest uśmiech i chwilę spokoju
zatrzymać na bladym obliczu gdy to co dotąd sprzyjało
pogrąża się w falach kiczu jednak
być warto współczuć walczyć nie szczycąc się ranami
szukać odgłosów życia pukając w ściany nieme
dopóki myśl wolna tli się i przestrzeń
gwiazdzista nad nami

Jacek Gierasiński

Z WIERSZY NAJNOWSZYCH

Wodne metafory

rzeki piszą wiersze
 czytałem ich brzegi
 w kontemplacji
 myśli spokojnych
 łowiłem czas płynący
 charakterem topielca
 widziałem kaczki
 słowami płynące
 cierpliwość wędkarza
 spławika serce
 widziałem rzeki wpadające
 między kartki morza
 kutry błdziły
 pod powieką nieba

Po tamtej stronie myśli

widziałem jak z nadgarstka
 wygryzła żyły
 wypłuła na podłogę
 (kto z nas dzisiaj pastuje podłogi?)
 ktoś pukał do drzwi
 nie wstałem
 wieczoru niebo
 krwią spłynęło
 wracające z żeru ptaki
 były krwistoczerwone
 za ścianą łóżko stało
 moje
 zaspane
 idąc do niego
 zatrzymałem się w pół drogi
 obejrzałem
 pamięć ma krew na rękach

Po swojej stronie myślenia

starość pachnie mądrością
 emocje nie mają
 już tyle siły
 co kiedyś
 obelżywie samotni
 przyzwyczajamy się
 do śmierci
 a ona nie odpuści
 wyczyści chodniki
 dla potomnych
 bo przecież ktoś musi
 żeby wiatr
 uczył się nowych
 doświadczeń
 żeby odleciał
 rozpędem

Zafajdana rzeczywistość

bądź grzeczny
 mów ładnie i wyraźnie
 słuchaj z uwagą
 co mówią i
 nie sprzeciwiaj się temu
 kłaniaj się częściej
 niż wymagane
 uśmiechaj bez względu
 na wynikłą sytuację
 patrz im w oczy
 z zachwytem
 milcz...
 później możesz iść
 do kibla
 i po cichu
 zwymiotować

Alicja Nowak

KSZTAŁT WIERSZA

gdyby można
 złote myśli znaleźć
 odkurzyć jak antyki
 wypolerować
 nieśpiesznie
 z dużym szacunkiem
 mocnym znaczeniem
 mając wszystko
 na uwadze koordynatora
 przyłgnąć sercem do treści
 czerpać z życia fantazji
 wydarzeń
 napisać powieść
 upublicznić uczucia
 napisać w przypowieści
 o pojmowaniu życia
 okryć peleryną czasu
 pisarskie zadęcie

alergia wiersza
 przyływ natchnienia
 gęsta atmosfera
 łańcuch wydarzeń
 ironia losu
 błędy i fałsz
 kwasy
 erozje
 presja splątana
 biegiem wydarzeń
 upiorna mozaika
 dżungla
 uśmiechy świata
 kuglarze
 marionetki
 wulgaryzmy groteskowe

hobby z marginesem
 natchnienie
 wenę trzymać słowem
 mocno trwać w uporze
 celnie trafiać w sedno
 zastygąć w bezruchu
 nie spłoszyć natchnienia
 czyhać na wątek
 na myśl przewodnią
 obwarować się bastionami
 bolesnych tajemnic
 strzegąc zasianych myśli
 okopać się
 czekając na plon

jeszcze nie wytańczyłam marzeń
 zgubionych kolorów nie odnalazłam
 czas łakomie zwabia dobę w sen
 płyną chwile jedna za drugą
 tańczą jak nuty na pięciolinii
 kolory zabrał
 suchy bukiet
 hulał porwany wiatrem
 zawisł na uschniętym drzewie
 duch straszący suchymi pazurami gałęzi
 bezlitośnie szarpał
 szkielet trzeszczący złowrogo
 zatrzymana w suszu radość
 porwana wiatrem
 zginęła jak melodia
 tańzonego walca
 ja nie tańczę
 to już nie mój czas
 nie moje orkiestry
 nie moje melodie
 tempo i zegar

przycupnęła
wena
chandra chciwieje
zabrała wątek
tryptyk legł
na płaszczyźnie
literackiej pustki
opowieść nie ujrzała
światła
białych kart
zabrakło słów

wena

czarodziejska siła weny
wylewa myśli pełne
twórczej konstrukcji
układa teksty
scenariusze
nieopisane legendy
czułościowość pozwala
pomieszkować nostalgii
myśli włóczyć po niebie
w gwiazdach
odnaleźć przeznaczenie

zadanie pisarza

pokazać piękno słów
obraz malowany słowami
powielać dobro
mądrość
uzdolnienia hołubić
cieszyć się sukcesami
z satysfakcji czerpać wiarę
cenić życie
marzenia widzieć
w kolorach tęczy
czerpać z dyspensy
istnienia

płaszczyzna pustej karty
przyciąga jak magnes
zaduma
wahanie
zamknięte drzwi
do wtajemniczenia
do pracy twórczej
dar bez granic
dla iluzji
dla przestrzeni
twórczej odmiany
dobra prognoza
gwarantuje ciekawe widoki
działanie
wartość zapisaną w tekstach
podpieraną rzucanymi cytatami

radosny
apetyt na życie
w bezsenne noce
patrzeć na księżyc
liczyć spadające gwiazdy
wehikułem czasu
z determinacją
jechać na koniec świata
zostawiając za sobą ironię losu
pamięć wydarzeń
życiowe błędy zgubić
rozsypane korale nanizac
na nić ślepego losu
stare fotografie
jak tatuaże
paskudy bez retuszu
zapomnieć
z dobrą diagnozą iść jak pielgrzym
pod horyzont nieba

Janusz Strojec

WIGILIE

Wigilia 90

Naszą wyobraźnię przerosła Rzeczywistość
 słońce księżyc i ptaki oznajmiły
 naszą obecność w środku Europy
 Jaruzel rzucony o kant historii
 przywykł że jesteśmy w końcu we własnym
 domu
 Pierwsze demokratyczne wybory:
 Stana zdumiewa głupota rodaków
 z Londynu płyną na skrzydłach sławy insygnia
 władza przy wtórze purpury
 pod Najjaśniejszym Okiem
 w kolejnych gronostajach król:
 „Zdrowie wasze, pijemy w gardło nasze”
 słowa
 Jacek gotuje zupki
 w polskim kociołku mieszają bigos
 nadzieja

Wigilia 91

Zbliżał się wieczór, zmierchało
 zapadła gwiazdzista noc
 Wiadomości telewizyjne zapowiedziały
 wędrówkę przez Polskę naszych ojców
 krzyże groby wybroczyny na ulicy
 i znowu białe krzyże groby i kałuże krwi
 była to jedyna droga do domu
 mój uczeń nazwał to
 poradnikiem naiwniaka
 kolejne grube kreski
 a zima już grudniowa
 i grube kalesony otulają wpojona nadzieję
 że będzie prosto zwyczajnie
 jak w wielu miejscach na świecie
 i prawda stanie koło prawdy
 któraż to już Prawda
 naszych ulepszonych światopoglądów

Wigilia 92

Chłodno głodno a czasami zimno
 kiedy wracał z jakiejś samorządowej narady
 z kieszeniami wypchanymi dietą
 w jego głowie przesuwają się miliardy na
 windy i inne cele społeczne
 Na ulicy padał deszcz
 i gdzieś w pobliżu stara nieznajoma kobieta
 powiedziała nagle:
 Może mi pan dać parę złotych
 na chleb, kochany?
 Na ulicy padał deszcz
 on był już spóźniony na Wigilię w parafii
 i nic nie rozumiał
 ze słów starej kobiety
 Potem uściśkał serdecznie księdza
 gdy ten oświadczył
 że konkordat zapoczątkowany

Wigilia 93

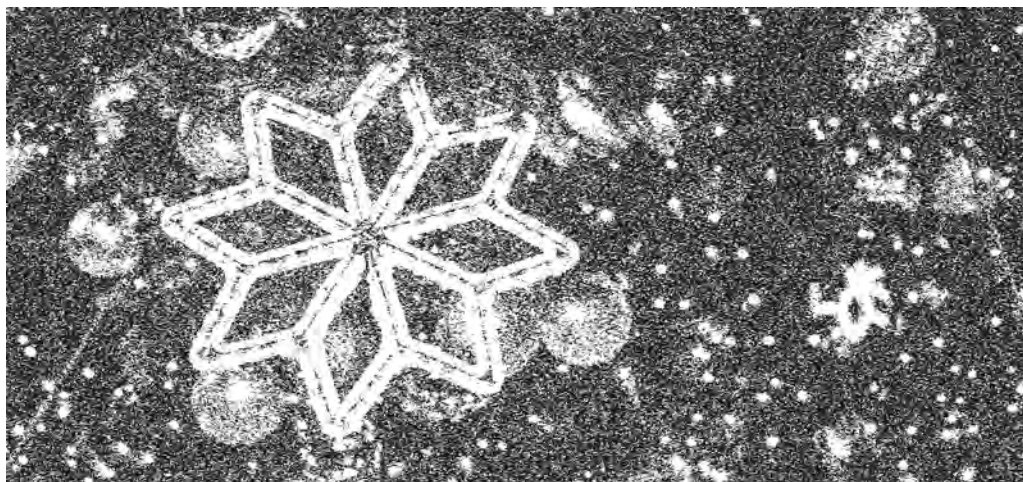
końcówka grudnia
 Miasto jakby trochę zwariowało
 stragany zapełniły się znowu tandetą
 w mojej głowie brak metafor i porównań
 i siatki na wielkie żarcie
 synek króla przejechał babcie na przejściu
 w stanie totalnej amnezji
 tatuś daje kolejne kopniaki
 afera za aferą
 a może tak świadek koronny
 gdy jedna osoba donosi na drugą
 za pośrednictwem trzeciej
 to donosi już na siebie
 a w tę wigilię
 musi być opłatek
 i drzewko
 jeszcze dychamy

Wigilia 94

Chicago jak zwykle
 zawyło neonami
 a przed Bożym Narodzeniem
 stało się bardziej niż betlejemskie
 W Rwandzie
 ziemia mocno spękana
 strach przeszywa kulą jak nić krawiecka
 Wydęte brzuszki
 o oczach starca
 wyciągają rączki
 Ludzkie kulomioty
 chorwacko – czeczeńskie
 murem bardziej na śmierć
 zakwitają w czerwień
 Kurdowie
 z głową w dół
 A w raju czytaj w Ameryce
 Dzieciatko Jezus w zgrabnym kartoniku
 z kokardką
 do czekoladek i torcików
 Pośrodku Świętego Miasta
 zaś wysoka jodła RMF-u
 ciche
 lulajże Jezuniu

Wigilia 95

Jesteśmy
 jak ginąca w podziemiach Rzeka
 i jak znikający Stok
 albo różowa Muszelka co zabrana
 przypływem nabawiła się Kataru
 W polityce:
 Kwachy na lachy
 Lechu bez grzechu
 Komuno wróć
 Solidarność rządu
 Św. Tadeusz Juda z obrazu
 w kościele Św. Krzyża gestem
 podniesionej ręki
 w stronę Belwederu
 para Zakochanych
 kupiła parówki na straganie
 całując się przy każdym kęsie
 wybrała się na zakazany Film
 kolejne strzały na niehumanitarnej Ziemi
 między lotami Pershingów
 jak bakterie Napowietrzne
 a my
 niby Rusalki wychylone na moście
 plujemy na powierzchnię Wody
 i liczymy
 że jedno słowo
 Prawdy cały Świat odmieni



Arkadiusz Frania

POEZJA WRZĄTKU.

O WIERSZACH JACKA GIERASIŃSKIEGO

W sierpniowym numerze „Nad Wartą” z 1988 roku Waldemar M. Gaiński zatytułował tekst o twórczości Jacka Gierasińskiego (ur. 1961) *Poeta?*¹. Stosunkowo szybko wątpliwość się rozviała i należało pisać przy nazwisku słowo „poeta” już bez znaku zapytania, z tym że autor nie dbał szczególnie o wydanie osobnego zbioru (może też okoliczności nie sprzyjały)², a udział w antologiach³ i druki w prasie⁴ nie rekompensowały braku kontaktu z pełniejszą wizją artystyczną, jaką przynosi przecież tomik. Debiut książkowy pt. *Przypowieści stracha na wróble* ukazał się dopiero w 2012 roku, ale już w 1996 roku Waldemar M. Gaiński prorokował-uspokajał:

Lepiej więc wydać choćby jeden tomik, ale dobry. Dlatego na tomik Jacka Gierasińskiego jeszcze zapewne poczekamy. Jeśli jego wiersze zawsze będą równie dobre jak te prezentowane dzisiaj [*Kobieta i mężczyzna którzy nie potrafią uwolnić się od siebie, Rysopis, Chiromancja*], to czekać warto⁵.

W jednej z notek biobibliograficznych w 2002 roku podkreślono odrębność usposobienia twórcy, nieco wytykając mu funkcjonowanie „bez teki” (bez książki): „Jedna z barwniejszych postaci w częstochowskim środowisku, ale bez indywidualnego dorobku książkowego”⁶. Od debiutu osobnym tomem Jacek Gierasiński wzbogacił półki księgarskie, wydając kolejno: *Na smyczy* (2015), *Trzecią twarz* (2016) i *Nic tak szybko w życiu nie umiera jak wiersze* (2019)⁷. Patrząc na to proste wyliczenie, odnoszę wrażenie, jakby twórca przeistoczył

1 W.M. Gaiński, *Poeta?* [o wierszach J. Gierasińskiego], „Nad Wartą” 1988, nr 8, s. 12.

2 Wiesław Wyszynski pisał w 2012 roku o J. Gierasińskim: „Życie spowodowało, że na dobrą dekadę zawiesił pióro, udając się na tzw. emigrację wewnętrzną. Na szczęście po latach powrócił do pisania z korzyścią dla czytelnika i środowiska [literackiego Częstochowy]” (W. Wyszynski, *Poeta intuicyjny*, [w:] J. Gierasiński, *Przypowieści stracha na wróble*, Wydawnictwo Literackie „Li-TWA”, Częstochowa 2012, s. 92 (wydano w serii „Częstochowska Biblioteczka Poetów i Prozaików”). O przyjaźni między poetami niech świadczy umieszczenie przez autora *Na smyczy* na 84 stronie motywu graficznego z odciskiem palca (kciuka?) i tekstu: „Specjalne podziękowanie Wiesławi Wyszynskiemu, mojej bratniej duszy”. J. Gierasiński zadedykował koledze („Wiesłowi”) wiersz *Sztormowisko* z debiutanckiego zbioru: „popłyniemy wiesiek / łódką z twego wiersza” (s. 52).

3 Zob. m.in. wiersze w następujących zbiorach: *Poeci Częstochowy. Zeszyt Poetycki Środowiska Częstochowskiego*, red. W.M. Gaiński, T. Gierymski, Urząd Miejski – Wydział Kultury i Sztuki w Częstochowie przy współpracy Towarzystwa Przyjaciół Częstochowy, Częstochowa 1989; *Poetycka Częstochowa (wraz z okolicami) przełomu wieków. Antologia poezji poetów urodzonych w regionie częstochowskim i tworzących w nim w latach 1975–2001*, część II, oprac. i red. W.E. Piekarski, Wydawnictwo „Dom Książki”, Częstochowa 2002 (wydano w serii „Częstochowska Biblioteczka Poetów i Prozaików”).

4 J. Gierasiński publikował m.in. w pismach: „Okolice”, „Nad Wartą”, „Dziennik Częstochowski. 24 Godziny”, „Gazeta Częstochowska”, „Aleje 3”, „miniGaleria”, „Galeria”.

5 W.M. Gaiński, *Wiersze na uwięzi* [o poezji J. Gierasińskiego], „Gazeta Częstochowska” 1996, nr 29 – Dodatek informacyjno-publicystyczny „Notatnik Kulturalny” 1996, nr 7 (lipiec), s. 12.

6 [nota biograficzna J. Gierasińskiego], [w:] *Poetycka Częstochowa (wraz z okolicami) przełomu wieków. Antologia poezji poetów urodzonych w regionie częstochowskim i tworzących w nim w latach 1975–2001*, część II, s. 207.

7 W szkicu użyto następujących skrótów na oznaczenie cytowanych książek poetyckich Jacka Gierasińskiego: PSNW – *Przypowieści stracha na wróble*, Wydawnictwo Literackie „Li-TWA”, Częstochowa 2012 (wydano w serii „Częstochowska Biblioteczka Poetów i Prozaików”); NS – *Na smyczy*, Literackie Towarzystwo Wza-

się w zwierzę wydawnicze, pragnące wciąż opowiadać o sobie i okolicznościach egzystencji. Wiesław Wyszyński w posłowie do *Przypowieści stracha na wróble* (2012) nadmienił, że poeta „materiału ma na kilka tomików”⁸, zaś Bogdan Knop pisał w kontekście późnej prymicji książkowej częstochowskiego pisarza: „Tak jakby poeta zbierał się w trakcie długiej drogi do zadań, które go czekają, i którym musi sprostać”⁹.

Warto wskazać, iż Jacek Gierasinski należał do Grupy Poetyckiej „Lit-Ars” działającej w Częstochowie w latach 1986-1989¹⁰. Jeden z uczestników fermentu artystycznego w mieście w tamtym czasie, cytowany powyżej Wiesław Wyszyński, w rozmowie z Marianem Pankiem wspominał:

Przed wszystkim [organizowaliśmy] wystawy plastyczne, ale również koncerty – znakomite „jamy” w głęboką noc idące. Potem, w 1985 roku, zafundowaliśmy sobie imprezę poetycką pod nazwą „Targowisko”. Byłem laureatem trzeciej jego edycji. Niewątpliwym szefem tego bałaganu był Andrzej Młodkowski – on wodził rej, ale również wykazywał się Irek Kozera, działał Wojtek Kopciński, pokazywał się Marian Panek, bracia Kędziorowie. Było tak dużo ludzi, że wszystkich i tak bym nie przywołał. Atmosfera była niepowtarzalna. Powołaliśmy grupę Lit-Ars z inicjatywy Ani Grzywińskiej – przynależeli tam: Krzysiek Seweryn Wroński, Agata Polak, Marek Maculewicz, Jacek Gierasinski, Waldek Gaiński, jak i również znalazła się tam moja osoba¹¹.

Autor *Na smyczy* jest bez wątpienia poetą wrzającej krwi¹²: „miłość poety / z którą się szarpie / na krawędzi życia” (NUW11), „swój świat / to jest różnica wszystkich / nieporozumień” (NUW12). Wiersze zatem buchają, bulgoczą, tętnią. Słowa drgają, wibrują, piętrzą, przenoszą się na inne znaczenia i emocje. Wyrazy spalają się w sobie, potem odradzają, wszak życie jest jedno, lecz wierszy wiele, stąd tytuł *Nic tak szybko w życiu nie umiera jak wiersze* zawiera między łączeniami sylab sugestię namnażania liryków, które symbolizują również kobietę i uczucia: „jesteś wierszem / aż po słodki / sen metafory” (NUW73). Liryk *Przecież zapomnisz* wyraża przekonanie o unieśmiertelniającej mocy tworzenia: „a kiedy już o mnie zapomnisz / a przecież zapomnisz bezsprzecznie / gdy zmyjesz wszystkie / pocałunki z ciała / [...] / nie wyrzucę cię z pamięci / zapisałem cię / w wierszu” (NUW75).

Kraina Jacka Gierasinskiego pochodzi nie ze świata łagodności, ale z siedziby ruchów gwałtownych, impulsywnych: „odziany w ciepło – zimno” (NUW15), „nasze myśli / nie

jemnej Adoracji Li-TWA w Częstochowie, Częstochowa 2015; TT – *Trzecia twarz*, Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2016 (wydano w serii „Biblioteka «Galerii»”); NUW – *Nic tak szybko w życiu nie umiera jak wiersze*, Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2019 (wydano w serii „Biblioteka «Galerii»”). Cyfra arabska obok skrótu oznacza stronicę przytoczenia. Taka forma lokalizacji w tekście głównym dotyczy tylko cytatów wierszy Jacka Gierasinskiego.

8 W. Wyszyński, *Poeta intuicyjny*, s. 93.

9 B. Knop, *Trzy twarze Jacka Gierasinskiego*, [w:] J. Gierasinski, *Trzecia twarz*, s. 5.

10 O inicjatywie zob. E. Głębińska, *Grupy literackie w Polsce. 1945-1989*, wyd. II poszerzone, „Wiedza Powszechna”, Warszawa 2000, s. 682-683. O grupie piszę w książce *Osobowości i osobliwości. Z życia literackiego współczesnej Częstochowy*, Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2019 (wydano w serii „Biblioteka «Galerii»”) – rozdział *Grupa Poetycka «Lit-Ars»* (1986-1989), s. 55-70.

11 *Miłość jest najważniejsza. Rozmowa z poetą Wiesławem Wyszyńskim* [wywiad przeprowadzony przez Mariana Pankę], Kwartalnik Kulturalny Częstochowy „Aleje 3” nr 52, październik-grudzień 2005, s. 11.

12 Zob. A. Frania, *Jacek Gierasinski – poeta krwi o wysokiej temperaturze wrzenia* [wstęp], [w:] J. Gierasinski, *Nic tak szybko w życiu nie umiera jak wiersze*, s. 3-7.

do końca spójne” (NUW67). Kazimierz „Stolorz” Kowalczyk przedstawił taki portret poety z czasów młodości:

Co pamiętam z tamtych czasów? Nieklamany zapał Pana Jacka w pisaniu wierszy i krótkich utworów prozatorskich, które można by określić jako prozę poetycką. To, co mi Jacek wówczas czytał, przypadało mi do serca i do gustu, chociażby z tego względu, że było pełne werwy i egzaltacji młodzieńczej, a przez to szczere aż do bólu¹³.

Przecież pierwszym wersem (poza tytułem *Zakupy*) debiutanckiego zbioru jest: „szlag mnie trafia” (PSNW6), a w *Gadaniu z głupią muchą* natkniemy się na frazę: „wał się ode mnie / głośno skrzydłata / zacofana w przyjaźni” (PSNW35).

Czytając teksty Jacka Gierasieńskiego, stajemy się świadkami lub nawet – wzięwszy pod uwagę narkotyczną funkcję poezji – uczestnikami psychodramy, podczas której wchodzimy w role, ukrywamy się za maskami („okłamujesz twarz / w lustrach makijażu”, NUW14; „zdejmiesz tynk / z mojego ciała”, PSNW24). Maski mogą z czasem stać się bardziej realne niż „prawdziwe” twarze, gdyż ściśle obrastają nasze zachowania: „porozwalane myśli / staram się ułożyć / w zgrabność lustra” (NUW20), „twoja twarz człowieka / uwikłana / w chwilę wspomnień” (NUW55), „ma pan twarz poety / powiedział człowiek / z twarzą hydraulika” (PSNW84). Zwróćmy uwagę, że w tytule jednego z tomów pojawia się *Trzecia twarz*, mamy więc sygnał multiplikacji „ja”: „jest sobą i / sobą / lewa ręka / prawa ręka / lewe oko / prawe... / to nie moje krzyczy” (PSNW18). Nieistniejący brat staje się *alter ego* bohatera:

mój brat
którego nie mam
mógł być poetą
albo żebrakiem
prezydentem
atletą
mógłby...
myślę o nim
wieczorami
patrzac
w puste krzesło
(NS12).

Podobnie jak w utworze *Wrażliwa schizofrenia albo zabobony*: „nocą / kiedy nie masz / dokąd odejść / zasypiaj braciszku / o twarzy poety” (PSNW86). Bohater, wcielając się w postać zmarłego (pragnienie znalezienia właściwej perspektywy?), wysyła *List z zaświatów*: „tutaj w niebie / matko / układam paciorki / jak puzzle” (NS8). Odbicie w lu-

13 K. „Stolorz” Kowalczyk, *Głosy do książek przeczytanych – Glosa VIII: „Przypowieści stracha na wróble” Jacka Gierasieńskiego*, Częstochowski Magazyn Literacki „Galeria” nr 26, kwiecień-czerwiec 2013, s. 118. Motyw szczerości tej poezji został wskazany też w innych komentarzach i śladach odczytań. Aleksandra Keller (właśc. Olga Wiewióra) pisała: „Wiersz nie uwodzi – gra na ostrej nucie szczerości” ([tekst krytycznoliteracki], [w:] J. Gierasieński, *Przypowieści stracha na wróble*, s. 94). Z kolei Izabela Kołdej-Ptak dedykowała J. Gierasieńskiemu wiersz *Nie jesteś śmieciarzem*: „noc – bez snu / znalazłam wiersz / twój wiersz / jeszcze krwawił / obskurny – jak przedwiośnie / szczery – jak brudne ulice Łodzi” (Częstochowski Magazyn Literacki „Galeria” nr 26, s. 48).

strze to także semantyczny obszar duchowego *curriculum vitae*: „po tamtej stronie / lustra / w niepodobnych oczach / obcej twarzy / w teatrze / uszminkowanych lalek” (TT28), „palcem nieczystym / wydłubuję twarzy znajomość / kaleczy oko / szkła powtarzalność” (PSNW37). Podmiot liryczny szuka powiernika, gdyż nie wszystkie jego stany psychiczne są jednorodne, a zachowanie szczerości i pozostanie wiernym swoim dogmatom nie jest łatwe, dlatego też wiersz o ratowaniu siebie nosi tytuł *Bunt*: „a nade wszystkim / w posuchach jutra / choćbym miał rękę / gryźć aż do serca / zostanę sobą / i będę / bo mi do twarzy / w zwierciadle duszy” (TT76).

Poeta stwarza różne własne wizerunki: zazwyczaj migotliwe, fragmentaryczne, jakby każda strona osobowości domagała się uwolnienia: „kawałek kota / na jezdni / kawałek psa / kawałek ciebie” (TT75), „utrzymać w garści / kawałek siebie / nie dać się zwariować” (TT116), „trochę piszę / trochę milczę / trochę jestem” (NS31). Dlatego w zakresie graficznej kompozycji wiersza twórca z Częstochowy znamionuje predylekcja do liryków wąskich i wysokich, czyli słupkowych, w których np. wybicie (pozostawienie) w linijce tylko jednego, dwóch słów posiada swoje konsekwencje semantyczne, taki wyraz-samotnik „spaja” wiele pól skojarzeniowych.

W centrum sytuacji lirycznych znajdują się reakcje „ja” na wrzask otoczenia. Bohater, jako wrażliwiec, ma dwa wyjścia: albo dać się zagłuszyć, albo mozolnie budować układ odpornościowy. W pierwszym przypadku dojdzie do stępienia odczuć i w konsekwencji, po okresie buntu, do zubożenia: „zszedłem z uczuć / w rezygnację” (NUW84), „leżę potulnie i / udaję uśmiech / klepiąc ogonem / o podłogę” (NUW45). Drugie wyjście dopuszcza wkroczenie obcego na teren prywatny, ale tylko po to, by go poznać i wyprodukować przeciwciała: „zawijam rękawy / na wszystkie / obiecane mi jutra” (NUW26). Podmiot liryczny wciąż walczy, na przekór rozsądkowi, lecz w myśl swojego wewnętrznego prawa: „to nieprawda że / nie żyję / jeszcze liczę kalendarze / i jak mucha na / suficie / staram się / trwać dalej” (PSNW38-39), „a ja sznurówkę / w bucie odwijam / bo mi się płaczą / trepy na przyszłość” (PSNW63). Coraz częściej przystaje też na uwierające wyobcowanie: „dokuczliwa matrona / samotność – / niechciana kochanka” (NUW74), „niepoprawny samotnik” (NUW15).

Skoro żyjemy w świecie degradacji, w najlepszym razie fluktuacji pojęć pierwszych i ostatecznych, jak człowiek, dobro („gdzie to co myślę / nie jest z myślenia / gdzie to co słyszę / nie do słyszenia / gdzie to co widzę / nie [do?] zobaczenia / gdzie to co czuję / umiera”, PSNW52-53), nie dziwią obrazy wyłaniające się z tej twórczości czy wiara tylko w samego siebie: „szukasz przyjaciela / zacznij od siebie i / na tym poprzestań” (NUW101).

Jestem życzliwym obserwatorem poezji Jacka Gierasńskiego, odkąd przeczytałem w niepozornej publikacji z 1989 roku *Poezi Częstochowy. Zeszyt Poetycki Środowiska Częstochowskiego* taki jego tekst:

znowu jesteś za daleko
czas tęsknoty
i bezradność odliczania
oszałała kolonia wierszy
niecierpliwi się
hałasując w nocy
zamykam okno
trzaskają szyby wspomnień
jestem chory na odległość

na półtora tygodnia
od ciebie¹⁴.

Relacje z kobietą to w dużej mierze uzależnienie od niej, mimo rozstania i jej nieobecności: „stoję w przedpokoju / a ty / psim śwędem / znów masz mnie / na smyczy” (NS40), „chlonej twoją / nieobecność / twarz przykrywam / skórą dłoni” (NS50). Ta „skóra dłoni” wskazuje na chłód kontaktów damsko-męskich i pewną ich sztuczność, imitację uczucia i bliskości. W zasadzie poza postacią matki (tom *Przypowieści stracha na wróble* poeta zadedykował rodzicielce), rodzaj żeński funkcjonuje w tej liryce w kontekście rozgoryczenia i straconych nadziei, rzadziej chwilowych uniesień i namiętności. Nawet wtedy temperament podmiotu lirycznego nie wycisza się, lecz pędzi na oślep: „liżę szorstką rzeczywistość / [...] / idę w przyszłość / ku przytomnej / beznadziei” (PSNW28). Co prawda znajdziemy wyznanie: „w tej małej / codzienności / jest miejsce / na ciebie” (TT106), lecz miłość to również skazanie, piętno: „noszę w sobie / to brzemię / że cię kocham / a ty mnie nie” (TT126). Krytycy podkreślali męski wymiar twórczości Jacka Gierasinińskiego: „liryka na wskroś męska, szorstka, pozbawiona finezji znaczeń i gry zmysłów”¹⁵, „to poezja na wskroś męska i to nie dlatego, że wiersze te napisał mężczyzna. Męska poezja to poezja bez zbędnych egzaltacji”¹⁶.

Fraza „oszałała kolonia wierszy” – jawi się, według mnie, jako *ars poetica* częstochowskiego pisarza. Cytowany tu liryk **** (znowu jesteś za daleko)* cechuje też sygnalizowana już gwałtowność, energiczność oraz testosteron człowieka w malignie życia. Wydaje mi się również, że Jacek Gierasiniński w każdym tekście ponawia wiwisekcję swojej podświadomości, nieraz symbolizowanej widokiem skrzywdzonej istoty: „jak ptak ze złamanym / skrzydłem o beton” (NUW11), „trzępiący się ptak / ze złamanym skrzydłem” (NUW25). Na pewno nie można pisarzowi odmówić autentycznej emocjonalności, graniczącej z rozedrganiem psyche: „wstaję / robię herbatę / słodzę i / mieszam życie” (NS34), „wykrzyknąć / małą wyobraźnię” (TT14), „będę pisał wiersze / na wzburzonych wodach” (TT69). Warto wynotować uwagę Tadeusza Gierymskiego:

Jacka Gierasinińskiego nazwałem kiedyś... „poetą mgły”. Istotnie z jego miniatur poetyckich, o swoistym i przesubtelionym nastroju, wylania się rzeczywistość (którą głównie jest autor i jego niepokoje) jakby trochę [...] zamazana i przefiltrowana przez wyobraźnię chorobliwą¹⁷.

Bo dusza poety wyje, dlatego nie tyle sam człowiek, co właśnie jego dusza zapisuje wiersze, zabezpieczając się przed rozpadem: „pisane wiersze / na kolanie duszy” (NS25).

Bohater boryka się ze wspomnieniami, przeżyciami, a także snami i majakami, poszukując dogmatów: „na dnie siebie / na dnie samego siebie / w ciemnych miejscach” (TT39). Zastanawia się, kim i po co, dlaczego jest. Rzadko przychodzi ukojenie: „reanimują nas wspomnienia” (NUW84), dominuje osaczenie przez przeszłość: „a za rogiem / obiecanego jutra / nic stoi / w starym garniturze / sflaczałych wspomnień” (NUW19), „cisza / ciężkich wspomnień” (NUW30), „kalambury wspomnień” (NUW56), „zgliszczka wspomnień” (NUW85),

14 J. Gierasiniński, **** (znowu jesteś za daleko)* [wiersz], [w:] *Poezi Częstochowy. Zeszyt Poetycki Środowiska Częstochowskiego*, s. 12-13. Przedruk [w:] PSNW80.

15 A. Keller (właśc. O. Wiewióra), [tekst krytycznoliteracki], [w:] J. Gierasiniński, *Przypowieści stracha na wróble*, s. 95.

16 K. „Stolorz” Kowalczyk, *Głosy do książek przeczytanych – Głos VIII: „Przypowieści stracha na wróble” Jacka Gierasinińskiego*, s. 119.

17 (TAG) [T. Gierymski], „Okienko z wierszem” – J. Gierasiniński **** (jesteś obcy w tym domu)*, „Dziennik Częstochowski. 24 Godziny” 1991, nr 132, s. 4.

„z czasem coraz trudniej / ciąży pamięć / stara kostucha” (NUW50), „zastrzelone / dawne wspomnienia” (PSNW15). Tworząc relację z „ja”, podmiot liryczny wciąż pisze życiorys, by przypomnieć nowe fakty, ale czyż ludzki byt nie składa się przede wszystkim z urojeń i przywidzeń: „urodziłem się / bez oczekiwań / wpłątany w schemat / liczb i sylab / uczyłem się człowieka / huśtając się / na wskazówek obowiązkach” (TT16). Zdaje sobie z tego sprawę, dlatego nie zadawała się odpowiedzią: „jestem taki i taki”, lecz wciąż dąży „ego”. Wie na tyle dużo, by utwierdzić się w niewiedzy o sobie i tym bardziej zmotywować do spisania „ja” w słowach, stąd w książkach Jacka Gierasieńskiego, mimo iż nie są to klasyczne wybory wierszy, znajdziemy więcej liryków niż u innych poetów. Autor *Przypowieści stracha na wróble*, tworząc dużo, mówi tyle, ile wymusza puls jego krwi. Gdyby nie poddał się temu wewnętrznemu głosowi, musiałby sprzeniewierzyć się misji poety, porzucić umysłowość lirycznego terrorysty: „wszystkie wymieszane farby / swojego bardziej lub mniej / ułożonego ja” (TT21), „miłość / zazdrość / nienawiść // czytaj mnie” (NS47), „otyle wiersze / tłusto na stoliku / wyjadają / całą osobowość” (NS36). Waldemar M. Gaiński rekomendował:

Jacek Gierasieński, jakby idąc za podszeptem Gombrowicza z jego „Dziennika”, uczynił „siłę z własnej bezsilności”, ograniczenia własnej osobowości przekuł na tworzywo poetyckie. Dało to na tyle ciekawy efekt, że jego wiersze znalazły się na łamach naszego „Notatnika Kulturalnego”. I wiersze te [*Kobieta i mężczyzna którzy nie potrafią uwolnić się od siebie, Rysopis, Chiro-mancja*] publikujemy z pełnym przekonaniem o ich wartości¹⁸.

Liryki jawią się jako diariusz życia wewnętrznego bohatera zmagającego się z wizjami wyświetlającymi się w jego jaźni pod wpływem rzeczywistości. Ta pasożytuje na emocjach i zmysłach człowieka, wdiera się do „ja”, pragnie przejąć nad nim kontrolę i ubezwłasnowolnić, „ja” jednak nie poddaje się, nie rezygnuje z siebie, skoro prawdziwy charakter kształtuje się w walce. Twórczość Jacka Gierasieńskiego zaliczyłbym zatem do poezji wulkanicznej lub sejsmicznej. Są w niej immanentne erupcje wrażeń i wyobrażeń oraz tąpnięcia osobowości, pobudzanej każdego dnia zdarzeniami, dialogami, groteskowością i jednocześnie potwornością współczesności. W emocjonalnej tablicy Mendelejewa, jaką zbudujemy na podstawie stężenia wierszy częstochowskiego autora, są śmiech, chichot, rechot, rozpacz, lament, łkanie, rozgoryczenie, rozczarowanie, nadzieja, wiara, frustracja, namiętność, zapal. To tylko wybrane cechy, bo wciąż powstają nowe, hybrydyczne. W epoce unifikacji, stworzenia człowieka według schematu, ukształtowanego na wzór i podobieństwo manekinów i dublerów samych siebie, podmiot liryczny protestuje, a za determinację jest gotów zapłacić niezrozumieniem, które, choć boli, pozwala zachować czyste sumienie.

Konfrontacja z realnością to nieunikniona konsekwencja bycia istotą ludzką. Waldemar M. Gaiński wskazał: „Poezja Gierasieńskiego zaczęła ewoluować w stronę dnia codziennego, czterech ścian mieszkania, kamienia z ulicznego bruku, rytmu codziennych zajęć i mirażu złudnych, ale przecież potrzebnych marzeń”¹⁹. Autor zatem przetwarza życie na literaturę, co czyni każdy pisarz, jednakże utwory Jacka Gierasieńskiego nie są wykoncypowane, uszminekowane zgrabnymi przenośniami, lśniącymi porównaniami. Jeden z krytyków dostrzegł, że twórca *Na smyczy* „nie szuka sztucznych i wybujałych metafor, pisze o rzeczach

18 W. M. Gaiński, *Wiersze na wioźni* [o poezji J. Gierasieńskiego], „Gazeta Częstochowska” 1996, nr 29 – dodatek informacyjno-publicystyczny „Notatnik Kulturalny” 1996, nr 7 (lipiec), s. 12.

19 Tamże.

brzydkich niezbyt ładnie pachnących, ale przecież istniejących tak blisko nas”²⁰. O materiale do wierszy sam poeta mówił tak: „To jest życie, codzienność. To, co od urodzenia się we mnie zadziało. Moje doświadczenia, przeczytane książki”²¹. Wszak mamy do czynienia z talentem samorodnym: „Jacek Gierasiński jest oryginalnym poetyckim «naturałszczykiem» lub – mówiąc bardziej elegancko – tzw. talentem samorodnym, bardzo dalekim od określenia poeta doctus”²². Częstochowski artysta to zatem poeta uczuć, odczuć, przeczuć i wy-czuć, ale też twórca „na czuja”, działający bardzo instynktownie, posiadający bowiem poetycki węch: „papier w ustach / i atrament” (TT16). Odpowiadając na pytanie dziennikarki „Gazety Częstochowskiej”, wyznał, że wiersze tworzy „od zawsze, od urodzenia. To jest obserwacja, to łąza w oku. Później przenosi się to na łązę, która płynie. Jako dziecko miałem wypadek z nogą i widziałem mnóstwo bólu. Do tej pory jestem wrażliwy na nieszczęście ludzi. Taką mam walniętą naturę...”²³.

Podmiotowi lirycznemu bardzo doskwiera życie: „mając imię i / nazwisko / udowadniasz mądrość / a dziurawe chodniki / prowadzą cię / donikąd” (TT60), „przepływam donikąd / trzymając się niepewnie / banału” (PSNW25). Kazimierz „Stolorz” Kowalczyk reklamował:

Tomik *Przypowieści stracha na wróble* Jacka Gierasińskiego polecam tym wszystkim, którzy lubią poezję żywą, może trochę sękatą, ale przez swoją lapidarność piękną i poruszającą. Są to wiersze poety, który poznał i poznaje życie w różnych jego barwach i smakach²⁴.

Twórca nie stroni też od tematyki polskiej, przecież ojczyzna jest dla niego ważna, widzi jednak cienie jej „funkcjonowania” tak w aspekcie historycznym: „coraz trudniej / w moim kraju / zatamować łązę / historii” (NS11), jak i społecznym (socjalnym), dlatego wyrzut: „zabrałaś mi [ojczyzno] pracę / prawo do prawa mojego / w paragrafach obłudy” (TT23). W li-ryku *Zakupy* znajdziemy wypowiedź rozczarowanego człowieka: „kiedy zaczną żyć normalnie / w kraju który / sprzedał mnie w markecie / i na półkach porozstawiał / dla wybrednej klienteli” (PSNW6).

Los jest niepewny, a gdy już się spełnia, to zazwyczaj wbrew oczekiwaniom i nadziejom. Wybawieniem mógłby być sen jako nirwaniczne oderwanie się także od własnych ograniczeń: „uciekamy w sen / zapominając / nawet o sobie”, TT17) albo wspomnienie dzieciństwa („wracam tam często / żeby odnaleźć / kawałek siebie / zmęczoną odległość / zapomnieć”, NS61), ale w ciemny obraz świata wpleciono również przeszłość, dlatego mit młodych lat spędzonych w robotniczej dzielnicy Raków w Częstochowie nie skrzy się od westchnień, lecz częściej emituje słodko-gorką aurę: „w moim mieście / w dzielnicy raków / chłopaki z dziewczynami / piją taną wódkę i / palą papierosy trzydzieści / groszy za sztukę” (NS57), nawet trzepak symbolizuje alienację bohatera: „a samotny trzepak / wciąż zagląda / w niebo” (NS16). Podmiot liryczny nie rysuje wizji sielskiej, ucukrowanej, choć wyczuwa się w tych frazach tęsknotę. Pojawiają się też motywy podwórka (*Podwórko*, NS16; *Z podwórka*, NS57) i chłopaków z lat minionych (*Do chłopaków z dzieciństwa*, TT48), zawsze jednak: „my chłop-

20 K. „Stolorz” Kowalczyk, *Jacek Gierasiński – poeta kontestujący czy już zbuntowany?*, [w:] J. Gierasiński, *Na smyczy*, s. 82.

21 *Lubię dowalić słowem* [wywiad Urszuli Giżyńskiej z J. Gierasińskim], „Gazeta Częstochowska” 2017, nr 17/18, s. 7.

22 W.M. Gaiński, *Poeta?*, s. 12.

23 *Lubię dowalić słowem*, s. 7.

24 K. „Stolorz” Kowalczyk, *Głosy do książek przeczytanych – Glosa VIII: „Przypowieści stracha na wróble” Jacka Gierasińskiego*, s. 122.

cy bezdomni / w życie uwikłani / z małym bagażem marzeń / z dużym bagażem wczoraj / brudni / nieogoleni / głodni dobrego słowa" (TT57), „przgonieni z podwórek / w złą przyszłość / zapomnieliśmy / o naszych kłótniach / o przyjaźniach" (TT48). Poeta zbyt dobrze zna życie, by zapomnieć, jaką jest udręka, jak bardzo weryfikuje marzenia i zwalcza niezależność człowieka: „naucz mnie matko / jeszcze raz człowieka" (NS24).

Nie mogąc wyzwolić się od przygnębiającej egzystencji, oswaja ją słowami, ale zdarza się też wołanie o pomoc: „ratuj wiersze / wieczory w smutnych / oknach popełniając / samobójstwa" (TT102). Jak się rzekło, Jacek Gierasiniński nie jest twórcą wyszukanych metafor i epitetów, lecz poetą point, dlatego, zgodnie z jego strategią, wiersz pisze się po to, by go skończyć, by załśnił *codą*. Bogdan Knop podkreślił: „Czytanie wierszy Jacka Gierasinińskiego to zawsze spotkanie z niespodzianką, z odszukaniem sensu, którego się nie spodziewaliśmy, użycie zaskakującego słowa czy zwrotu"²⁵. Gdy obcujemy z tą liryką, nie czujemy się komfortowo, gdyż nie mamy do czynienia z literaturą pisaną ku pokrzepieniu nerwów, dla uśmierzania depresji („umarłeś na smutek / mój kolego", NUW13). Jacek Gierasiniński przypominał: „doskonałość wiersza polega na tym, aby w kilku słowach napisać coś takiego, co albo budzi miłość, albo torsję, albo inne rzeczy. To jest magia"²⁶. Powinniśmy nieustannie mieć się na baczności, być ostrożnymi podczas lektury, w każdej chwili, z każdego słowa może bowiem wychynąć nieoczekiwane skojarzenie. Pointa zaś przewraca słowa na bok, na plecy i od razu robi się inaczej, odwrotnie, wspak, pod prąd. Poezja przecież ma boleć: „na urwiskach nieba / trzymam w sercu / gwiazdy i wyciągam / drzazgi z ciała" (TT43), „uprawiam wiersze / na polu świadomości" (NUW79), „pokonałem strach / rozstania / dla napisania / tych kilku wersów / w wydechu słów" (NUW85). Pióro Jacka Gierasinińskiego jest podłączone do serca, tekst jawi się jako wykres elektrokardiogramu: „niebezpieczne / zawsze tu były / wiersze jak serce / w zawałach czasu" (NS30). „Poezja musi wyjść z głębi serca"²⁷ – powiedział twórca w wywiadzie. Przeczytajmy ujadający wiersz *Psy*:

wypuść
sforę słów
z zagrody zębów
niech wyszczekają
wściekłą
rację za racją

spuść je z łańcuchów
nadętych myśli
niech gryzą
niech się udławiają
(NS10).

Artysta nie obłaskawia rzeczywistości, lecz czeka na nią. Jego skowyt niesie całą prawdę o bólu istnienia: „żeby kogoś zrozumieć / trzeba zacząć od siebie" (TT121), „wszystkie wojny / z sobą / przegrałem" (TT131). Kazimierz „Stolorz" Kowalczyk we wstępie do tomu *Na smyczy zauważył*:

²⁵ B. Knop, *Trzy twarze Jacka Gierasinińskiego*, s. 6.

²⁶ *Lubię dowalić słowem*, s. 7.

²⁷ Tamże.

Ten tomik wskazuje jednoznacznie, że twórczość Gierasińskiego uległa emocjonalnej i intelektualnej ewolucji. Od opisywania brzydkiej i śmierdzącej strony naszego życia poeta przechodzi do kontestowania istniejącego stanu rzeczy. Jest to kontestacja wyrażająca dezaprobatę, ból, żal, jakie noszą w sobie ludzie wyeliminowani i w sumie oszukani przez rządzących²⁸.

Jacka Gierasińskiego łączą węzły mentalne z innym, już nieżyjącym poetą Waldemarem Michałem Gaińskim (1952-2011), którego autor *Na smyczy* spośród literatów mieszkających w Częstochowie cenił najbardziej: „zrewolucjonizował środowisko poetyckie. Był największą nadzieją, po Halinie Poświatowskiej”²⁹. Fascynacja osobowością tego niepokornego twórcy objawiła się m.in. wspólnotą motywów. Oba pisarzy łączyła miłość do kotów. Jacek Gierasiński napisał: „dlaczego tak bardzo... / tak bardzo / nie rozumiem ludzi / którzy nie lubią / kotów” (NUW22). Waldemar M. Gaiński, walcząc z całym światem, przyznał też, że bardziej ufa kotom niż bliźnim i chyba lepiej czuł się w towarzystwie tych zwierząt. Poświęcił im cykl *Koty* (wiersze: *Ksenia perska princessa*, *Sonia*, *Duśka*, *Florka*, *Czarny kot imieniem Barsik*, *Saszka*, *Wojtek brudny kocur z kryminału*)³⁰, którego pierwodruk w Kwartalniku Kulturalnym Częstochowy „Aleje 3” poprzedził krótkim odautorskim wstępem, gdzie stwierdził: „Koty to wspaniałe drapieżniki. Tajemnicze, wolne i niezależne, harde i sympatyczne. Mają osobowości indywidualistów, poetów...”³¹. Liryk Jacka Gierasińskiego *Moja Zośka* stanowi doskonale uzupełnienie cyklu przyjaciela:

ten wiersz
o moim kocie
ma szorstką metaforę
zapłątaną we włosy
kiedy rano jest głodna często
opowiada mi w ucho miłość
dzięki czemu mam
spokojne sny
(NUW82).

Twórca *Przypowieści stracha na wróble* uległ dominującej również w poezji Waldemara M. Gaińskiego (założyciela grupy „Moloch”, autora tomów *Poemat uliczny*, *Asfaltowy blues*, *Miasto już przestało boleć*) tematyce miasta. Na ten tor naprowadza nas *passus*: „brudna / ulica w dziurawej / sukience asfaltu” (NUW29), a przede wszystkim liryk *Tu jest miasto*:

rano...
po nieprzespanej nocy
miasto zaczyna poruszać się
niemrawo
przeciąga ramiona ulic

28 K. „Stolorz” Kowalczyk, *Jacek Gierasiński – poeta kontestujący czy już zbuntowany?*, s. 82.

29 *Lubię dowalić słowem*, s. 7.

30 W.M. Gaiński, *Wiersze ostatnie*, red. T. Piersiak, O. Wiewióra, Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2016, s. 61-71.

31 Tenże, *Koty* [cykl wierszy], Kwartalnik Kulturalny Częstochowy „Aleje 3” nr 47, lipiec-wrzesień 2004, s. 24.

leniwym ruchem
 myje zęby asfaltów
 pojedyncze okna
 otwierają powieki oczu
 dla zaropiałych budzików
 [...]
 widzę nerwowość
 tego miasta
 staje się coraz szybsze
 i szybsze
 aż w pewnej chwili
 zaczyna biec
 tak...
 to jest moje miasto
 już je rozpoznaję
 w ciągłej zadyszce
 (NUW23).

W powyższym tekście ogniskują się wszystkie elementy „naturalistycznej urbanistyki”: antropomorfizacja miasta („ramiona ulic”, „zęby asfaltów”, „okna / otwierają powieki oczu”), biologizm opisu i bolesne obłężenie przez betonową przestrzeń. Zwróćmy jeszcze uwagę na dwa wiersze Jacka Gierasińskiego. W *Wyplacie* występuje postać Waldka, zapewne Gaińskiego, co sugerowałby obraz popijawy:

ostatni dzień miesiąca
 siedzimy u Waldka
 pijemy wódkę
 klei się rozmowa
 jak butapren
 w nawałnicy słów
 pełnych powagi
 nad hostią kieliszka
 (NUW32),

wiodący nas, wraz z zasygnalizowaną metaforą miasta-molocha, do utworu *Dla poety*, dedykowanego już wprost „Waldkowi Gaińskiemu”:

już nie pójdziemy
 razem na wódkę
 nie wypalimy
 petów nad ranem
 [...]
 nie zagościmy razem
 w uliczkach
 gdzie się wywała
 bełkot śmietników

domy z łuszczycy
nieleczone

nie zaprowadzisz mnie
już w te miejsca
skąd pochodziła
brzemienna poezja
w bólach rodząca
twój wiersz
ostatni

(PSNW26-27).

Utwór ma charakter elegijny, został napisany po śmierci autora *Poematu ulicznego* i stanowi dowód wzruszającej męskiej przyjaźni poetów-miłośników alkoholu.

Linia liryki Jacka Gierasińskiego drga bez opamiętania, a on sam czuwa na straży swojego wiersza, staje się jego demiurgiem, jedynym poręczycielem. Kazimierz „Stolorz” Kowalczyk utrwalił we wspomnieniach następujący wizerunek, wówczas zapowiadającego się pisarza: „młody początkujący literat, przesiąknięty pasją pisania, mocno przy tym egzaltowany”³². Również inni krytycy uwypuklali niezaspokojone, niemal wampiryczne pragnienie „bycia w wierszu”: „Z zawodu Gierasiński jest elektromechanikiem, z wyboru i zamięłowania – poetą”³³, „Z zamięłowania poeta”³⁴.

Twórca zdradził czytelnikom, że nie pisze na kartce papieru, lecz „w Internecie”, ściślej zamieszcza świeże poetyckie przemyślenia w formie postów w portalu społecznościowym Facebook, traktuje go jak notatnik, poligon doświadczalny, miejsce sprawdzenia wiersza, jego siły oddziaływania i mówienia między słowami: „Facebook to jest mój notatnik. Nie piszę na kartkach. Co mi wpadanie do głowy, rejestruję w Internecie. Później poprawiam, zmieniam. W książkach znajduje się jedna trzecia tego, co napisałem”³⁵.

Mało jest takich poetów jak Jacek Gierasiński. Łatwo nie zgodzić się z jego taktyką, zarzucać mu pośpiech w publikowaniu, liczebność wierszy, nieokiełznanie, ale przecież twórca podkreślił: „[pisanie] Jest to jeden z nałogów. Muszę napisać, bo inaczej źle się czuję. Każdą myśl zapisuję. Powstaje pierwsza, potem idą następne jak z rękawa, stąd moje wiersze, zwłaszcza te krótkie, powstają błyskawicznie. To się dziwnie dzieje”³⁶. W 1994 roku wyznał z kolei: „Poezję uważam za jeden z ukrytych zmysłów w doskonałej formie człowieka. Uważam, że nie umiejętność posługiwania się piórem, ale twórcza i ujmująca osobowość czyni z nas Poetów. Chcę [...] pozdrowić Wszystkich walczących piórem ze swoją rozterką – Poezją”³⁷.

32 K. „Stolorz” Kowalczyk, *Jacek Gierasiński – poeta kontestujący czy już zbuntowany?*, s. 82.

33 (y) [T. Gierymski], „Okienko z wierszem” – J. Gierasiński *Papierowe domy*, „Dziennik Częstochowski. 24 Godziny” 1993, nr 194, s. 12.

34 [notka biobibliograficzna J. Gierasińskiego], [w:] J. Gierasiński, *Trzecia twarz*, s. 140.

35 *Lubię dawać słowem*, s. 7.

36 Tamże.

37 Wypowiedź Jacka Gierasińskiego pochodzi ze znajdującego się w archiwum piszącego te słowa folderu wydanego z okazji spotkania poety, które odbyło się 13 października 1994 roku w ramach „Częstochowskich Czwartków Literackich” w Klubie Muzycznym Stacheraczak w Częstochowie (organizatorzy: Stowarzyszenie Środowisk Twórczych, Klub Literacki „44” w Częstochowie).

Ida Jadwiga Łubińska

AGNIESZKA OKNIŃSKA

Kim jest? Mieszka w Berlinie, ale jest Częstochowianką, „błesznianką” – jak sama siebie określa. Czas młodości był świadkiem jej wzlotów i upadków, a lata licealne (LO im. Dąbrowskiego) i okres matury – to narodziny wolnej Polski. Pracowała w Radio Live, Marconi, City, w teatrze Małgorzaty Chojnackiej. Pisała dla miesięcznika „CGK” („Co/Gdzie/Kiedy w Częstochowie”). Wtedy też powstały jej pierwsze opowiadania i pierwszy monodram *Konfrontacja*, który prezentowała w OPK „Gaude Mater” i na scenie Teatru Małych Form „Kleks”. A u Grzegorza Lewandowskiego występowała razem z Teatrem WiFi.

Znajomi żartują, że „święte miasto budzi w niej diabła”. Atmosfera, klimat naszego miasta są wyczuwalne w jej opowiadaniach, tak jak obraz miasta, dzielnic wyrażnie jawi się przed oczami czytelnika. Dla niej oznacza to, że w podjasnogórskim grodzie jest u siebie i tu czuje się w pełni sobą. W Częstochowie urodziła się jej jedyna córka. Związek z reżyserem Aleksandrem Berlinem, który w Niemczech prowadził Teatr Scena Polska i narodziny dziecka zadecydowały o przeniesieniu się do Niemiec i odłożeniu na później realizacji marzeń. Po dwudziestu latach do nich wróciła. Zaczęła znów pisać.

W marcu 2018 roku, na spotkaniu w klubie Dekadencja w Częstochowie zaprezentowała swoje wcześniejsze i nowe opowiadania pod wspólnym tytułem *Zmysły*. Opowiadanie *Motyl* zajęło trzecie miejsce w Konkursie Literackim „O Laur Dziewina”, organizowanym przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Żarach, a *Różaniec* i *Wieżowiec* – w formie książki z ilustracjami – były nominowane do XIII Konkursu na Autorską Książkę Literacką Świdnica 2020. Miniaturowa historyjka pt. *My* została wyróżniona w kategorii literackiej w IV Międzynarodowym Konkursie „1 strona – 1 spojrzenie – 180 sekund”, organizowanym przez Polski Teatr Tańca w Poznaniu (grudzień 2020).

Co jeszcze? Może to, że jest wysoka i ma zielone oczy. I że jest wreszcie szczęśliwa, że może robić to, co zawsze chciała. Tak trzymaj, Agnieszko!



Agnieszka Oknińska, fotografia ze zbiorów prywatnych

Agnieszka Oknińska

RÓŻANIEC

Rano otwierałam oczy i widziałam wiszący na ścianie obraz. Matkę trzymającą na ramieniu dzieciątko, owinięte białą szmatką. Spytałam babcię, czy temu dzieciątku nie jest zimno, bo takie nagutkie. Odpowiedziała, że rodzice byli biedni i nie mieli na ubranka. To spytałam, czy tatuś był pijakiem, tak jak nasz dziadek. Uszczypnęła mnie, mówiąc, że takie pytania zadawać to grzech, bo to Święta Rodzina. Zapytałam, co mam zrobić z pytaniami, które są w głowie. Odparła, że niech tam zostaną, bo lepiej nie pytać. Ciekawość jest zła i sprowadza na manowce. Co to są manowce, już nie zapytałam.

Po prawej stronie obrazu, nad ramą, był wbity gwóźdek. Wisiał na nim różaniec. Z dużymi drewnianymi paciorkami. Wisiał zawsze, chyba że babcia się modliła. Wtedy żegnała się przed obrazem, stawiała na taborecie i zdejmowała go. Potem znów się żegnała, stawiała na taborecie i wieszała go z powrotem na gwóźdku. Schodziła i znów się żegnała.

Babcia modliła się często. Monotonne mamrotanie unosiło się w powietrzu, aż śwędziała skóra. Nic innego nie było słyhać. Tylko zimą jeszcze trzaskające w piecu drwa.

Nie wiedząc, co robić, klękałam koło niej. Dziadek umarł, mama uciekła – miałyśmy tylko siebie. A te drewniane paciorki miały nas przed wszystkim chronić.

Spowiedź

Była późna wiosna. Wpadające oknem ostre słońce oślepiało. Babcia siedziała na krześle, obrócona bokiem do stołu. Przesuwała między palcami paciorki różańca, mamrocząc pod nosem zdrowaśki. Siedziałam na łóżku przy szafie. Śmierdziało naftaliną, było mi zimno w stopy i chciało mi się siusiu.

– A jak nie dostanę rozgrzeszenia? – spytałam cicho.

– To będzie wstyd... – odparła i wróciła do mamrotania.

– To może nie pójdę? – spytałam jeszcze ciszej.

– Jeszcze większy wstyd... – burknęła, prawie nie przerywając modlitwy.

W nocy miałam gorączkę. Babcia nie spała, robiła okłady z octu i poila sokiem z malin. Mówiła, że zło we mnie spowiedzi się boi i stąd ta gorączka. A od świtu siedziała, przesuwając koraliki i modląc się, żeby ksiądz rozgrzeszenie dał i żebym nie zemdląła, bo to wstyd. Wstydu bała się bardziej niż diabła. Przez te modlitwy przypaliła mleko. Potem po pokoju zaczął latać mól. Wystraszona, jakby diabła zobaczyła, ściągnęła mnie z łóżka i kazała klęczeć. Sama też na podłogę padła i zaczęła się modlić. Bo mól to zły znak. Po wszystkim wrzuciła do szafy kuleczki naftalinowe. Śmierdziało nimi, ale było to lepsze niż przypalone mleko.

Bałam się pierwszej spowiedzi. Chciałam się przed nią schować w lesie. Później pomyślałam, że pójdę. Mówią, że Pan Bóg jest dobry, to mi wybaczy. A potem cała wieś będzie musiała. To, że mama mnie nie chciała i do miasta uciekła. To, że babcine koty ze mną śpią i choćbym nie wiem jak się szorowała, zawsze nimi śmierdzą. To, że na drugie śniadanie dostają jajka na twardo. Jak je w szkole wyjmuję, to trzeba otworzyć okno i wszyscy się śmieją. Może w końcu przestaną się ze mnie śmiać.

Babcia mamrotała dalej, szykując mi ubranie. W końcu byliśmy gotowe. Do kościoła było niedaleko. Trzeba było przejść główną drogą. Szliśmy powoli. Plątały mi się nogi i ciągle się potykałam. Wydawało mi się, że w oknach, za zasłonkami stoją sąsiedzi i każdy mówi, że ten bękart w końcu dostanie za swoje.

W kościele nie było dużo ludzi. Większość została w domach, szykując jutrzejsze przyjęcie komunijne. Konfesjonały były dwa. Jeden dla dzieci, drugi dla dorosłych. Stałam w kolejce. Zastanawiałam się, czy mówić o wszystkich grzechach. Bo jest ich tyle, że do jutra nie wstanę z klęczków. Przyszła w końcu moja kolej i poczułam, że krew uderza mi do głowy. Wzięłam głęboki oddech i zaczęłam. Mówiłam i pilnowałam, żeby nie zemdleć. Już i tak policzki z tych grzechów paliły, aż bolało. Wszystko ze mnie wyszło. I to, że za drewnutnią siedzę zamiast grządki pielich, że czerninę do doniczki z palmą wylewam, bo do ust wziąć jej nie mogę. Że czasami przed snem mamę widzę i biję ją pięściami, aż krew jej z nosa leci.

Nagle ktoś dotknął mojego ramienia. To był ksiądz. Wyszedł z konfesjonału i mówi, że tyle razy kazał skończyć, ale nie słucham. Mam już iść, bo inne dzieci czekają. Wstałam i poszłam do ołtarza. Stałam i nie wiedziałam, co robić, jaką pokutę dostałam. Wróciłam, a ksiądz, opędzając się jak od muchy, powiedział, że trzy zdrowaśki starczą. Zmówiłam je szybko i pobiegłam do domu, nie czekając na babcię. Byłam rozczarowana. Nie tak sobie to wyobrażałam. Ani się nie zdenerwował, ani nie uśmiechnął. Jakby nic go to nie obchodziło. To może ta spowiedź nieważna?

Następnego dnia, w wianku ze świeżych stokrotek klęczałam z otwartymi ustami, czekając na pierwszą komunię. W końcu położono mi opłatek. Był mdły i smakował mąką. Ale jak rozplynał się w ustach, to poczułam ciepło. Nigdy w życiu nie byłam taka szczęśliwa. Teraz wszystko miało się zmienić.

W poniedziałek w drodze do szkoły ani razu się nie potknęłam. Pachniało skoszoną trawą i dymem z kominów. Koło sklepu stał duży kontener na śmieci. Wrzuciłam do niego jajka na twardo.

Otworzyłam drzwi klasy i wszyscy zaczęli się śmiać i krzyczeć. „Bękart! Godzinę klęczała. Nagrzeszy i pokuty nie pamięta!” Pewnie dalej by krzyczeli, ale weszła nauczycielka i zaczęła się lekcja.

Do końca zajęć byłam smutna i głodna, bo przecież wyrzuciłam śniadanie. Nic się nie zmieniło. To może z tym Bogiem nieprawda?

W domu pachniało ogórkową. Babcia siedziała na krześle odwrócona bokiem do stołu. Przesuwała między palcami koraliki i mamrotała. Siadłam na tapczanie, zrzuciłam koty i nic się nie odzywałam. Zauważyła, że coś ze mną nie tak, więc spytała. Mówię, że wszystko miało się zmienić. Zło wyrzuciłam, komunię przyjąłem i nic się nie zmieniło.

Pomyślała chwilę i mówi, że ze mnie taki perz, co grządki psuje. Jak kto perzem jest, to taki zostanie. Trzeba się modlić, żeby coś zmienić.

Potem do zdrowasiek wróciła. Patrzałam na koraliki, co je między palcami przesuwiała. Drewniane podłużne paciorki. Palce miała pomarszczone, za paznokciami ziemię. Po plewieniu kilka razy trzeba było coś wyprać, żeby ziemia zza paznokci wyszła. Oczy miała zamknięte, kiwała się na krześle, a ze splekanych ust na zewnątrz wypadały zdrowaśki. Patrzałam i myślałam, ile jeszcze zdrowasiek wypaść musi, żeby przestała być perzem i nie przynosiła wstydu...

Kwiat paproci

Miałam w lesie kryjówkę. Czasami wybiegałam ze szkoły, żeby wszystkich wyprzedzić i nie słyszeć głupich dowcipów. Później skręcałam w las. Trzeba było wejść na skarpe, za nią był głęboki rów, a w jego rogu przykryte krzakami rozłożystej jeżyny wejście do jamy.

W środku było ciemno, pachniało wilgotną ziemią i czymś ostrym, jak korzeń chrzanu. Zamykałam oczy i od razu robiło się jasno. Czasami wydawało mi się, że ktoś ze mną jest. Zaciskałam je mocno, chcąc sobie przypomnieć, jak wyglądała mama, ale nigdy mi się nie udało.

Lubiłam być w lesie. Dalej od skarpy było gęsto i dziko. Powalone wiatrem drzewa porastał mech. Krzaki budowały wysepki i wydawało się, że w środku każdej coś jest ukryte. Często próbowałam wejść do środka. Kolce krzaków wbijały się w skórę, a liszki spadały na spocony kark.

Tym razem też schowałam się w jamie. Miałam nie przynosić wstydu i mieć w szkole dobre stopnie. Znow się nie udało. Byłam gotowa z testem, kiedy upadła mi pod stopy papierowa kulka. Schyliłam się, żeby ją podnieść. W tym czasie ktoś podarł moje kartki. Było za mało czasu, żebym zdążyła wszystko napisać. Rozwinęłam kulkę, a w środku było napisane „głupol”. Zachciało mi się płakać i nic już nie mogłam zrobić.

Nie siedziałam długo w jamie. Mama mi się nie pokazała. Musiałam wracać do domu.

Babcia była zła i zabroniła wychodzić. Powiedziała, że koniec ze szlajaniem się. Mam poprawić stopnie, bo wstyd bez końca przynoszę. Siedziałam nad książkami, ale nic do głowy mi nie wchodziło. Myślałam o wstydzie i kiedy w końcu przestanę być perzem.

Babcia zaczęła zbierać się na wieczorną mszę. Zostałam sama. Postanowiłam iść do lasu. Pomyślałam, że zdążę wrócić przed nią. Może po spacerze łatwiej będzie się uczyć.

Miałam już wejść do cieplej, pachnącej chrzanem jamy, ale nagle wydało mi się, że między krzakami coś błysnęło.

Musiałam to sprawdzić.

Kolce wbijały się mocno w skórę, a liszki jak zwykle spadały na kark. Rozdzierałam palcami kolejne ściągnięte buszu. Do twarzy przyklejały się lepkie pajęczyny, ale szłam dalej, do światła. Nade mną zrobiło się ciemno i musiało mocno wiać, bo słychać było skrzypienie drzew. Krzaki były coraz rzadsze. W końcu stanęłam na małej polance, na której rosła tylko paproć. Coś między jej liśćmi świeciło. Odgarnęłam je, a tam był kwiat. Kwiat paproci, który kwitnie raz w roku i przynosi szczęście. Musiałam tu tylko wrócić w nocy i go zerwać.

Nagle trzasnęło nade mną, a na plecy spadło coś mokrego. Wbiło się mocno, raniło ostrymi pazurkami ramiona. Wydostałam się z buszu. Lało jak z cebra. Chwyciłam mokre futerko i schowałam pod bluzkę. Do mojej piersi tuliła się mała wiewiórka.

Babcia była już w domu.

Pierwszy raz uderzyła mnie wtedy w twarz. Zobaczyła wiewiórkę i zaczęła krzyczeć, że przyniosłam do domu wścieklicznę. Chwyciła ją sękatymi paluchami za futerko i wyrzuciła za drzwi. Słychać było uderzenie ciała o ziemię i pisk wbijający się mocno w pierś. W moich oczach zbierały się łzy. Nawet nie pozwoliła mi się przebrać. Taką mokłą pociągnęła za włosy na kolana. Wcisnęła w rękę różaniec i kazała za sobą powtarzać zdrowaśki.

Mdliło mnie i bolała mnie głowa. Byłam głodna. Mówiłam do Matki Boskiej, ale w ogóle nie czułam, że ktoś mnie słucha, koraliki między palcami były zimne. Myślałam tylko o tym, że muszę w nocy iść i odnaleźć ten kwiat paproci. Może on pomoże i przestanie w końcu przynosić wstyd...

Cyganie

Lato przyszło dokładnie z ostatnim szkolnym dzwonkiem. Pierwszego dnia wakacji uśmiechnęło się do mnie słońce. Nie będę chodzić do szkoły. Przez dwa miesiące nie będę drapać się nerwowo po łokciach i wyrzucać jajek do kosza przy sklepie. Nie będzie gonilił mnie żaden śmiech.

Babcia była u kur. Zjadłam śniadanie, które czekało na mnie na stole w kuchni. Do obiadu musiałam plewić. Potem aż do kolacji mogłam robić co chcę.

Lubiłam wakacje. Nigdzie nie wyjeżdżałyśmy. Tylko dwa razy byłam z babcią w mieście. Raz kupowałyśmy sukienkę na komunię. Ale to było dawno i prawie tego nie pamiętam. Drugi raz dwa lata temu, kiedy trzeba było kupić nową bieliznę i biustonosze. To pamiętam dobrze. Wcale mi się nie podobało. Trąbiące samochody i pełno ludzi, którzy wpadają na siebie i nie mówią przepraszam.

Inne dzieci jeździły nad morze albo w góry, ale im nie zazdrościłam.

Latem babcia nie czuła się dobrze. Słońce szkodziło sercu. Ja zmywałam po obiedzie. Potem ona robiła poobiednią drzemkę, a ja do kolacji miałam czas dla siebie.

Poszłam nad jezioro. Lubiłam wodę. Patrzyłam w nią tak długo, aż zaczynała malować dla mnie obrazki. Zawsze byłam na nich uśmiechnięta.

Z daleka poczułam zapach dzikich róż. Zdjęłam sukienkę i zanurzyłam się w wodzie. Kiedy z niej wyszłam, on siedział już w cieniu, na skarpie. Miał ciemniejszą skórę niż ja i był ode mnie starszy. Spytał, czy jestem ze wsi. Powiedział, że jego rodzina zostanie tylko kilka dni. Był Cyganem. Patrzyliśmy oboje na unoszące się na wodzie lilie. Spytał, czy je lubię. Spojrzałam na wystającą z wody główkę kwiatu i tulący ją wachlarz liści. Odpowiedziałam, że tak.

Wszedł do wody. Dno było muliste. Kilka razy potknął się i prawie upadł. Stałam na brzegu, drżąc ze strachu o niego. Zaciskałam mocno ręce, obiecując niebiosom, że jeśli mu się uda, to się w nim zakocham. Był pierwszym chłopcem, który płasał w błocie, żeby mi ofiarować lilie. Pierwszym, który chciał mi coś ofiarować. Udało mu się wyrwać długą łodygę z mulistego dna. Stanął przede mną, trzymając w ręce zdobycz. Był cały mokry. Dałam mu swój ręcznik.

Nad wodę przyszła sąsiadka z dziećmi. Najpierw usadowili się niedaleko. Potem, jak zobaczyła, że nie jestem sama, zebrała rzeczy i przeniosła się dalej. Wiedziałam, że mnie obserwuje, ale było mi wszystko jedno.

Opowiadał o wszystkich miejscach, w których był i jak to dobrze ciągle być w drodze. Zagrał na trawce. W końcu, kiedy słońce schowało się za skarpą i zrobiło mi się zimno, przypomniałam sobie o kolacji. Byłam spóźniona. Zebrałam naprędce rzeczy, obiecałam, że jutro też będę i pobiegłam do domu.

W domu było ciemno. Przy piecu przykryta talerzykiem czekała na mnie kolacja. Babcia siedziała na krzeselku, bokiem do stołu, przesuwając między palcami drewniane koraliki i mamrocząc zdrowaśki. Widząc, że wchodzę, przerwała mówiąc, że wstyd przynoszę. Cała wieś o tym gada. Spytałam, co takiego zrobiłam. Ona na to, że z Cyganami się zadaję, z bezbożnikami. Ani się obejrzę, Cygany wyjadą, a ja z brzuchem zostanę. Taki wstyd. Tylko ja i ten Nowak spod lasu z nimi rozmawia. Ale dla niego to oni pracują.

Próbowałam się tłumaczyć, ale mnie nie słuchała. Wiedziała lepiej. Cała wieś wiedziała lepiej. Ścisnęła te swoje drewniane koraliki, aż się bałam, że je zgniecie. Przez splekane usta wypadały coraz głośniejsze zdrowaśki. Drżąc poszłam do kuchni, ale nie mogłam jeść. Całą noc śniły mi się lilie i słońce odbijające się w ciemnych włosach.

Następnego dnia już na mnie czekał. Czas z nim płynął zbyt szybko. Jak on to robił, że bez przerwy się śmiałam? Opowiadał o ogniskach palonych w lesie. Pokazywał różne sztuczki. Wyciągał mi zza kołnierza monety, które nie wiadomo skąd się tam wzięły. Spytał, czy widziałam kiedyś łabędzia. Odpowiedziałam, że widziałam na zdjęciu. Odparł, że on widział i moja szyja jest tak samo wygięta. Taka łabędzia jak harfa.

Przez kolejne dni nie mogłam się na niczym skupić. Robiłam wszystko, co powinnam, ale tylko czekałam, żeby wyjść. Babcia ze mną nie rozmawiała. Kiwała się na krześle, wyrzucając te swoje zdrowaśki. Jak chciałam wyjść z domu, to padała na podłogę. Wystraszona pytałam, co się dzieje, a ona, że wstyd się dzieje i jeszcze głośniejsze się modliła.

W niedzielę poszliśmy do kościoła. Przed furtką czekała na nas sąsiadka. Trochę mnie to zdziwiło, bo nigdy z nami nie szła, tylko z babcią przy płocie często rozmawiała.

Ostatnio razem paciorki w palcach ścisnęły i zdrowaśki szeptem z ust wyrzucały. Ale do kościoła szliśmy zawsze same.

Na początku milczałyśmy, później sąsiadka zaczęła o Cyganach opowiadać. Że Boga się nie boją, że Nowaka tyle razy okradli. Pomyślałam, że jak okradli, to czemu dalej pracować im pozwala, ale nic się nie odezwałam. Potem, że dziewczynom w głowach bałamuca. Kto wie, może mojej mamie też Cygany w głowie zawróciły i dlatego do miasta uciekła.

Weszliśmy do kościoła. Poszłam za nimi do przodu, a babcia mnie zatrzymała i mówi, że z tyłu mam zostać. Tu o przebaczenie prosić. Stałam sama i wszyscy się odwracali, żeby mnie zobaczyć. Tą, co z bezbożnymi się zadaje. Nie wytrzymałam. Wyszłam z kościoła i pobiegłam szybko nad wodę.

Czekał na mnie. Tym razem było mi wszystko jedno, że słońce zachodzi. Nie musiałam jeść kolacji. Obojętne, co robiłam, to był wstyd. A tu nad wodą było mi dobrze. Dał mi swoją kurtkę. Pachniała malinami. Potem przytulił i smakował malinami. Dotknął piersi i oblał mnie żar, tak jakbym na ognisku w lesie była. Powiedział, że zimno coraz bardziej, a tam kawałek dalej stogi siana stoją. Możemy się w nich zagrzebać i będzie ciepło. Myślałam o ogniskach w lesie, słońcu tańczącym w ciemnych włosach, o łabędziach i harfie. I że kocham maliny. Chciałam iść w to siano natychmiast, żeby tylko nie przestawał mnie dotykać.

Nagle oślepiły nas światła latarek. Zaczęły jeździć po twarzach. Babcia wzięła ze sobą dwie sąsiadki. Zaczęły krzyczeć, że z bezbożnym się zadaje. Że zaraz go do księdza zaprowadzą i w wodzie święconej wykąpią. Wystraszył się, nie wiem, czy księdza, czy tego wrzasku. Zerwał się jak oparzony i między drzewami zniknął. Została mi kurtka pachnąca malinami.

Wzięły mnie pod pachy i zaprowadziły do domu. Tu wyszorowały solą, aż skóra bolała. A potem kazały położyć się w łóżku. Wcisnęły mi do ręki różaniec. Same klęczały wokół łóżka i przesuwając między palcami paciorki, mamrotały zdrowaśki. Przy tym mamrotaniu zasnęłam...

Siostra Daniela

Cieszyłam się, że będę w internacie. Siostra Daniela pomogła. Gdyby nie ona, babcia nigdy by się nie zgodziła. Miała z nami raz w tygodniu religię. Była jedyną osobą we wsi, która się do mnie uśmiechała. Lubiłam z nią rozmawiać, bo zapomniałam, że jestem perzem, bękartem i wstydem. I zawsze stawiała w mojej obronie. Kiedyś podczas katechezy wyszła z nami do ogrodu. Była jesień. Wiał lekki wiatr. Zwiewał delikatnie liście, a te zataczały piruety i opadały w ukłonie na ziemię. Powiedziałam głośno, że liście tańczą na wietrze.

Dzieci zaczęły się śmiać. Mówić, że znowu wymyśliłam, jak to bękart. Wtedy siostra Daniela objęła mnie ramieniem, uciszyła wszystkich i powiedziała, że nie można śmiać się z kogoś, kto widzi więcej niż my.

Któregoś razu przyszłam na religię wcześniej. Chciałam nazbierać kasztanów w ogrodzie. Siostra siedziała pod drzewem. Przesuwała między palcami białe korale różańca i uśmiechając się, patrzyła w niebo. Stałam cicho, bojąc się oddychać. Chyba wyczuła moją obecność, bo odwróciła się i skinęła głową, żebym siadła koło niej.

Przesuwała koraliki między palcami, wciąż się uśmiechając. Ale robiła to delikatnie i nie mamrotała pod nosem. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. W końcu odważyłam się spytać, jak to się stało, że jest zakonnicą. Odpowiedziała, że nie wie, jak. Po prostu się stało. Była normalną dziewczyną. Chodziła na dyskoteki i na wagary. Paliła papierosy i wcale nie lubiła kościoła, bo był nudny. Była zakochana, a nawet zaręczona. Któregoś razu przechodziła ulicą zakonnicą i coś ją tknęło. Podeszła i spytała, co zrobić, żeby być zakonnicą. A potem się po prostu stało. Nikt tego nie rozumiał. Narzeczony nigdy jej nie wybaczył. Rodzice przez długi czas w ogóle z nią nie rozmawiali, uznając, że przynosi rodzinie wstyd. Zerwała zaręczyny i musieli przestać czekać na wnuka.

Siedziałam w milczeniu. Patrzyłam, jak białe koraliki przelewają się przez jej palce jak ziarenka piasku. Inne były te koraliki niż babcine. Jej palce też były inne. Długie, szczupłe i delikatne. Babcia pocierała palcami swoje drewnienka nerwowo, jakby chciała je do czegoś zmusić. Siostra Daniela robiła to inaczej. Przypomniało mi się, jak u sąsiadów urodziło się kozłátko. Też tak je głaskali – delikatnie, żeby nie skrzywdzić.

Patrząc na siostrę Danielę pomyślałam, że też chciałabym coś takiego poczuć. Żeby wiedzieć, jak dalej iść. Bez względu na to, co powiedzą inni. I do tego móc się uśmiechać.

Potem przyszło to Boże Ciało. Zawsze marzyłam, żeby sypać kwiatki, ale byłam za wysoka i nie pasowałam do grupy.

W Boże Ciało cała wieś chodziła za księdzem, od ołtarza do ołtarza. Babcia też szła, trzymając w ręku drewniany różaniec.

Józka przeżywali krasnal. Był niski, miał połatane spodnie i zawsze pachniał wędzonką. Matka umarła, jak był dzieckiem, a ojciec wędził ryby. Józek mu pomagał.

Był inny, więc również poza nawiasem. Nie trzymałam z nim, bo sięgał mi ledwo do piersi. A poza tym był głupi. Ciągłe się śmiał, nie wiadomo z czego. Tyle że byliśmy wobec siebie lojalni, żadne nic złego na drugie nie powiedziało. Obydwoje inni, ja bękart, on śmierdziuch. Ja chowałam się w cieniu, on zawsze musiał być przed szeregiem.

Tym razem także płątał się między nogami, podtrzymując księdzu sutannę. Wszyscy szli, ksiądz proboszcz, wikary, obydwie siostry i cała wieś. Wszyscy równym krokiem, tylko Józek płątał się między nogami z głupim uśmiechem. Nagle stanął dęba, oczy wybałuszył, plamy czerwone na twarzy mu się pojawiły. Po chwili zaczął puchnąć. Wyglądało, jakby się dusił.

Ksiądz z hostią nad nim klęknął, baby też na klęczki, zdrowaśki mamrotać zaczęły. Patrzyłam i myślałam, że umrze. Zrobił się siny na twarzy. Oczy miał na wierzchu jakby zaraz miały wypaść. W szkole uczyli, że po pogotowie trzeba dzwonić, jak ktoś tak wygląda. A tu wszyscy klęczeli i się modlili. A z Józka dusza uciekała. Trwało chwilę, aż siostra Daniela zaczęła się przez tych klęczących przepychać. Dostała się do Józka, chwyciła za torebkę, którą na szyi nosił, wyjęła strzykawkę i wbiła mu w brzuch. Oddech zaczął się uspokajać. Wyjęła jakąś buteleczkę i kiedy już spokojniej oddychał, kazała mu wypić, a wikaremu zadzwonić na pogotowie.

Nikt poza siostrą Danielą nie wiedział, że Józek na osy uczulony. Wszystko dobrze się skończyło. Pogotowie zabrało go do szpitala. Dwa tygodnie nie było go w szkole. Wrócił i dalej płątał się między nogami i pachniał wędzonką.

Pytałam babcię, czemu od razu nikt na plebanię nie pobiegł. A ona, że wszystko wolą Pana. Jak Pan anioła w niebie potrzebuje, to i pogotowie nie pomoże.

Po tym zdarzeniu siostra Daniela postanowiła przenieść się do innej parafii.

Przed wyjazdem razem z panią od polskiego przekonały babcię, że powinnam iść do szkoły z internatem, do miasta. Babcia mamrotała pod nosem, że za głupia na miasto jestem i kto wie, jaki wstyd z tego miasta na wieś przyniosę. Ale na głos bała się powiedzieć. A jak pani od polskiego powiedziała, że najlepsze historie z wszystkich piszę i talent marnować to grzech, a siostra jej przytaknęła, to nie miała wyboru. Musiała się zgodzić. Potem jeszcze długo marudziła, że wymyślanie historii nikomu na dobre nie wyszło i niech Bóg mnie chroni.

Siostra Daniela dała mi w prezencie swój biały różaniec. Miał ciepłe koraliki. Przesuwały się między palcami jak ziarenka piasku. Wyjechała ze wsi. Mówili, że do miasta. I ja też niedługo miałam wyjechać.

Gosia

Internat był w samym środku miasta. Wystarczyło kilka kroków, żeby być na głównej ulicy, w Alejach. Na ich wierzchołku stała wieża kościoła. Bokami rosły wysokie drzewa.

Nigdy nie widziałam tylu zakonnic na ulicach. Myślałam, że spotkam siostrę Danielę. Chciałam poczuć coś takiego jak ona i znaleźć moją drogę. Przy każdej mijanej zakonnicy sprawdzałam, czy coś się ze mną dzieje, ale niestety nic nie czułam. Siostry Danieli też nie spotkałam.

W pokoju byłyśmy we dwie. Gosia powiedziała, że czuć ode mnie wsią. Pewnie mówiła o kotach. Gosia też była ze wsi, ale wyglądała jak miastowa. Ze mnie też postanowiła zrobić miastową. Sukienki kazała oddać babce, bluzki i spodnie mogły być. Miałyśmy podobne figury, więc obiecała, że będzie mi pożyczać ubrania.

Gosia była już na zabawach w remizie, ja nie. Czasem chłopcy z sąsiedniej wsi podjeżdżali w sobotę wieczorem na motorach pod płot, ale babcia ich odganiała. Na tych zabawach głównie się tańczyło i piło wino. Spytałam, po co, a ona odparła, że aby mieć przyjemność. Nie rozumiałam, ale kiwnęłam głową, żeby nie pomyślała, że jestem głupia. Powiedziała, że w mieście będziemy chodzić na dyskoteki.

Wychodziłyśmy z internatu razem, ale Gosia zawsze miała coś do załatwienia i mówiła, żeby na nią nie czekać. Potem przychodziła na drugą, trzecią lekcję, a czasami w ogóle. Tylko raz zapytałam, gdzie była, odpowiedziała, że każda ma swoje życie i to jest podstawa przyjaźni. Pierwsza rzecz, którą mi dorosłe życie przypominało, nie pytać. No i pierwszy raz miałam przyjaciółkę. Pisałam dla niej wypracowania. Ona pożyczała mi tusz do rzęs.

Przyszła w końcu ta sobota. Gosia postanowiła, że pójdziemy na dyskotekę. Wybrała dla mnie sukienkę i ogoliła mi nogi. Nigdy tego nie robiłam. Były takie gładkie. W cienkich rajstopach, sukience, nowej fryzurze i makijażu stanęłam przed lustrem i nie poznałam siebie. Pierwszy raz w życiu się sobie podobałam.

W ten dzień dyżur miała pani Jadzia, która nie sprawdzała pokoi. Na wszelki wypadek ułożyłyśmy ubrania pod kołdrą, żeby wyglądało, że śpimy. Poza tym wykręciłyśmy żarówkę, gdyby jednak postanowiła zajrzeć. Gosia kazała mi założyć swoje buty z obcasem.

Był nieduży, ale buty były za małe i palce cierpły z bólu. Na szczęście pokój był na parterze, więc można było wyjść przez okno. Ze strachu potknęłam się na parapecie i o mało nie skrzyłam nogi.

Po drodze Gosia przyznała, że mnie okłamała. Że to nie dyskoteka, ale impreza w domu. Nie powiedziała mi wcześniej, bo bym nie poszła. Miała rację, nie poszłabym. Poczułam się oszukana. Gosia powiedziała, żebym przestała być dzieckiem i pozbyła się w końcu tych wsiowych strachów.

Byłyśmy w połowie drogi. Za nic sama nie wróciłabym do internatu. Zresztą bez pomocy nie wdrapałabym się na parapet. Ledwie czując stopy, poszłam za nią.

Mieszkanie było zadymione. Kilka osób znałam z widzenia ze starszych klas. Był jeden chłopak, którego spotkałam kilka razy na ulicy. Podobał mi się. Był starszy i zawsze puszczał do mnie oczko.

Poza tym nie znałam nikogo. Wyglądało na to, że Gosia znała wszystkich. Szybko zniknęła w tłumie. Zostałam sama, bolały mnie stopy i nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Chwyciłam stojącą na stole szklankę z winem i wypiliśmy do dna. W stopach zaczęło robić się ciepło.

Wtedy podszedł on i poprosił mnie do tańca. Było tak miło, jak prowadził przez pokój i przyciskał do siebie. Tylko że śmierdzał papierosami. Zaczęło mnie mdlić, więc mu o tych papierosach powiedziałam. Kazał chwilę poczekać. Odszedł, a potem wrócił i znów przytulił. Teraz pachniał papierosami i kiszonym ogórkiem. Zjadł ogórka, żeby nie śmierdzieć. Zrobił to dla mnie. To było takie romantyczne, że pozwoliłam przytulać się mocniej.

Dotykał moich gładkich nóg i robiło mi się gorąco. Powiedział, że tu jest za głośno na rozmowę i zabrał mnie do jednego z pustych pokoi. Tam było cicho, tylko jeszcze goręcej. Zdjął koszulę i zaczął całować. Nie smakował malinami, tylko ziołami. Gorycz dreptała tysiącem mrówczych nóżek do podniebienia. Zatykała krtań i spływała ciałem w dół jak trucizna. Wywoływała nieznośne drżenie, rozsuwała uda i robiła mokrą. Byłam naga i wcale nie czułam wstydu. Było tak gorąco, że w ubraniu nie dałabym rady. Wsunął się we mnie i zabolalo. Spytał, czy przestać, pokręciłam przecząco głową. Czułam, że za tym bólem coś jest. Krzyżyk zwisający z jego szyi miarowo i coraz szybciej trzącał mój nos. W końcu ból przeszedł. Jakby ktoś jakieś drzwi otworzył i drapiąca gorycz weszła dołem. I to był koniec. Wyszeptał jeszcze, że kocha i spocony opadł na mnie, wciskając mi ten srebrny krzyżyk w piersi. Leżeliśmy dość długo. A ja w tej ciszy myślałam o tym, że pierwszy raz ktoś powiedział, że kocha. I pewnie to już na całe życie.

Nagle wstał, pogłaskał policzek i zaczął zakładać spodnie. Z kieszeni wypadł różaniec. Podobny do babcinego, tylko koraliki nie były takie kanciaste. Też drewniane, ale gładkie i błyszczące. Podniósł go szybko, pocałował i schował do kieszeni. Leżałam nie wiedząc, co powiedzieć. W końcu spytałam, co dalej z nami. Przez chwilę milczał, w końcu powiedział, że nas nie ma. Spytałam o „kocham”. Odparł, że tak się mówi. On kocha Boga. Jest w seminarium. Za kilka lat będzie księdzem. Wystraszyłam się, że jak to nie miłość, to grzech. On na to, że nie z nim.

Nagle zaczęłam wstydzić się, że jestem naga. Przykryłam się kołdrą i spytałam, co mam dalej robić. Odpowiedział, że powinnam się modlić i wyszedł.

Zrobiło się bardzo zimno. Ubrałam się szybko. Buty zaczęły cisnąć. Wypiłam jedną szklankę wina, potem jeszcze jedną. Siadłam w kącie przy kaloryferze i zasnęłam.

Obudziła mnie Gosia. Ciągnęła mnie do internatu. Byłam półprzytomna. Na parapecie poślizgnęłam się. Spadłam, robiąc dużo hałasu. Zanim zdążyłam się podnieść, z bu-

dynku wybiegła pani Jadzia. Wyglądałam okropnie. Rozerwane rajstopy i bluzka, czego wcześniej nie zauważyłam. No i nie byłam trzeźwa. Złamałam regulamin. Pani Jadzia była rozczarowana. Do babci został wysłany list. Nawet nie chciałam myśleć, co będzie się działo, jak pojadę do domu.

Miłość...

Kochałam lekcje polskiego. Najbardziej pisać wypracowania i recytować wiersze. Mówiłam i przed oczyma stawały obrazki. Czułam zapachy, smagające wiatry, palące słońce. Kiedy pisałam, było zawsze ciepło. Gniew walił sercem, tęsknota płynęła łzami, nadzieja rozkładała niewidzialne skrzydła i przestawałam dotykać ziemi. To były momenty, kiedy zapomniałam, że jestem bękartem.

W mieście pierwszy raz w życiu byłam w teatrze. Z klasą, na porannym przedstawieniu. Jak zgasły światła, to zapomniałam, że to dzień i że jestem tu ze szkoły. To był inny świat i coś we mnie cieszyło się, że to w końcu mój świat.

Pani prosiła, żebym pisała w wolnych chwilach, a potem przynosiła jej do przeczytania.

Na razie nie miałam wolnych chwil. Po nocy na domówce nie mogłam się na niczym skupić. Czułam się brudna i bardzo samotna. Opowiedziałam o tym Gosi, ale nie rozumiała.

Powiedziała, że teraz jestem kobietą i powinnam być zadowolona, że poszło tak gładko. Ją bolało i długo nie dała się nikomu dotknąć. Pytałam ją, czy to „kocham” to była prawda. Odpowiedziała, że może i tak. Ale jak ma być księdzem, to nie ma wyboru. U nich przecież na pierwszym miejscu jest Bóg.

W nocy nie mogłam spać. Słyszałam wciąż „kocham”. Wchodziło nieproszone wilgotno w ucho, drapało skórę, wypełniało usta śliną. Rozgrzewało, budząc tęsknotę. Aż w końcu cichło. Chłód wypełniał płuca. Plakałam w poduszkę myśląc, że muszę o niego zawalczyć z Bogiem. Nawet jeśli nie wygram, to niech się chociaż ze mną podzieli.

W szkole nie mogłam się skupić i łapałam coraz więcej pał. W końcu przestałam do niej chodzić. Gosia zmusiła mnie, żebym poszła do lekarza i wzięła zwolnienie. Dobrze poradziła, bo inaczej pewnie by mnie wyrzucili. Ale w internacie też nie mogłam siedzieć całe dnie. Czułam, że spadają na mnie ściany. Przygniatały piersi i nie mogłam oddychać.

Teatr był niedaleko. Pierwszy raz na poranne przedstawienie weszłam z jakąś szkołą. Na chwilę udało się zapomnieć o tęsknocie. Pojawiła się nowa, za sceną. Przychodziłam prawie codziennie, wchodząc wmieszana w tłum. Później już mnie poznawali i wpuszczali bez biletu.

W któryś piątek Gosia powiedziała, że idziemy na domówkę. Będzie mój ksiądz. Najwyższy czas to wyjaśnić, bo powoli wyglądałam jak własny cień.

Gdy powiedziała, że będzie mój ksiądz, zrobiło mi się gorąco, aż zakręciło głowę. Wbiegłam do łazienki, żeby ogolić nogi. Gosia przyszła po chwili, wyjęła mi z rąk żyletkę, mówiąc, że krwawię jak zarzynany prosiak i ogoliła je sama.

W sobotę wskazówki zegara stały w miejscu. Nie mogłam jeść, ciągle patrzyłam w lustro. Serce rozwalało piersi i widziałam, że jestem piękna. Tylko buty cisnęły.

Ułożyłyśmy ubrania pod kołdrą i wykręciły żarówkę. Teraz już nie musiałyśmy wychodzić przez okno. Miałyśmy klucz do drzwi, które były w męskiej toalecie.

Zaczął padać śnieg. Białe płatki odbijały światła latarni i sadyły mi zimno na nosie. Czułam, że będzie dobrze. Obcasy ślizgały się na mokrym chodniku, ale udało się nie przewrócić.

W mieszkaniu panował półmrok, a dym z papierosów szczypał w oczy. Trudno było kogoś rozpoznać. W końcu dostrzegłam znajomy srebrny krzyżyk połyskujący w półmroku. Poczułam, jak miarowo trąca mój nos. Podeszłam bliżej. Uśmiechnął się, objął ramieniem i zaprowadził do pokoju.

Było gorąco. Szepnął, że tęsknił, wpił się w usta i od razu gorycz zalała trucizną. Potem powiedział, że kocha i zaczął pieścić piersi. „Kocham” przyspieszyło oddech, wysunęło brodawki i wypełniło drżeniem. Znów srebrny krzyżyk uderzał miarowo w nos. Wsunął się i wypełnił ogromem, aż zaparło dech. „Kocham” wirowało w głowie, rozmywało wzrok, kazało przylgnąć do niego z całych sił. Jak to się działo, że ogrom dławił krtań? Chyba straciłam przytomność. Kiedy się ocknęłam, siedział ubrany na brzegu łóżka, palił papierosa i patrzył na mnie.

– Co to było? – spytałam, ledwo wydobywając głos.

– Było miło... – odparł mrużąc oczy i wypuszczając kółeczko dymu.

– Kochasz mnie? – spytałam.

Zaczął się śmiać. Zgasił papierosa i rzucając „baw się dobrze!”, wyszedł z pokoju.

Leżałam cicho, nic nie rozumiejąc. Byłam w pokoju sama, a wydawało się, że we wszystkich kątach unosi się szept „bękart”. Łzy, spływając po policzkach, spadały na szyję i paliły solą.

Czyli „kocham” mówi się dla zabawy. Z Bogiem nie mam szans. A w życiu wszystko boli, nawet stopy.

Chciałam być na wsi. Pobiec do lasu, zaszyć się w mojej kryjówce, zamknąć oczy i zobaczyć w końcu mamę. Potem ogarnęła mnie złość. Nie obchodzę jej. Nigdy mi się nie pokazała. Nikogo nie obchodzę. „Ty głupia cipo!” krzyknęłam. „Poradzę sobie bez ciebie”. Ubrałam się i poszłam do pokoju. Wypiłam dwie szklanki wina i zrobiło się lepiej. Sięgnęłam ręką po trzecią, ale jakaś żyłasta dłoń zatrzymała ją w połowie drogi.

Był długi i chudy. Skórzana kurtka wisiała na nim, wyglądał jak strach na wróble na polu u Nowaka. Na szyi wisiał mu różaniec. Z dużymi, czarnymi paciorami. Wydawało się, jakby ciągnął go w dół. Skrzywiłam się z niesmakiem. Zauważył to i podniósł pytająco brwi.

– Nie ufam różańcom. Też chcesz być księdzem?

– To znak protestu. Nikt nie będzie mi mówił, co mam robić. A na pewno nie ci w czarnych sukienkach – odparł spokojnie.

Przyjrzałam mu się uważnie i zaśmiałam w duchu. Ciekawe, co by baby na wsi powiedziały, jakby taki ksiądz przyjechał. Z tatuażem na szyi i kolczykiem w ustach.

– Boli? – spytał

– Tak, dlatego potrzebuję wina...

– Nie pomoże. Zwymiotujesz i dalej będzie bolało...

– To co mam zrobić?

– Weź coś na ból – mówiąc to wyjął z kieszeni listek białych tabletek. Znałam je. Babcia brała takie same. Dał mi cztery, a może sześć, a potem podał szklankę wina.

Nie pamiętałam, co się działo potem. Tylko że wszystko przestało boleć, nawet stopy.

Gosia opowiadała, że tańczyłam ze skórzanym chudzielcem. Potem rozmawiałam z krzesłem, tak jakbym rozmawiała z mamą. Wpadłam w furję i połamałam je, przy okazji rozcinając sobie palec. Nie pozwoliłam opatrzyć rany. Przez chwilę spałam, wtedy udało się zatamować krwawienie. Jak się obudziłam, zerwałam wszystkie kwiatki z azalii krzycząc, że to czysta miłość, po czym zwymiotowałam na dywan. Do internatu prawie mnie przynieśli, a cała przygoda skończyła się w męskiej toalecie, gdzie upadłam na pisuar, rozbijając

go i budząc cały internat. Przynajmniej nie zorientowali się, że byłam na zewnątrz, tylko że piłam. Tym razem dostałam naganę, a do babci został wysłany kolejny list. Zbliżały się świąteczne ferie. Wszyscy wyjeżdżali do domów, internat był zamknięty. Ja jechałam na wieś.

Egzorcyzmy

Autobus dojeżdżał do wsi. Z daleka widać było dym unoszący się nad kominami i wieżyczkę kościoła. Pozbawione liści gałęzie wbijały się ostrymi końcówkami w wiszące nisko szare chmury. Śniegowe błoto po bokach drogi napawało obrzydzeniem. Tylko pola pod lasem były białe.

W domu było ciemno. Posprzątane, napalone w piecu, nawet choinka była ubrana. Na fioletowo, jak zawsze. Bo trzeba żałować, że Chrystus życie stracił, a my dalej grzeszymy, pokory w sobie nie mając. Babci nie było.

Obiadu też nie było. Znalazłam kawałek chleba i czekałam. W końcu zmęczona zasnęłam.

Kiedy się obudziłam, nogi i ręce miałam przywiązane do poręczy łóżka. Babcia stała nade mną. Ciemne oczy wyglądały jak papa świeżo nałożona na dach. Pomarszczone palce przesuwaly paciorki różańca, jakby chciały je zgnieść. Suche, sine usta bezgłośnie wyrzucały zdrowaśki.

Kiedy zauważyła, że się obudziłam, przestała. Nie odzywając się, wyszła do kuchni. Po chwili wróciła ze Skrzypkową.

Skrzypkowa mieszkała pod lasem. Cała wieś się jej bała. Mówili, że czarownica. Była dla wszystkich ostatnim ratunkiem. Jak lekarz ani ksiądz nie mogli pomóc, to szło się do Skrzypkowej. Była taka stara jak babcia albo i starsza. Miała duże owłosione dłonie, jak rosły mężczyzna i spojrzenie pełne pogardy. Widząc, że już nie śpię, podkasała rękawy i powiedziała babci, żeby trzymała mi uda.

Babka rzuciła się na moje nogi, wbijając paznokcie w skórę, aż krzyknęłam z bólu. Skrzypkowa nachyliła się i wsunęła we mnie dłoń. Nie mogłam oddychać, łzy spływały po policzkach, nawilżając spierzchnięte usta. Czułam się tak, jakby ktoś włożył we mnie dziobiące ptaki. Obrzydzenie i ból zatykały mi krtań. Trwało to całą wieczność. W końcu wyjęła łapsko mówiąc, że w ciąży nie jestem, ale dziewicą też nie. W babkę jakby diabeł wstąpił. Siadła na mnie okrakiem i zaczęła bić po twarzy, krzycząc, że bękart, że bezbożnik ze mnie. Że nawet Pan Bóg pomóc nie może. Ale ona da radę i zaraz to zło ze mnie wypławi. Ślina wyciekała jej z ust i spadała na moją twarz. Nie miałam sił trzymać prosto głowy. Odbijała się jak piłeczka między jej dłońmi. Widziałam tylko na przemian owłosione ręce Skrzypkowej i fioletowe bombki na choince. W końcu obraz zaczął się zamazywać. Chyba zemdlalam.

Obudziłam się następnego dnia rano. Ścierpnięte ręce i nogi wciąż były przywiązane do poręczy. Chciało mi się siusiu. Zawołałam i przyszedł do pokoju, trzymając w rękach dyumiące wiechcie. Zaczęły tym machać nade mną mamrocząc, każda co innego. Babka te swoje zdrowaśki, a Skrzypkowej nie rozumiałam. Trwało to chyba z godzinę. Chciałam do toalety, byłam głodna, miałam wysuszone gardło, a do tego czułam, że muszę się umyć, bo po wieczornych zabiegach krwawiłam. W końcu Skrzypkowa poszła. Zostałam z babką sama.

Popatrzyłam na nią i poczułam, że jej nienawidzę. Zatrzęsło mnie nagle tak, że pomyślałam, że może dobrze, że mnie związały, bo gdybym miała wolne ręce, to nie wiem, co bym jej zrobiła.

Potrzebowałam kilku minut, żeby się uspokoić. Poprosiłam, żeby mnie odwiązała, bo muszę do łazienki. Nic się nie odezwała. Czekałam chwilę, po czym zagroziłam, że jeśli mnie nie odwiąże, to zesikam się w jej ukochane pierzyny, co je ksiądz dwa lata temu po kolędzie święcił. To ją ruszyło. Odwiązała i poszła za mną do łazienki, miętolać te swoje koraliki. Zrobiło mi się niedobrze. Dopiero jak zamknęłam za sobą drzwi na haczyk, puściłam wodę, żeby nie słyszeć modlitw i siadłam na toalecie, opadło ze mnie całe napięcie. Zaczęłam płakać. Każda myśl w głowie bolała. Obojętne, gdzie byłam i co robiłam, wszystko było złe. Każdy dzień wracał kamieniem, prosto w twarz. Matka mnie nie chciała. Dla babki też byłam ciężarem i tylko czekała, żeby mnie zgnieść. Jak mogła pozwolić jakiejś babie wkładać we mnie ręce, obmacywać i ranić?

Zasłaniała się tymi koralikami, wodą święconą oblewała i tyle to przynosiło, że brudzy na sękatych palcach jeszcze głębsze i brzydsze się robiły.

Łzy przestały płynąć, został ciągnący w dół smutek. Czułam się brudna. Zaczęłam się szorować z całych sił, aż skóra zrobiła się brunatnoczerwona. Woda rozpuszczała zaschniętą krew, która rdzawymi stróżkami spływała po udach.

Babka zaczęła szarpać drzwiami. Krzyknęłam, że zaraz wychodzę. Ubrałam się, zacisnęłam zęby i postanowiłam, że dam radę do końca ferii. A potem wyjadę do miasta i nigdy tutaj nie wrócę.

Przez następne dni zaciskałam zęby tak mocno, że aż bolały szczęki. Babka uznała, że dymiące wiechcie Skrzypkowej pomogły, bo mnie nie wiązała. Tamtej też nie zapraszała.

Nawet zaczęła do mnie mówić. Że na wsi powinnam zostać, bo miasto mnie psuje. Cała wieś znowu gada. Że piję, nocami się szlajam i wstyd przynoszę. Pomyślałam, że listonosz pismo ze szkoły otworzył. Zanim do babki doniósł, cała wieś wiedziała. Od zawsze wszyscy wiedzą, że nic ze mnie nie będzie. Zaczęłam zaciskać pięści, żeby nie wybuchnąć.

Każdego ranka, otwierając oczy, czekałam na koniec dnia. Wieczorem cieszyłam się, że kolejny jest za mną.

W Wigilię rano babka kazała iść do spowiedzi, bo będziemy się dzielić opłatkiem. Odparłam, że nie będę chodzić, bo przestałam w to wierzyć. Ona, że ciało Chrystusa muszę przyjąć, żeby wejść na dobrą drogę. Spytałam jej, która droga jest dla mnie dobra. Nic nie odpowiedziała. Za koraliki chwyciła i dalej zdrowaśki mamrotać. Poczułam, że się duszę i chciałam wyjść, wtedy mówi do mnie, że złem przesiąknęłam, nogi przed byle kim rozkładam i męża porządnego nie znajdę. Kłątwa nade mną dalej wisieć będzie. Zachciewajki ma każdy, ale Bóg daje rozum, żeby im nie ulec. Ona na dziadka czekała.

Przerwałam jej, bo czułam, że ogień we mnie zaczyna buzować. Spytałam, co jej ta cnota i mamrotanie przyniosło. Dziadek wypracowane hektary przepił i umarł. Córka ze wsi uciekła i zostawiła ją z bękartem, z którego i tak nic nie będzie. To po co dalej miętoli i mamrocze?

Zrobiła się czerwona jak moja skóra po szorowaniu. Wiedziałam, że ją boli. Pomyślałam, że dobrze jej tak i wyszłam.

Poszłam polami nad wodę. Śnieg sięgał łydek. Wpadał do kozaczków i chłodził nogi. To pozwoliło się trochę uspokoić. Zaczynało zmierzchać. Pierwsze gwiazdy odbijały się w wodzie. Była spokojna i smutna, tak jak ja. Pomyślałam, że może też tęskni za zapachem malin. Zamknęłam oczy i zobaczyłam słońce tańczące w ciemnych włosach i łabędzia. Usta miałam pełne malin, a żar rozpalał piersi.

Zrobiło się późno i musiałam wracać do domu. Bałam się, co tym razem zastanę. Skrzypkową z dymiącym wiechciem? A może księdza?

Postanowiłam, że pójde najpierw do drewnutni. Tam schowana była kurtka pachnąca malinami.

Szukałam wszędzie. Pod stosami drewna, za zwałami węgla, nawet na półkach z zimowymi zapasami. Nigdzie nie było. Czyli znalazła. Zabrała to, co było tylko moje. Znow ogarnął mnie gniew.

Weszłam do domu. Była sama. Siedziała przy stole i wpatrywała się w zapaloną świeczkę. Ta odbijała się w fioletowych bombkach. Zobaczywszy mnie, westchnęła ciężko i powiedziała, żebyśmy podzieliły się opłatkiem, bo już późno. Spytałam, gdzie jest kurtka.

– Trzymasz ją jak święty obrazek. Może przez to to wszystko... – odpowiedziała, chwytając od razu za różaniec.

– Jest moja, oddaj mi ją... – wycedziłam, ledwo panując nad sobą.

– Nie twoja, tylko tego bezbożnika – przerwała.

– Dał mi więcej niż ty przez całe życie... Przez chwilę nie czułam się perzem... – nie panowałam nad głosem

Znow jakby diabeł w nią wstał. Zerwała się krzycząc, że wszystko dla mojego dobra. Że jestem niewdzięcznym bękartem. Życie dla mnie zmarnowała... – była taka brzydka, wyrzucając to z siebie.

W pewnej chwili podniosła trzymany w ręce różaniec i zamachnęła się nim.

Pierwsze razy trafiły w brzuch i ręce. Byłam tak osłupiała, że nie mogłam się bronić. Widziałam jej złe oczy, a za nimi wiszący na ścianie obraz Matki Boskiej z okrytym białą szmatką dzieciątkiem.

Później zaczęła bić po twarzy. Koraliki wbijały się drzazgami w policzki. Kiedy krzyż uderzył w usta, zrobiło mi się z bólu ciemno przed oczami. Potem jeszcze raz i jeszcze raz. Aż w końcu, Bóg jeden wie skąd wzięła tyle siły, zamachnęła się tak mocno, że rozcięła mi wargę. Padłam na kolana, a usta wypełniły się krwią. A ona biła dalej. Po plecach, po głowie i znow po twarzy. Srebrny krzyż wbijał się w policzki. Nie czułam już bólu. Patrzyłam półprzytomnie na jej rozwścieżoną twarz i łzy, kapiące grochem na brzydkie, sękaty palce.

Nie wiadomo, jak by się to skończyło, gdyby nie przyszła Skrzypkowa. Widocznie znow miały w planach jakieś egzorcyzmy. Uderzyła babkę kilka razy w twarz i ta się uspokoiła. Wezwwała pogotowie. Zszyto mi wargę, a resztę ferii spędziłam na plebani, prawie nie wychodząc z łóżka. Potem pojechałam do internatu, nawet się z nią nie żegnając.

Słońce

W mieście świeciło słońce i leżał świeży śnieg. Z przyjemnością wdychałam ostre, mroźne powietrze. Cieszyłam się na internat, na spotkanie z Gosią i na lekcje polskiego.

Pani Jadzia przywitała mnie mówiąc, że dostałyśmy nowy pokój. Będziemy mieszkać na pierwszym piętrze, obok pokoju wychowawców. To było do przewidzenia, po moich eskapadach postanowili zwiększyć kontrolę. Pomyślałam, że koniec z nocnymi wycieczkami, ale Gosia mnie uspokoiła, że trzeba przeczekać. Na początku będą sprawdzać, więc musimy uważać. Później przestaną i coś wymyślimy.

Wszystko było tak jak wcześniej, ale tak naprawdę nic już nie było takie samo.

W szkole czas się dłużył. Zbliżał się koniec półrocza. Musiałam poprawiać stopnie i zaliczyć zaległe klasówki. Śnieg przestał wyglądać ładnie i świeżo. Przebijające się codziennie przez miasto gęste sznury samochodów przykryły go ciemnobrunatnym osadem.

Rano, kiedy szłam do szkoły, było jeszcze ciemno, a powietrze pachniało palonym drewnem, tak jak na wsi. Przed oczami pojawiała się babka.

Ciemne, wypełnione gniewem ślepie. Suche, sęcate, pomarszczone palce wbijające się brudnymi paznokciami w uda. Ślina kapiąca żarłoczną ciekawością na moje kolana. Gdyby mogła, sama władowałaby we mnie łapska. Siwe, tłuste włosy, przyklejające się do mokrych kącików ust. A za nią wiszący nad obrazem różaniec, który miał chronić...

Nocami nie mogłam spać. Bolało mnie na dole. Wydawało mi się, że włosy na dłoniach Skrzypkowej ranią nogi, a paluchy jak glisty pełzają we wszystkie strony, zostawiając we mnie żął.

Kiedy już zasypiałam, śniły mi się fioletowe bombki, odbijające światło świec.

Pani od polskiego była chora. Wielu nauczycieli było nieobecnych, dlatego drzwi od klasy zostawały otwarte, a my dostawaliśmy do wypełniania testy. Chodziłam, ledwo powłóczę nogami. Wciąż szukając sposobu, żeby poprawić sobie humor. Przypomniali mi się białe tabletki i skórzany chudzielec. Nie, żeby znowu chciała mieć taki odjazd, ale może pomogłyby zasnąć.

Poza tym za chwilę kończyło się półrocze i zaczynały ferie zimowe. Przerazało mnie to. Nie wiedziałam, gdzie mam się podziać.

Spytałam Gosię o chudzielca. Ostatnio miała dziwnie dobry humor i nie chciała na ten temat mówić. Nazywali go Jaguar i można go było spotkać w kawiarni, niedaleko teatru. Poznał mnie, spytał, czy znowu boli. Kiwnęłam w odpowiedzi głową. Dał mi dwa listki tabletek, mówiąc, żebym uważała.

Schowałam je do szuflady szafki nocnej. Na razie bałam się wziąć.

Błoto spływało do kanałów. Podnosiła się zmęczona zeszłoroczna trawa i znowu pojawiało się słońce.

Tego ranka Gosia wyszła do szkoły wcześniej, miała coś do załatwienia. Pomyślałam, że lepiej, żeby nikt nie znalazł tabletek w szufladzie, wrzuciłam je do torby i też poszłam do szkoły.

Powietrze pachniało arbuзем, lekki wiatr pieścił policzki. Dziś miała być już pani od polskiego. Miałam chwilę, więc wybrałam drogę przez park. Nagle między drzewami zamajaczyła znajoma postać. Podeszłam bliżej, bo wydało mi się, że to Gosia. Miałam rację, to była ona, tylko nie sama. Z moim księdzem. Chyba skończyli, ona obciągała spódnice, a on zapinał rozporek.

Poczułam, że krew uderza mi do głowy. Ruszyłam szybko w stronę szkoły, nie reagując na nawoływanie. Dogonił mnie, chwycił za ramię mówiąc, żebym się uspokoiła. Że nie mogę traktować wszystkiego tak poważnie, że w życiu trzeba się bawić. Potem dobiegła Gosia, pytając, co się dzieje. Patrzę na nią jak na mordercę, w końcu jesteśmy przyjaciółkami. Przecież to tylko zabawa.

Zrobiło mi się niedobrze. Czemu ja nie umiem się tak bawić? Wyrwałam ramię z mocnego uścisku i szybko pobiegłam do szkoły. O mało nie wpadłam pod samochód, bo strumień łez zalewał mi oczy.

Pierwszy był polski, ale nie mogłam tak iść. Poszłam do toalety. Siadłam w kącie najgłębiej położonej kabiny i zaczęłam płakać. Kuliłam się coraz bardziej, jakbym chciała coś w sobie ścisnąć, zatrzymać, nie pozwolić wyjść na zewnątrz. Nie udało się. Poczułam lęk, nie wiedziałam, czego się trzymać. Szłam tą drogą nie wiedząc, czy jest dobra. Nie było na niej żadnych drogowskazów. Żadnych wskazówek. Wystraszona chwytaliśmy się wszystkiego, przytulałam z całych sił, a później bolało.

Zaczęło naprawdę boleć, każdy miesiąc, każde ściętno. Serce biło niemiarkowo, jakby nie miało sił czegoś udźwignąć. Szukałam w sobie zapachu ciemnych włosów, głosu mówiącego o harfie, dotyku rozpalającego żar i smaku malin. Ale nie znalazłam. On był w drodze. Jak jest się w drodze, wszystko i wszyscy to muśnięcia, które zostają tylko wspomnieniem. Gdybyśmy wtedy wtulili się w wilgotne siano...

Ścierpły mi ręce i nogi. Próbowalam się podnieść i wtedy z torby wypadły białe tabletki. Pomyślałam, że może wziąć kilka, żeby choć na moment przestało tak boleć.

Wtedy drzwi do kabiny otworzyły się. Stanęła w nich pani od polskiego. Nic nie powiedziała, tylko mocno mnie przytuliła. Potem powiedziała, że pójdziemy na spacer. Podniosła moją torbę, zobaczyła tabletki i zacisnęła mocniej dłoń na moim ramieniu. Wyszliśmy ze szkoły.

Poprowadziła mnie w głąb boiska szkolnego. Siadliśmy na ławce sędziowskiej. Było mi przy niej ciepło. Przez chwilę milczałyśmy. Boisko pokryte było śniegowym błotem. Nie tak brudnym jak na ulicach, ale jednak.

Spytała, co widzę. Odparłam, że śnieg. Uśmiechnęła się mówiąc, że nieprawda. Przyjrzałam się. Powiedziałam, że topiące się błoto. To też jej nie zadowoliło. Czekala.

Wtedy zauważyłam. Niedaleko nas, przez szarą mżawkę przebijał się z całych sił krokus. W pierwszej chwili wzdygnęłam się, widząc fiolet. Ale potem dostrzegłam żółte smużki. Tak jakby promienie delikatnie pieściły go, chcąc dodać odwagi. Był zmęczony. Skulone płatki opadły na błoto. Ale jędrna, wygięta szyjka łodyżki nie pozwalała upaść. Czekala, aż nabierze sił, żeby podnieść go wyżej.

Opowiedziałam jej to wszystko. Chyba na to czekała. Poderwała się z ławki, a z kieszeni płaszcza wypadł jej różaniec. Ciepłe, białe koraliki błysnęły na szarym błocie. Spojrzałam na nią zdziwiona.

Znów się uśmiechnęła mówiąc, że to prezent od siostry Danieli. Znają się od szkoły podstawowej. Siostra Daniela prosiła, żeby się mną zaopiekowała. Do tej pory radziłam sobie dobrze. Ale dziś poczuła, że potrzebuję silnego ramienia.

Poszliśmy w stronę szkoły. Nie bolało już tak bardzo. Nawet w stopy było ciepło.

Pani powiedziała, że podczas choroby przeczytała jeszcze raz wszystkie moje prace i zgłosiła mnie na olimpiadę.

Kiedy wchodziliśmy już do środka, powiedziała:

– Jest wielu czekających na opowieści tych, którzy widzą i czują więcej...





Daniel Pielucha, „Strzyga”, 40/30, 2009 r.

Rafał Socha

SPÓŹNIONY ZRZUT

(FRAGMENT POWIEŚCI)

Siąpił drobny deszczyk. Na wzgórzu stał namiot spięty z dwóch pałatek wojskowych. Pod pałatkami leżał samotny wędrowiec.

Wędrowiec miał spiwór i koc. Nie marzył, ale nie mógł usnąć. Nie żałował decyzji o pozostawieniu auta u gospodarza we wsi Starościn i wybraniu się w teren z minimalnym wyposażeniem. Tęsknił za dreszczykiem przygody. Pragnął znów poczuć radość płynącą z obcowania z naturą. Dojeżdżanie samochodem do ściśle określonego celu, zatrzymywanie się w pensjonacie albo stołowanie w jadłodajni bywało wygodne, lecz nie dawało wielkiej frajdy. Spowszedniało, zbrzydło, przestało ekscytować. Trzydziestoletni Stanisław Rosół tym razem zdecydował się na wędrowkę zupełnie na dziko.

Od dawna cniło mu się za latami szkolnymi i wczesnostudenckimi. Ogniska, śpiewy, herbatka świerkowa ze świeżą miętą... Lata wcale nie tak odległe, a jednak minione. Przez długi czas nie potrafił zdobyć się na próbę nawiązania do tamtych klimatów. Brakowało czasu, brakowało energii, brakowało wytrwałości.

A przede wszystkim brakowało impulsu, dlatego w gruncie rzeczy ucieszył się, kiedy w pracy niespodziewanie oznajmiono mu, że musi wykorzystać resztę zeszłorocznego urlopu. Na gwałt, do końca kwietnia! Nie irytował się ani nie biadolił. Honorowo potwierdził termin i przystąpił do obmyślenia rajdu. Tropem trochę geograficznym, a trochę przyrodniczym, ale przede wszystkim historycznym. Błąkało mu się po głowie kilka pomysłów i parę nietypowych lokalizacji, spośród których ostatecznie postawił na mało sobie znaną Lubelszczyznę. Koledzy z roboty pukali się w czoła, bo każdy pomyślałby raczej o Tatrach, Beskidach, Bieszczadach, Mazurach albo w ogóle o jakimś wojażu zagranicznym, jednak Rosół uparł się i postąpił cokolwiek niekonwencjonalnie.

Z początku zamierzał oprzeć się na Kozłowieckim Parku Krajobrazowym, który kuśił wybitnie leśnym charakterem, uroczymi łąkami, stawami, bagienkami, bogactwem świata fauny, mnogością świata flory – z rezerwatem Kozie Góry na czele, gdzie występować miał jakoby dąb bezszypułkowy w dużych skupiskach. Co ciekawe – poza teoretyczną granicą zasięgu. Rosół nie był aż tak wielkim fanatykiem zagadnień dendrologiczno-botanicznych, z trudem odróżniał dąb bezszypułkowy od szypułkowego, niemniej nie pogardziłby widokiem daniela zwyczajnego, zółwia błotnego, bociana czarnego albo wodnika, najlepiej w okresie toków. Do tego nęciły go pobliskie zabytki kultury, jak na przykład późnobarokowy zespół pałacowo-parkowy w Kozłowie z prześlicznym pałacem, kordegardą, teatralnią, wozownią i stajniami.

Po dogłębniejszym przestudiowaniu zagadnienia amator rodzimych atrakcji turystycznych doszedł do wniosku, że nie warto ograniczać się do stosunkowo małego obszaru parku. Lepiej potraktować go jako start lub punkt zaczepienia, ewentualnie jako coś na kształt bazy wypadowej, gdyż w sąsiedztwie znajduje się przecież jeszcze wiele intrygujących miejsc, aczkolwiek szerzej nieznanych bądź po prostu niedocenianych. Intrygujących szczególnie z punktu widzenia miłośnika historii, a ta w rozległych zainteresowaniach Rosoła zdawała się wysuwać na plan pierwszy od dawien dawna, w zasadzie już od czasów licealnych.

Dlatego głównego celu wyprawy nie stanowiły ani drzewka, ani ptaszki, ani nawet nie zabytkowe budynki pałacowe Zamoyskich. Pełniły co najwyżej funkcję dodatku, a w zasadzie oficjalnej „przykrywkę”, która maskowała rzeczywiste plany wycieczkowe Stanisława Rosoła. No bo gdzież on tam by się autentycznie fascynował przyrodą albo architekturą późnobarokową? Owszem, co nieco wiedział, co nieco czytywał, nie był totalnym laikiem, zawsze lubił liźnąć tego i owego. Przydawało się. Podpytywali go na przykład w pracy – odpowiadał ze znanstwem, barwnie, sugestywnie, przekonująco. Co jak co, ale gadanie miał od zawsze, aczkolwiek żadna ściema nie była w stanie przesłonić faktu, że cała ta krajobrazowo-przyrodnicza otoczka została przez niego obmyślona trochę na pokaz i dla zmyłki. Ustawiał ją niby jeszcze pod gust byłej sympatii, ale że zerwali ze sobą raptownie i dość gwałtownie, między innymi wskutek kurczowego obstawania przez Stanisława przy traperskiej wizji spędzenia kilku najbliższych wolnych dni, szczegółowego przebiegu oraz rozmachu wyprawy nie musiał już dalej uzgadniać z niewyrozumiałą dziewczyną.

I odetchnął z ulgą. Samego rozstania też przecież nie zamierzał rozpamiętywać, spłynęło po nim jak po kaczce. Nie pierwsza ona, nie ostatnia. Nie pasowali do siebie, ale Rosół się nie łamał. Przelotny romansik, nic wielkiego. Czuł dobrze, że kawalerskie wyrwanie się w teren może mu jedynie pomóc. Przyczyni się do skuteczniejszego „zresetowania” – tak ciała, jak i umysłu. Więc skoro tylko odzyskał swobodę, rzeczywiste plany wycieczkowo-urlopowe oparł już otwarcie na tropach historycznych.

Bo aż się prosiło! Nawet jeśliby wziąć pod uwagę wyłącznie ów maleńki skrawek Lubelszczyzny, jaki sobie wstępnie obrał za cel pieszej peregrynacji, to działo się tam przecież wcale niemało! Walki oddziałów księcia Józefa Poniatowskiego z Kozakami podczas wojny polsko-rosyjskiej roku 1792, powstańcze potyczki z lat 1831 i 1863, heroiczny opór resztek wojsk polskich rozbitych we wrześniu 1939. I Skrobow, po którym Rosół koniecznie chciał sobie pochodzić i przypatrzeć mu się z bliska. Z co najmniej dwóch powodów. Po pierwsze, było to miejsce, gdzie bolszewicy zdradziecko rozbroili słynną 27 Wołyńską Dywizję Piechoty Armii Krajowej. Po drugie, stał się ten mityczny Skrobow nieco później miejscem tajnego obozu NKWD, gdzie zwożono wyluskiwanych z armii Żymierskiego byłych akowców. Zgrupowano ich przeszło pięciuset i w kiepskich warunkach trzymano przez kilka miesięcy. Ale najlepsze, że przez cały okres Polski Ludowej sprawę konsekwentnie tuszowano. Smaczku całej historii dodawał jeszcze fakt, że części więźniów udało się pod koniec marca 1945 brawurowo zbiec, co nieprawdopodobnie rozjuszyło pewnych siebie sowietów.

Skojarzywszy fakty i miejsca, Rosół bardzo się napalił. Niosła go wyobraźnia. Zaapragnał wyruszyć szlakiem zbrojnych wydarzeń z przeszłości. Nagle wszystko zaczęło się zgrywać i zazębiać, aż żal byłoby nie skorzystać!

Na dodatek niedługo przed wyjazdem natknął się na frapujący artykuł o śladach pierwszej wojny światowej w okolicach pobliskiego Markuszowa. Niemcy z 47 Rezerwowej Dywizji Piechoty dali wówczas solidnego łupnia Rosjanom z 25 Korpusu carskiej 4 Armii, zaś autor opracowania, Paweł Grudzień, tak sugestywnie i tak namacalnie przedstawił wydarzenia sprzed stu jeden lat, popierając swój wywód fotografiami zarówno archiwalnymi, jak i współczesnymi, że aż się prosiło wystartować od tropów czterodniowej bitwy.

Mimo stereotypowego wyobrażenia o Wielkiej Wojnie jako wojnie pozycyjnej – w roku 1915 sytuacja pod Markuszowem zmieniała się akurat dosyć dynamicznie. A ten wycinek historii powszechnej zawsze Rosoła intrygował bardziej niż inne. Z jednej strony spokój, stabilność, równowaga polityczna i ekonomiczna, z drugiej szalony rozwój nauki, przemysłu, technologii. Przełom wieków. Cywilizacja. Wydawałoby się: złote czasy dla ludzkości.

Jak to było wtedy, kiedy Europa fundowała sobie irracjonalne samobójstwo? Cóż ci biedacy w dziwacznych mundurach mogli czuć, kiedy ich dziewiętnastowieczna mentalność zderzała się z brutalną techniką wieku dwudziestego? Gazy bojowe, ciężka artyleria, cekaemy, wozy opancerzone, czołgi, myśliwce, bombowce, okręty podwodne... Niekończące się zasieki, schrony i okopy, a w nich miliony Bogu ducha winnych żołnierzy, z obu stron padających setkami tysięcy w walce o kilka kilometrów kwadratowych powierzchni. Jak do tego wszystkiego mogło dojść? Kto do takiej hekatombi dopuścił? Czemuż ci ludzie się nie dogadali, tylko tłukli i tłukli przez cztery lata? Co krążyło po głowach straceńców z okopów, doskonale zdających sobie sprawę z okrutnego faktu, że szanse na ocalenie pozostają właściwie zerowe? Niewiarygodne!

Polski na mapach nie było, zatem staliśmy jak gdyby na uboczu. Niby nas ten konflikt bezpośrednio nie dotyczył, chociaż nasi rodacy masowo ginęli w armiach zaborców, bo rzeczywistość pokazała, że miejscowi poborowi zachowywali się na ogół lojalnie wobec znanych sobie od lat ciemniźcyeli. I front się przez nasze ziemie przewalał w tę i we w tę. Nie obeszła Polski bokiem ta wojna, chociaż swojego „Na Zachodzie bez zmian” nie przerabialiśmy. Ale tym bardziej należało uruchomić wyobraźnię i poszperać w terenie!

Nie oglądając się więc na nic, Rosół pod Markuszów wyruszył już pierwszego dnia. Zaraz po przyjeździe, to jest w piątek dwudziestego drugiego kwietnia, na inaugurację wędrownego rajdu urlopowego. Tak uznał, tak zdecydował. Pierwszeństwo dał bowiem pierwszej wojnie światowej, a drugą i Skrobów – leżący dokładnie po przeciwnej stronie kozłowieckiego parku – zarezerwował sobie na deser. Wybrał więc Starościn jako bazę wypadową, świadomie rezygnując z dogodnego podejżdżania we wszystkie założone lokalizacje. Bez większego żalu wóz pozostawił przy gospodarstwie agroturystycznym, a następnie z młodzieńczą pasją dziarsko przemierzył około dziesięciu kilometrów – z plecakiem i pałatką. Tam już tempo zwolnił, posilił się, trochę odpoczął i aż do zmroku podążał szlakiem odnalezionego w internecie przewodnika.

A ten sugestywnie prowadził go dalej – przez zarys wydarzeń sprzed lat: zabytkowy pałacyk w Bronicach (przemarsz wojsk niemieckich w kierunku północnym), Kaleń i most na Kurówce (zza skarpy wyglądają carscy zwiadowcy, lecz wkrótce pod brzeg doliny podchodzi liczna niemiecka piechota, więc tamci czmychają), Łany (do niewoli trafiają pierwsi zaskoczeni Rosjanie), szosa Lublin-Puławy (rozsypani w tyraliery niemieccy żołnierze idą do ataku, najpewniej wspierani przez artylerię z pobliskich wzniesień – od drogi biegnącej na Łany), wzgórze za szosą lubelską (rosyjskie okopy, skąd świszczy grad kul oraz lecą na Niemców pociski artyleryjskie), wzgórze po prawej (pierwsze rosyjskie umocnienie, które pada – nocą, po frontalnym ataku niemieckim i walce na bagnety), wzgórze sąsiednie (pada i ono, lecz dopiero nazajutrz), Markuszów (ze zdobytych pozycji Niemcy kierują się po lekko opadającym terenie dalej na północ), Olempin (mimo dwóch rosyjskich linii obronnych, przed i za zabudowaniami, wieś płonie i pada kolejnej nocy po walce na bagnety), droga na Kłodę, gęsty las po prawej (następnego ranka Rosjanie usiłują stamtąd kontratakować – bez powodzenia), dolina Białki (tu się carscy wycofują), Kłoda (jak Olempin poprzedniej nocy – i ta wieś staje w ogniu, gdy rankiem wkraczają tam Niemcy).

Kwietniowy zmierzch zastał podekscytowanego Rosoła właśnie pod Kłodą, która spłonęła doszczętnie sto jeden lat wcześniej. Lecz próżno szukał teraz namacalnych śladów, mogących potwierdzić przebieg wydarzeń z czasów Wielkiej Wojny. Zniszczenia usunięto, wieś odbudowano – podobnie jak Olempin oraz Markuszów. Na żadne pozostałości okopów także się nie natknął. Walki toczyły się na otwartych terenach, na polach, które potem uprawiano, więc siłą rzeczy wszelkie resztki po okopach musiały się zatrzeć. Wiadomo:

ziemne fortyfikacje nie miały prawa przetrwać, nie w takich okolicznościach, nie aż tyle lat, nie do dnia dzisiejszego. Lecz może las za Olempinem coś skrywa – za ówczesną drugą linią obronną Rosjan? Być może jakieś ziemne pozostałości tam by się jeszcze gdzieś wytropiło, bo przecież zboża w lesie nie uprawiano?

Noc uniemożliwiła już Rosołowi wizytę na cmentarzu wojennym w Olesinie, gdzie pochowano poległych żołnierzy. Ten punkt zostawił sobie na następny dzień, a póki co wycofał się za Olempin – na jedno ze wzgórz, które stanowiło dawną arenę zacieklej walk. Rozbił tam swój namiot z pałatek, rozpalil ognisko. Upiekł kiełbaski, zjadł, posiedział na świeżej wiosennej trawie. Choć całkiem niedaleko przebiegała szosa na Lublin, nikt go nie nachodził, nikt go nie nękał. O to mu przecież chodziło.

Długo rozmyślał o historii, piechocie, artylerii, okopach, broni maszynowej, obrobie, ataku, zawiłościach strategicznych, dowódcach, odpowiedzialności za decyzje, łucie szczęścia, szarych żołnierzach, słowem: o dramacie wojennym tamtych ludzi. To wszystko działo się tu, na tej polanie, pod tym lasem, pod tym niebem. Nie gdzie indziej! O czym oni myśleli? Czego pragnęli? Jak sobie radzili? Czy wierzyli w zwycięstwo? Czy ci, co bitwę przeżyli w piętnastym roku, dotrwali do końca, do roku osiemnastego? Do paryskiej konferencji pokojowej i zawarcia traktatu wersalskiego? Jak potoczyło się dalej ich życie? Czy się w cywilu odnaleźli? Czy kiedykolwiek wracali do Markuszowa? Choćby tylko myślami i wspomnieniami? A może po prostu był to dla nich epizod bez znaczenia? Jeden z wielu na długiej trasie walk? A ci, co zostali tutaj na wieki? Czy ktoś ich w ogóle odwiedzał? Tropił? Poszukiwał? Czy osierocone rodziny dociekały, gdzie ich ojcowie lub bracia padli od kul albo ran po bagnietach?

Ognisko przygasało. Rosół postanowił go już nie reanimować, nowych drew nie dokładał. Szczelniej opatulił się kocem, potem ulokował nieumyte ciało w śpiworze. Ułożył się do snu.

Ale sen nie nadchodził. Polanę spowiła mgła, później zaczął siąpić drobny deszczyk. Mocniej wtulił się w koc. Jeden ze znajomych, jeszcze w dawnych czasach licealnych, praktykował wkładanie w śpiwór owiniętych szmatami kamieni, które wcześniej długo podgrzewał w ognisku. Podobno przyjemnie oddawały ciepło, coś jak naturalny termofor. Ktoś inny palił z kolei dwa ogniska – jedno normalne, obozowe, a drugie w lekkim zagłębieniu, w miejscu przewidywanego rozłożenia śpiwora. Potem żar należało przysypać, a na wierzchu rozłożyć gałęzie świerkowe. I mamy ogrzewanie podłogowe!

Rosół nie musiał kombinować, nie było zimy, nie było nawet przymrozku. Dawni kumple, otrzaskani w noclegowaniu na dziko, może by się i uśmiali, że naiwniak z niego albo leń, ale co tam. Zresztą i tak zganiliby go z innego powodu – że rozbił swój namiot na wzgórzu. A do tego nie w miejscu zakrytym krzakami czy skałkami, jak nakazywał stary traperski rytuał, lecz w terenie wyraźnie odsłoniętym.

Machnął ręką i na te wątpliwości. Burzy nie będzie, piorun go nie trzaśnie. Górka w sumie niewysoka, nawet nie tyle górka, co lekko uniesiona połać terenu. Za to w dół widok fajny, za dnia oczywiście, bo nie teraz, lecz podejście łagodne, żadnych stromizn, to nie turnie...

Nagle zawarczało coś w oddali. Rosół drgnął. Odgarnął koc, odsłonił uszy. Znieruchomiał. Po chwili wychylił głowę, uważnie nasłuchiwał przez rozwinięte naokoło siebie pałatki. Znów znieruchomiał i trwał tak kilka sekund. A tam w dali ciągle warczało. Warczało i warczało. Niby z daleka, chociaż hałas się wzmaczał. Narastał. Co to? Co takiego, że się przybliżało? Silnik motocykla? Traktor? Gazik? Piła łańcuchowa na jakimś mobilnym tartaku? Motolotnia?

Ki diabeł o tej porze?

Zaskoczony wędrowiec ostrożnie wygramolił się ze swojego legowiska i wyrzął na zewnątrz. W dół, na polanę. To nie stamtąd dochodził warkot, to nie tam chciał sprawdzać, lecz na moment zupełnie zapomniał o niepokojącym odgłosie mechanicznym, gdyż w dole poruszały się światła, które automatycznie przykuły jego wzrok. Dużo światła. Mrowie światła. Znicze? Świece? Pochodnie? Nie! Latarki elektryczne!

Warkot się wzmacniał, potężniał. Rosół obszedł namiot i wyteżył oczy. Poczuł na plecach lekki wiaterek. Wzdrygnął się. Już nie siąpiło. To jak to, deszczu ani śladu? Wiatr przegnał chmury? Ale kiedy? Czyżby jednak mu się przysnęło? Tu i ówdzie widać było nawet gwiazdy. Przeszył go chłód. Tak, wiało z dołu, od Kłody i Olempina. Wiało od tych odległych światła. Może nie bardzo mocno, ale wiało. Wiało wyraźnie.

A od Markuszowa nadlatywał samolot!

Latarki na polanie tymczasem dziarsko przeformowały się. Z bezładnego chaosu zaczął się raptem wyłaniać regularny kształt geometryczny, który Rosłowi przywiódł na myśl strzałkę z grotem. Ostrze skierowane było w drugą stronę, od niego na Olempin. Pod wiatr!

Jednak świetlną strzałkę podglądał stosunkowo krótko i raczej nieuważnie, kątem oka, bo przede wszystkim frapowała go nadlatująca maszyna. A ta jęła obniżać lot. Teraz już wyraźnie słychać było potężniejszy huk silników, a po chwili na wypogodzonym niebie dało się zauważyć czarny kształt wielkiego samolotu. Co to? Bombowiec? Jak w filmach historycznych? Jak w encyklopediach? Może halifaks?

Sygnaliści z latarkami trzykrotnie mignęli światłkami. Załoga bombowca znak z ziemi zauważyła i zrozumiała, bo odpowiedziała trzykrotnie przerywanym sygnałem świetlnym. Identycznie jak tamci z dołu.

Rosół rozdziawił usta i stał jak urzeczony. Po krótkiej wymianie porozumiewawczych sygnałów samolot odleciał, lecz nie na dobre i nie na długo. Na tle nieba dobrze było widać, jak dociążony wehikuł zatacza olbrzymi łuk i wraca. Obniżwszy lot, skierował się na ostrze świetlnej strzałki, która wciąż trwała nieruchomo na polanie pod Olempinem.

Wtem pojawiły się czasze spadochronów, coś wyraźnie opadało w dół. Ładunek!

W kolejnych nalotach nad zrutowiskiem, jak się później miało okazać w wyniku dochodzenia przeprowadzonego przez oficerów śledczych, w jedenastu zasobnikach i dwunastu paczkach zrzucono sto pięć kilogramów plastycznego materiału wybuchowego, siedemset pięćdziesiąt dwa metry lontu detonującego, siedemdziesiąt dwa metry lontu prochowego, czterysta detonatorów pośrednich, tysiąc spłonek pobudzających, trzysta zapalników elektrycznych, pięćdziesiąt min przeciw oponom samochodowym, sto osiemdziesiąt pięć granatów ręcznych i przeciwpancernych, pięćdziesiąt dziewięć pistoletów maszynowych sten, cztery ręczne karabiny maszynowe bren, trzy tysiące osiemset sztuk amunicji pistoletowej, siedem tysięcy dwieście sztuk amunicji karabinowej, dwie radiostacje AP-4 i sześć radioodbiorników.

Halifaks wypróżnił komory i pozwalniał zaczepy, zatoczył jeszcze jeden krąg, zamrugał światłami na pożegnanie, odleciał. Ładunek przejęto i zapakowano na wozy konne, których łącznie było dziesięć. Część z nich oczekiwało w ukryciu na skraju polany, a część podstawiono w rejon lasku za Olempinem, skąd mogły łatwo podjechać na miejsce zrutowiska.

Transport skierowano następnie do gospodarstwa rolnego we wsi Wólka Kątna – na tak zwaną melinę. Niedługo później ładunek został ukryty w dole w zasieku stodoły, uprzednio w tym celu przygotowanym. Zarówno zasobniki, jak i spadochrony ułożono w wykopie zasieku, po czym przykryto je warstwą słomy oraz gruntu, a na koniec zarzucono fa-

szyną i starą podściółką. Całość zamaskowano niewymłóconym zbożem oraz słomą – aż pod szczyt stropu. Ślady resztek starannie usunięto z klepiska stodoły.

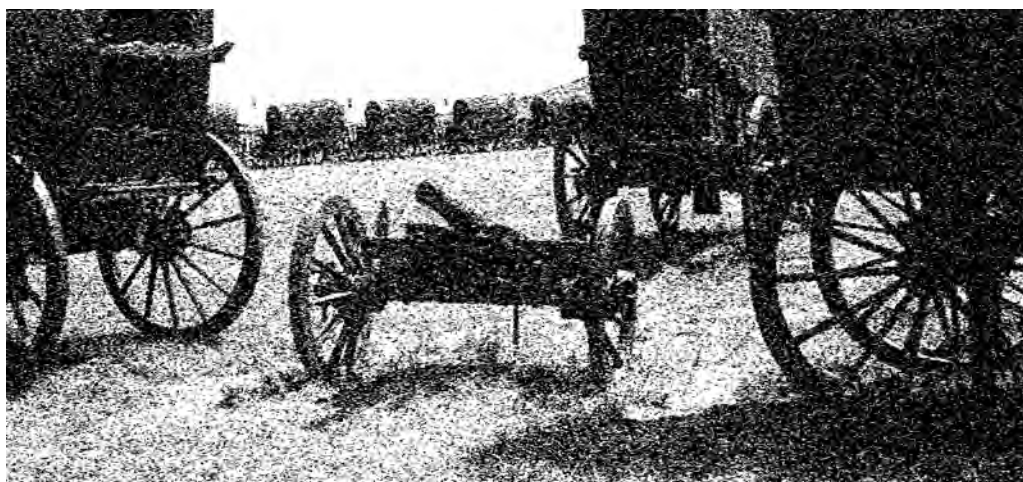
Ale Rosół nie miał o tym wszystkim najmniejszego pojęcia. Stał zdeorientowany przy namiocie aż do świtu. Bał się podejść. Nie chciał nadepnąć komuś na odcisk. Niejeden raz przekonał się na własnej skórze, że wścibstwo nie popłaca. Szczególnie jeśli nie dysponujesz przewagą liczebną. Dlatego miał opory nawet wtedy, kiedy wszystkie światła pogasły, wozy konne już na dobre odjechały, a ciekawość zżerała go okrutnie. Dopiero pierwsze promienie słońca ośmieliły chłopaka na tyle, że opuścił wzgórze i ostrożnie zszedł w rejon zrzutu.

Polana była doszczętnie stratowana. Ujrzał masę śladów: koleiny pozostawione przez przejeżdżające wozy, odcisnięte kopyta, końskie odchody, odciski ciężkich butów w różnych rozmiarach. Pogniecione kaczeńce. W rozmokłej ziemi można było czytać jak w książce, o ile ktoś miał jako takie pojęcie o trudnej sztuce tropienia.

Ale po ładunku ani śladu. Wszystko uprzątnęli i zabrali, nawet czasie spadochronów skwapliwie pozwijali. Rosół nie dawał jednak za wygraną. Wszędzie zaglądał, wszystko badał. Wierzył, że coś znajdzie. Że coś na pewno tutaj pozostało, o ile cała akcja nie przysniła mu się pod trzepiącymi na wietrze pałatkami albo nie była wynikiem fatamorgany. Wprawdzie nie wiadomo, czym nocni zapaleńcy dysponują, czy mają autentyczne rekwizyty z epoki, czy tylko jakieś tanie repliki, no ale skoro potajemnie urządzą historyczne rekonstrukcje – i to z takim rozmachem – być może coś jest na rzeczy.

Szukać! Szukać! Trzeba szukać! Koniecznie! Ryc dookoła! Nie poddawać się! Nikt nie jest doskonały, więc może i oni jakiś drobiazg przeoczyli?

Rafał Socha, *Spóźniony zrzut*, Wydawnictwo Memuar (www.memuar.pl), 2020, wydano w cyklu Antykwariat Czerwonego Tygrysa (tom I).



Elżbieta Jeziorowska-Wróbel

SIEDEM ZŁOTYCH CZASZ

„I zawołał donośnym głosem: Upadł, upadł wielki Babilon i stał się siedliskiem demonów i schronieniem wszelkiego ducha nieczystego i schronieniem wszelkiego pactwa nieczystego i wstrętnego”.

Apokalipsa św. Jana

PIERWSZA CZASZA

„I usłyszałem donośny głos mówiący ze świątyni do siedmiu aniołów: Idźcie i wylejcie siedem czasz gniewu Bożego na ziemię. I wyszedł pierwszy, i wylał czaszę swoją na ziemię; i pojawiły się złośliwe i odrażające wrzody na ludziach, mających znamię zwierzęcia i oddających pokłon jego posągowi”.

Słyszysz? Nie, nie możesz tego słyszeć, chyba że wyteżysz swoją wyobraźnię. Zrobiłeś to? Teraz słyszysz kroki dobiegające z głębi nieoświetlonej uliczki? Zbliżają się ku domowi, na który garbata, ledwie stojąca lampa, rzuca nikłe światło. Słyszysz więc, jak cienkie obcasiki pantofelków dziewczyny drobnymi kroczkami zmierzają w stronę schodów, wystukując wesoły i zarazem melodyjny rytm. Towarzyszy im jakiś dźwięk. To ciężkie podeszwy męskich butów szurających niedbale o płytki chodnika, potykające się od czasu do czasu, jakby traciły równowagę. Buty wchodzące na schody kopią je, może z rozmysłem, może nie. Pantofelki dziewczyny zwinnie wspinają się ku górze. Po chwili słychać szmer otwieranych drzwi, trzask zamykanych.

– Kotku, masz coś do picia? – zapytała dziewczyna.

– Może być czysta?

– Może być. Daj łyżeczek, zaschło mi w gardle.

Podał jej butelkę, przytknęła do ust, pociągnęła tęgi łyk.

– Mieszkasz sam? – zapytała po chwili, uważnie rozglądając się po pokoju.

– Nie twoja broszka. Rozbieraj się, czasu szkoda – wymamrotał.

Z rozmachem zrzuciła pantofelki, zdjęła bluzkę, z bioder zsunęła spódniczkę. Po chwili stanęła przed nim naga. Podeszedł do niej, przyciągnął ją ku sobie.

– Ej, coś ty taki niecierpliwy? Przed nami cała noc – pisnęła cichutko.

– Nie bredź, już trzecia – zerknął na zegarek – a ja jeszcze muszę się wyspać. O dziesiątej mam ważne spotkanie.

– O, biznesmen jesteś?

– Musisz tyle gadać? – warknął i jednym ruchem powalił ją na kanapę. Przywarł do niej tak mocno, aż pisnęła.

– Zawsze jesteś taki?

– Zawsze – mruknął, boleśnie ściskając jej pierś.

– Wolę delikatniejszych facetów...

– Twoja rzecz, ja do nich nie należę – roześmiał się i uderzył ją w twarz.

Krzyknęła, próbując się podnieść, ale jego silne ręce uwięziły jej kruche ciało.

– Zostaw mnie, ty sadysto! Zostaw! Chcę wyjść!

– Teraz? – zdziwił się. – Nic z tego. Nie było tu takiej, która mogłaby wyjść bez mojej zgody.

– Przestań się szarpać, wiesz, po co tu przyszedłeś, prawda? – wyszczył jej wprost do ucha. – Zabawimy się po mojemu, jak należy, jak lubię – roześmiał się i po chwili w jego ręce ukazał się czarny pejcz, który po chwili boleśnie liznął jej nagie piersi, przesunął się po brzuchu dosięgając ud, po czym zaczął coraz szybciej przecinać powietrze, spadając na nią. Wreszcie jakby przyssał się do jej obolałego ciała, do pękającej i krwawiącej skóry, niczym żądna krwi wygłodniała pijawka.

Twarz dziewczyny wykrzywił grymas bólu, zaciśnięte powieki uwolniły strumienie łez. Zesztywniała.

– Otwórz oczy! Chcę widzieć, jak cierpisz! Lubię ten wasz strach i cierpienie, i tę cholerną bezsilność. I nienawiść – dodał z satysfakcją, uderzając ją pejczem.

Zaczęła jęczeć, piekła ją pękająca, krwawiąca skóra. Z trudem otworzyła przerażone oczy, a po chwili poczuła go na sobie. Jej nozdrza podrażnił silny odór jego potu. Znowu zaciśnęła powieki, pomyślawszy, że to jej koniec, że nigdy stąd nie wyjdzie. Ale po kilku minutach dotarł do niej, jak z oddali, jego schrypnięty głos:

– No, było bajecznie – wymamrotał, łapiąc oddech i uwalniając ją od ciężaru własnego ciała. – I po wszystkim – dodał jakby do siebie, po czym uderzył ją pięścią w twarz.

Na kilka minut, z głową przechyloną na bok, z bladą twarzą umazaną krwią, straciła przytomność, zwiotczała jak szmaciana laleczka.

– No i co z tobą? – zapytał widząc, że oprzytomniała, po czym poklepał ją po twarzy.

– Przecież chciałeś się zabawić, prawda? No, pora wstawać.

Poczuła, że nie ma na sobie więzów. Poruszyła się niepewnie, wzięła głębszy oddech i z wielkim trudem, wspierając się na łokciach, nie mogąc opanować drżenia, usiadła. Spojrzała przed siebie. Stał przed nią w szerokim rozkroku, uśmiechał się, dysząc.

– Możesz iść, droga wolna – sięgnął po jej ubranie, rzucił w jej stronę.

Pojękując, spojrzała po sobie. Na jej obolałym ciele przeplatały się, niczym gęsto utkana pajęczyna, krwiste strumyki ran. Skóra parzyła jakby zanurzono ją we wrzątku.

– No, żwawo, uwijaj się! – ponaglał.

Ubrała się z wielkim trudem, wstała powoli i pojękując, skierowała się w stronę drzwi. Zachwiała się lekko, jakby miała upaść.

– Tylko bez żadnych numerów – przestrzegł ją, rzucając za nią torebkę, o której zapomniała.

– Forse masz w środku, ale... ale dostałeś jeszcze coś. To niespodzianka.

Zatrzymała się w pół kroku, spojrzała na niego pytającym wzrokiem.

– To ci się należało – wyjaśnił wolno sącząc słowa. – Należy się takim jak ty, a wiesz... szczodry ze mnie gość, lubię się dzielić.

Złapała za klamkę.

– Nie jesteś ciekawa niespodzianki? Co? – wyraźnie z niej drwił. – Hmm, a powinnaś – roześmiał się głośno. – No, chyba wiesz, co to HIV?

Przez jej ciało przebiegł lodowaty chłód. Spojrzała na niego.

– Kłamiesz! – z wielkim trudem zdobyła się na krzyk.

Zaprzeczył ruchem głowy, nie przestając się śmiać.

– Potwór! Jesteś potworem – wyrzuciła z siebie, śmiertelnie przerażona tym, co usłyszała.

– A ty? Kim ty jesteś, wyuzdana, chciwa mamony, suko? – spytał, zrobiwszy krok w jej stronę. – W czym jestem gorszy od ciebie? W niczym! Każdy z nas ma to, na co zasługuje! – ryknął jak oszalały zwierzę, i podbiegając do niej, wypchnął ją za drzwi.

DRUGA CZASZA

„A drugi wylał czaszę swoją na morze; i przemieniło się w krew jakby z umarłego, i wszelkie stworzenie, żyjące w morzu, zginęło”.

Oboje weszli do bramy i wąskimi schodami dotarli do klubu mieszczącego się w piwnicy. Powitał ich gwar głosów, dźwięki ogłuszającej muzyki, ściany pokryte barwnym graffiti. Ciężkie drewniane stoły i ławy, wygrzane pośladkami rozochoconych małolátów, upojonych winem i gorzałką, tonęły w półmroku i w gęstych oparach tytoniowego dymu. Ciasnota pomieszczenia niemalże pozlepiała ich ze sobą, muzyka rozkołysała ich ramiona, na których, jedni drugim, jak do snu, układali swoje głowy. Jak do snu, bo snem pozornym owładnięci, niczym porażeni ostrym światłem, mrużyli oczy. Oczy niewidzące już kolorowych ścian, błędzące półprzytomnym wzrokiem za wyimaginowanymi, nierealnymi obrazami rozbuchanej wyobraźni. Siedzieli za stołami długowłosi i tysi z kolczykami powpinanymi w nozdrza i uszy, odziani w nabite ćwiekami, wytarte skórzane kamizele, mocno wyblakłe jeansowe, poddarte spodnie. Byli piękni i brzydcy, ubodzy i zasobni, tak wiele ich dzieliło i łączyło zarazem.

Dziewczyna, przekroczywszy próg, zatrzymała się na chwilę. Zerknęła w głąb sali i zaczęła się rozglądać uważnie, jakby w półmroku spowijającym piwnicę, szukała znajomych twarzy. Wreszcie spostrzegła i pociągnęła za płaszcz towarzyszącego jej, stojącego obok chłopaka.

– Chodź, jest Dudo – oznajmiła mocno podekscytowana i zaczęła przeciskać się pomiędzy stołami. – Cześć, Dudo, się masz? – rzuciła się na szyję bladego chudzielca.

– Spoko – odparł niedbale.

– Jak jest? – zapytała, mrugnawszy porozumiewawczo.

– Jest dobrze. Chcesz dziaćeczkę? – ustami niemalże przyklepił się do jej ucha.

Energicznie skinęła głową, siadając mu na kolanach.

– Dudo – ułożyła wygoloną głowę na jego ramieniu – daj.

– Hola, hola! – zsunął ją z kolan – najpierw zadatek.

– No co ty, przecież wiesz, że dam – cmoknęła go w kark.

– Chcę zaraz.

– Zaraz? Chyba nie tu? – roześmiała się trochę sztucznie.

– Idziemy – wstał i uchwycił ją za przegub dłoni. Ruszyła za nim. Wąskimi schodami wspięli się na górę.

– To gdzie? – spytała, łaszcząc się do niego.

– A tu – wskazał na drzwi toalety, rozglądając się uważnie.

– Nie ma sprawy – zwilżyła usta koniuszkiem języka. – Jak tu, to tu – z rozmachem pchnęła drzwi toalety, wchodząc do środka. – Śmierdzi – pokręciła nosem.

– Nie wąchaj. Od kiedy jesteś taka czuła, co?

– Od kiedy zgubiłam katar – zażartowała, ostentacyjnie pociągając nosem.

– A zgubiłaś? – zamknął drzwi, zasunął zasuwkę, podciągnął kusą spódniczkę opinającą biodra dziewczyny.

– Nie do końca – wspięła się na palcach, mocno objęła go za szyję, zawisła na nim.

– Podnieś się wyżej – mruknął.

– Rób swoje, byle szybko, i nie truj... – westchnęła głośno, ktoś załomotał do drzwi.

– Cicho tam, zajęte! – warknął Dudo.

– Pośpiesz się, palancie, bo nogawkę poleję! – padło w odpowiedzi.

– A lej, ćwoku!

– Wyłaź! – głos zza drzwi nie ustępował.

– Spadaj!

– Kończ – szepnęła dziewczyna – nogi mi drętwieją.

Przycisnął ją mocniej, szarpnął raz za razem, po czym zaspokojony, zwolnił uścisk. Odszkoczyła na bok, poprawiła spódnice i wyciągnęła ku niemu otwartą dłoń.

– Nie teraz – klepnął ją w pośladek – dam ci na dole, kumasz?

Skinęła głową, uchyliła drzwi.

– O, kurwa, ile was tam jest? – przez szparę zajrzały czyjeś oczy.

– A co ci do tego? – Dudo wyszedł pierwszy, odepchnął na bok stojącego przy drzwiach chłopaka. – Coś ci nie pasuje?

– Nie, w porzo, ja tylko...

– No! – Dudo poprawił spodnie i spokojnie ruszył za dziewczyną w głąb piwnicy. Zeszli na dół i po chwili oboje wcisnęli się do swojego kąta.

– No, daj – niecierpliwiła się dziewczyna, pociągając Dudo za rękaw, nerwowo podkurczając nogi. – Daj, ja już nie mogę – uwiesiła się jego ramienia.

– Chwilunia, mała – Dudo zaczął szperać w plecaku. – Te, odwróć się trochę na bok – szepnął do siedzącego obok chłopaka, palącego z namaszczeniem skręta.

Chłopak posłusznie odwrócił się, zasłaniając Dudo własnym torsem. Dziewczyna pochyliła się, podciągnęła rękaw bluzy.

– Kurwa, nie ma gdzie włożyć – Dudo, szukając żyły, zgrabnie przeciągał palcem po jej ręce.

– Tu – wskazała mu miejsce. – Wał szybko. – Syknęła cichutko, kiedy ostra igła wślizgnęła się w żyłę.

– I jak? – spytał chłopak ze skrzętem.

Chciała odpowiedzieć, że dobrze, niemalże bosko, ale milczała. Głośnie muzyka, przepłataną gwarem głosów, jakby przestała do niej docierać. Zapach piwa, przemieszany z tytoniowym smogiem, oplótł ją łagodnie szarą pajęczyną zamroczenia. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zwiotczały jej napięte i obolałe mięśnie. Opuścił ją uporczywy ból i całym ciałem zawładnęło słodkie uczucie ulgi. Zamrugła sennie powiekami, zakrywając nimi gubiące kolor oczy. Z ciemności zaczęły wyłaniać się ku niej jakieś postacie – miały dziwne kształty i barwy, zlewały się ze sobą, przenikały wzajemnie, zbliżały i oddalały się od niej, po czym rozpływały się, ustępując miejsca kolejnym. Jej ciało zaczęło kolebać się z boku na bok. Skrzyżowała dłonie na piersiach i wkuliwszy głowę w ramiona, kołysała się niczym martwa ryba na powierzchni umierającej fali.

(cdn.)

Janusz Jano Mielczarek

CZŁOWIEK Z INNEJ DZIELNICY SNÓW

Sala opustoszała. Mężczyzna zbierał rozłożone pod ścianami fotografie. Dwie kobiety w pobliżu sceny zmuszały ciała do ruchów przypominających taniec, jakby nie chciały sprawić zawodu urywanemu głosowi Aznavoura, przebijającemu się przez tandetne głośniki. Gdy sięgnął po zdjęcia na sznurach w pobliżu okien, starsza nachyliła się nad fotografiami rozłożonymi na tekturowych prostokątach.

– Piękne – powiedziała jakby do siebie. Miała gładko przyczesane włosy, koszulową bluzkę i jasne spodnie. Przenosiła wzrok z fotografii na mężczyznę i z powrotem, jakby sprawdzała, czy to możliwe, że jest ich autorem. – To ty jesteś artystą – dodała z namysłem.

– Czyli kim? – zapytał z uśmiechem.

– Innym od reszty.

– Tej z lewej czy prawej? – bawił się dialogiem z nieznajomą.

– Całej – podchwyciła wątek – i jeszcze tej z góry i z dołu. Pomogę ci je poskładać.

– Dzięki, uważaj tylko, żeby ich nie połamać. Niektóre z tych obrazków to starszankowie, mają po trzydzieści i więcej lat.

– Wszystkie twoje.

– Od początku do końca wymodlone... w ciemni.

Sięgnęła po portret muzyka, zajrzała na drugą stronę i przeczytała na głos nalepki z wystaw: – Teheran, Barcelona, Ružomberok...

Na chwilę podeszła do niej młodsza, wyduła wargi i usiadła przy barze.

– Pamiętasz, gdzie to zrobiłeś?

– Dawne czasy – zbliżył się do kobiety. – Fotografowałem na próbie orkiestry przed koncertem. Było nerwowo, bo muzyk, który miał solówkę, spóźnił się.

– Nie bywam na koncertach, to musi być nudne zajęcie. – Odłożyła portret dyrygenta, obejrzała kilka innych i znowu powróciła do niego. – Kulawe to zdjęcie. Nie ma tu nic do podobania się, ot, facet o wybałuszonych oczach w skrzywionej twarzy i potarganych włosach. Gdybym takiego spotkała na ulicy, przesłabym na drugą stronę.

– Odlóż – zaproponował – będzie cię straszyl. – Sięgnął po nie.

– Chwilę – odsunęła się – nie boję się. – Przeszła kilka kroków. – Dziwne te twoje foty. Jak widoczki, to towarzystwo piekła z miejskim śmietniskiem, jak portret, to na nim twarz gościa, który nie je, nie pije, a do tego nie może wypłatać się ze strun skłóconych skrzypiec i jęków tych różnych trąbek-bombek.

– Słyszałaś to?

– Oczywiście.

– W kawałku głuchego papieru?

– Gdyby tak nie było, to nie gapiłabym się na nie.

Spojrzał jej w oczy i pocałował w policzek.

– Złóżmy ten bałagan i zapraszam cię do baru.

Pili białe wino, a Aznavour składał muzyczne obrazki w duety. Teraz splotał głos ze swinującym szelestem altu...

– Tańczysz – zapytała?

– Nie pamiętam.

– Przypomnisz sobie – podała mu rękę.

Dawno nie robił tego, ale tutaj, dzisiaj, z przed chwilą poznaną kobietą, wkręcał się w rytm bez wysiłku, jak dawniej, gdy ruchy jego i partnerek, razem z lekkością metryki porywało powietrze. Zapomniał już, że mogło to tak wyglądać.

Kobieta nagle wyhamowała i wpiła mu palce w ramiona:

– Zabiję cię – zaszczała. Zaplotła mu ręce na karku i zaczęła całować. – Zabiję cię – wzięła w dłonie jego twarz. – Nie można zostawić przy życiu gościa, którego parę prostych nut przenosi w stan nieważkości, znika. I robi to z kobietą cuchnącą rybami.

– O czym mówisz? – zdziwił się.

– Widzisz przy bilardowym stole tego kolesia w niebieskiej koszuli? To jego mantra. Mieszkam z nim i od ponad dwudziestu lat noszę jego nazwisko.

Wrócili do bufetu, sięgnęli po kieliszki, kobieta wpatrzyła się w podłogę.

– Prowadzę budę ze smażonymi rybami, to co, mam pachnieć fiołkiem alpejskim?

– Czujesz? – podsunęła mu rękę do twarzy. – I te niekończące się monologi: „Co, taka mała porcja i tyle kosztuje? Po drugiej stronie przystani dają tyle za pół ceny... Ta ryba na pewno świeża, nie mrożona?... Tak mało cytryny do herbaty, za takie pieniądze? Więcej tu nie przyjdę!”

Aznavour śpiewał teraz z Frankiem Sinatrą.

– Twoi fetują ostatni wieczór, a ty z dziunią od ryb...

– Chwilowo w moim fotoplastikonie bawią mnie obrazki sprzed lat; przerzucam w powietrzu dziewczyny w sterzących spódnicach, wymyślam nowe figury, a moje poskrzypujące ostatnio kości znów są gumowe. – Sięgnął po wino. – Zawalam egzaminy i szaleję! Jutro już nic takiego się nie zdarzy. Wyjeżdżam.

– Tak szybko?

– Minął tydzień...

– Tamto, beze mnie, się nie liczy – położyła mu rękę na ramieniu. – Przecież dopiero dzisiaj, po latach, przypomnieliśmy sobie, jak się kiedyś tańczyło... – Pochyliła się, jakby chciała zajrzeć w jego głęboko osadzone oczy.

– Chodź ze mną na ostatni spacer – pociągnął ją za rękę. – Ty takie szmirowate wieczory z pełnią księżyca masz na co dzień, ja, choć z nich kpię, tęsknię za nimi.

– Mam złe wspomnienia z podobnego wieczoru sprzed lat.

– To było dawno...

Ścieżką wśród sosen przeszli na plażę. Obok wydmy płaszczyły się do snu metrowe głązy. Usiedli. Ciężki księżyc otrząpywał się z chłodnej kąpieli, jego niskie światło muskało jeszcze na zachodzie resztki dnia.

– Chodźmy dalej – zaproponowała.

– Najpierw rozpakuj bagaże sprzed lat, a później wieczór będzie już tylko nasz. Zgoda? Skinęła głową, rozpuściła włosy.

– To było w pięćdziesiąte urodziny tego w niebieskiej koszuli. Lipcowy wieczór był identyczny. – Przesypała piasek w dłoniach. – Zaprosił mnie do nadmorskiej knajpki na kolację. Był nadzwyczajny. Wyglądało podejrzenie, ale pięćdziesiątka u mężczyzny to wiek szczególny, pomyślałam, że może czas na zmiany. Wił się i kleił, całował po rękach, szyi, ramionach. – Zamyśliła się. – Podejrzewałam, że coś knuje, ale o takim mężczyźnie marzyłam. Zeszliśmy na plażę, pływaliśmy nago, czulił się. Pogubiłam się, straciłam głowę.

Położyła twarz na ramieniu człowieka obok, sięgnęła do jego twarzy.

– Dobrze skończyła się tamta historia? – zapytał. – Siła działania scenerii na ludzi jest potężna. Zmienia ich choćby chwilowo.

– Kiedy byłam półprzytomna z nadmiaru czułości... – mówiła prawie szeptem. Zamilkła. – Wtedy uderzył mnie i zgwałcił.

– Nie chciałaś się z nim kochać? – spojrzał jej w oczy.

– Nie prosił o to. – Opuściła głowę. – Na ten wieczór to były wszystkie zasoby delikatności, jakie się w nim nagromadziły przez lata. Od początku walczył z potworem, który w nim siedział, aż wreszcie poddał mu się. – Uklękła. – W tobie też jest taki potwór?

– Jak w każdym.

Przyjrzała mu się z bliska:

– W facecie, który papier potrafi przekonać do śpiewania, też? – nie dowierzała. – Mówisz tak, bo chcesz, żebym sobie poszła.

– Nie potrzebuję pomocników, sam mogę cię spławić.

Kobieta przeszła w stronę wody i ruchami nimfy próbowała zagarniać powietrze. W pewnej chwili przez złożone dłonie zawołała:

– Halo, hallo... słyszy mnie pan?... Halo...

– Jestem tu... jestem... – odpowiedział.

– Czy to ja tańczyłam dzisiaj z panem?

– Nie, pani chciała mnie tylko zabić.

– Wiem, pamiętam, pan występował w jakimś fotoplastikonie albo innym starzydle... – zmierzała powoli w jego stronę. – Pan przecież nie potrafi tańczyć... Pan się tylko unosi... unosi... i z wysokości tą swoją kamerą jak krokodyle fotografuje... kobiety, skrzypce i krajobrazy... A potem więzi tę menażerię w ciemnicy, gdzie syczą i kipią piękne trucizny. Najpierw robi nad nimi stojki, a potem krzyczy i krzyczy, aż po bólach głowy i zęba mądrości, na kawałku papieru pojawia się rozczochnienie z kołtunem skrzypcowych strun na głowie i ustnikiem od basetli w nosie.

– Zamknę cię w takiej ciemnicy – zawołał. – Zamknę. – Podbiegł i objął ją.

– Robiłeś fotografie przy świetle księżyca?

– Nie pamiętam. Bądź jeszcze klatką na krokodyle.

– Jutro wyjeżdżasz. Nie mamy czasu. Wśród fotografii, które pokazywałeś dzisiaj, były także akty. Zrobisz mi takie, tutaj, na plaży. – To był ten warunek – nic za darmo.

– Pójdę po aparat.

– Nie musisz. – Zasła mu drogę. – Będziesz mnie ustawiał, wybierał najlepsze ujęcia...

– Bez sprzętu, szkiełek i innych zabawek?

– Wszystko będzie serio... nie będą tylko zapisane.

– Czyli teatr?

– Nie, one zostaną w naszej pamięci. – Przytuliła się do jego ramienia. – Nie będzie ich w szufladach, pośród tysięcy innych obrazków, ale przechowamy je w najczulszych zakątkach pamięci. Zapisane, byłyby tylko jednymi z wielu, a w ten sposób pozostaną naszą osobistą czułością. Ja będę na nich zawsze tą jedyną, niepowtarzalną, a dla ciebie pozostaną doskonałością, do której dążyłeś przez lata.

– Może jednak poczekajmy do jutra?

– Dienne światło nie jest wyrozumiałe dla kobiety pięćdziesięcioletniej.

Zdjęła bluzkę, sięgnęła spodni.

Podeszli bliżej wody. Rozpięła mu koszulę. Objęli się. Ledwie się dotykając, jakby w obawie, aby nie naruszyć pyłu porcelanowej poświaty, z przymkniętymi powiekami odkrywali swoje sekrety.

– Wierzyłam, że się ciebie doczekam – pocałowała go ledwie muśnięciem. Poprawiła włosy, zwilżyła wargi. – Odkryłam cię dla siebie, to najważniejsze. Zdjęcia są bez znaczenia, ale jestem gotowa.

Wzdłuż wydm przebiegła z piskiem lisica z małymi.

– Poczekajmy chwilę. Jak się domyślasz, zrobiłem wiele fotografii, ale stając z aparatem obok człowieka, nie mogę opanować emocji.

– Jesteś taki wieczny prawiczek, niektóre kobiety cenią to sobie.

– Zacznijmy od pleców, ich harmonię najlepiej ujął w rysunkach Leonardo. – Przez chwilę patrzył na nią z różnych stron, poszukując kadrów. – Mam tylko pięć kaset z kliszami – powiedział z namysłem i powtórzył to jeszcze raz.

Przy nocnym świetle z trudem widział jej kontury na matówce kamery. – Jeśli odchylišz delikatnie ramiona – prosił – to światło zostawi na prawej łopatce jaśniejszy trójkąt, elipsą spłynie na biodro i śladem ledwie dojdzie aż do kolana.

Odpowiadała skłonem, pochyleniem się, skrętem. I tak oto przywoływali kolejne ujęcia. Przenosili się na nowe miejsca. Zmieniała pochylenie ciała, klękała, kładła się na piasku, z którego cofał się pełzający w światło jedwab wody...

– Wśród aktów, które widziałam na wystawie, były także poruszone, zrobione prawie w ciemności. Może któryś z moich też taki będzie.

Światło wybarwiała się z łagodności, słabło i zaostrzało kontury.

– Starczy – powiedział, oddychając głęboko i położył się na wznak.

Uklękła przy nim i pochyłona całowała go delikatnie, powoli, z namysłem, jakby wciąż jeszcze bała się naruszyć obejmujący ich kaolin poświaty. Poddawał się jej jak mężczyzna, który tego pragnie, ale myśli poruszały już kąpielami wywołujących się klisz, oglądały w zniecierpliwieniu ociekające płynami celuloidy i po raz któryś przymierzały się do ich kadrowania.

Unióśł głowę. Nad nimi, na krawędzi klifu, na tle nieba zamajaczyły cienie. Zaczęły rzucać w ich stronę liście, a może tylko kawałki papierów. Niektóre spadały na piasek, inne wiatr niośł nad wodę. Sięgnęli po najbliższe; to były przedarte fragmenty jego fotografii, które pokazywał dzisiaj na wystawie. Cienie trwały jeszcze chwilę przyczajone, aż z pustymi rękoma zamieniły się w ciemność.

– Dlaczego oni to zrobili? – krzyknęła tragicznie i zapłakała. Stali wśród kołyszących się w wodzie papierów i powoli zaczęli je zbierać.

– To bez sensu – mężczyzna spojrzał na ociekającą wodą makulaturę i wrzucił z powrotem do wody.

– Dlaczego oni to zrobili? – powtórzyła.

– Zabrałem im ciebie. Musiała spotkać mnie kara.

– Ja chciałam być po prostu z tobą.

– Dla nich to bez znaczenia.

Przedarte kartoniki kołysały się na fali, było ich coraz mniej. Niektóre zatrzymały się między palami falochronów, inne połykała ciemność. Sięgnął po najbliższe, chwilę się im przyglądał, a potem pierwszy przykleił jej na policzku, inne na brzuchu, piersiach...

Uniosła ramiona, a on resztkami pejzaży, portretów i martwych natur stroił jej książkowe ciało.

– Dlaczego... dlaczego oni oszaleli? – wydobyła ze ściśniętego gardła. Płakała. – Dlaczego...

– Mówiłaś, że mnie zabijesz.

– Chciałam cię mieć tylko dla siebie.

– Jestem człowiekiem z innej dzielnicy snów.

Spojrzel na siebie, objęli się i wyszli na wciąż jeszcze nagrany piasek plaży.

(kwiecień-maj 2020 r.)

Małgorzata Franc

SEZON NA CZEREŚNIE



Blisko przejazdu kolejowego, w niedalekiej odległości od malowniczego, zbudowanego z czerwonej cegły domku dróżnika, znajdował się ogród i sad.

Zimą, kiedy Amelia jechała na sankach do szkoły lub później, gdy maszerowała z mamą pod rękę, nie zwracała na to miejsce specjalnej uwagi. Jedynie białe czapy śniegu na wysokich, rozłożystych drzewach i zmarznięte stadko gawronów pozostały do dziś w jej pamięci.

Po pewnym czasie, kiedy do ogrodu zawitała wiosna, a dziewczynka podrosła, często przystawała na kilka sekund przed niewielką drewnianą furtką wypełnioną siatką, żeby spojrzeć w głąb tej zielonej prostokątnej przestrzeni lub pozdrowić krzątających się tam gospodarzy.

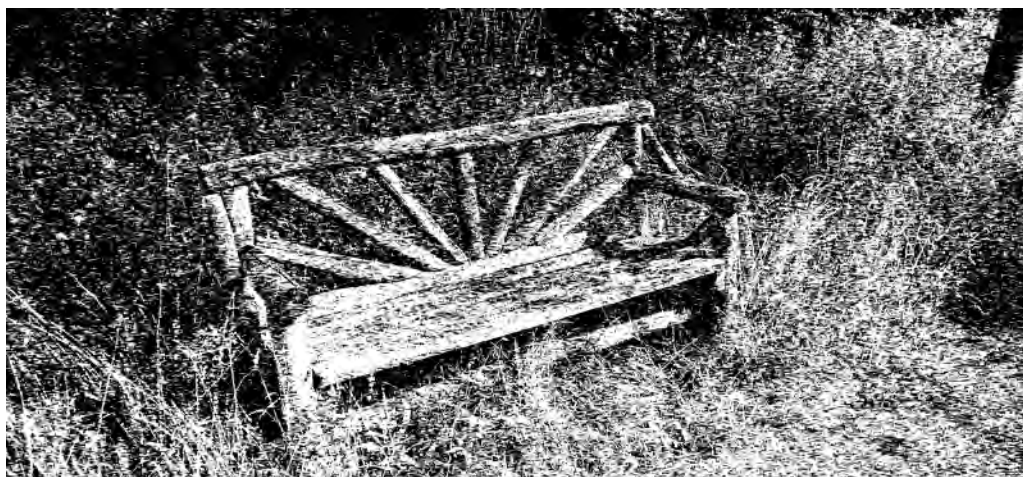
Państwo P., już wtedy starsze małżeństwo, lubili widać to miejsce, bo można ich tam było spotkać w tygodniu, a niekiedy i w niedzielne popołudnie. Siadywali wtedy na starej, trochę już zmurszałej ławeczce i rozmawiali zapewne o ważnych dla nich zdarzeniach i sprawach, lecz tego można się było tylko domyślić, ponieważ rozmowa była cicha, a usłyszeć można było tylko urywki zdań.

Wypada też wspomnieć, że gospodarze tego niemalże zapomnianego już dziś kawałka ziemi stanowili przedziwną parę. Pan wysoki i szczupły, pani niska i korpulentna, zawsze w tradycyjnym, upiętym z tyłu głowy, niedużym brązowym koku.

Minęła wiosna, bogata w kwiaty i trawy, bujnie rozrastające się w ogrodzie i sadzie. Ogromne drzewa zaczynały kwitnąć, tworząc baldachy z kwieciami, niczym parasole rozłożone przez niewidzialną przedwieczną siłę, która decyduje o rozkwicie i umieraniu.

Tymczasem twórcy tego zaczarowanego w tamtej chwili miejsca byli wyraźnie zadowoleni, zapewne również z tego powodu, że mnóstwo kwiatów i kręcących się wokół nich pszczół zapowiadało dobre zbiory...

W czerwcu, kiedy powietrze drgało od słońca i powoli zbliżał się koniec roku szkolnego, a na pierwszych drzewach zaczynały pojawiać się czerwone owoce, starsi państwo



prawie nie wychodzili z sadu, bojąc się, że apetyt szpaków pozbawi ich części soczystego i pięknego plonu, który stanowił podstawę ich utrzymania i bytu – przynajmniej w lecie.

Co za tym idzie, uczennica Amelia, która wracała szczęśliwa do domu ze świadectwem w dłoni, któregoś dnia została zaproszona do ogrodu na drewnianą ławkę i obdarowana słodkimi owocami, z których najdorodniejsze powędrowały zaraz na uszy, przyozdabiając je w oryginalny i piękny sposób. To spotkanie zaowocowało później dalszymi wizytami i rozmowami, nie bardzo częstymi, ale za to pozostawiającymi ślad.

Taki stan rzeczy trwał w sumie przez prawie osiem lat, to jest przez szczęśliwy i ciekawy czas nauki w Szkole Podstawowej nr 4 w Częstochowie, która dziś istnieje już jedynie w pamięci uczniów, wychowanków i nauczycieli (mimo że budynek się zachował; obecnie jest tam zespół szkół handlowych).

Mijały miesiące i lata, obraz sadu trwał jeszcze mimo zmian i pewnej nieuchronności losu, która wiązała się z odejściem gospodarzy ogrodu. Najpierw zabrakło Pana, później Pani.

Dziewczyna nie od razu to zauważyła, gdy jednak przez dłuższy czas ławeczka pozostawała pusta, zrozumiała wreszcie, co się stało. Zwłaszcza że za jakiś czas wszystko to, co niegdyś było drogie krzątającym się przy kwiatkach i drzewach starszym już przecież ogrodnikom, zostało zaprzepaszczone, sprzedane i zamienione w stację kontroli pojazdów.

Amelia wreszcie zrozumiała. Skończył się bezpowrotnie jej sezon na czereśnie.

(2.11.2020 r.)

Daniel Pielucha – artysta malarz, urodzony 22 maja 1959 roku w Wieluniu. Dyplom uzyskał w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, Wydział Grafiki w Katowicach w 1985 roku. Uprawia malarstwo sztalugowe nazywane nadrealizmem polskim.

Twórczość swoją malarz prezentował na ponad 50 wystawach indywidualnych, między innymi w Katowicach, Oświęcimiu, Częstochowie, Głogówku, Szczyrku i Warszawie, Gdańsku, Sieradzu, Chorzowie i Lublinie.

Reprezentował polską sztukę na zbiorowych wystawach w Berlinie, Sztokholmie, Stambule, Nowym Jorku i Meksyku.

Ważne nagrody i wyróżnienia:

- 2006 r. – XI Festiwal Malarstwa Polskiego w Szczecinie,
- 2014 r. – III Triennale Malarstwa „Animalis” w Chorzowie,
- 2019 r. – odznaczony medalem Zasłużony dla Kultury Polskiej.

Malarz w swym dziele, wzorem wielkich poprzedników, szuka cech świadczących o odrębności naszej kultury, z wielkim szacunkiem dla warsztatu i historii malarstwa polskiego podkreśla jej wyjątkowy charakter. Inspiracje znajduje w odchodzącym pejzażu naszej prowincji, w związku z czym chętnie uczestniczy w najważniejszych plenerach sztuki figuratywnej. Ludowość wsi polskiej, wierzenia i obyczaje to sceneria wizji malarskich, w których twórca wyraża swój stosunek do współczesnego świata i egzystencji drugiego człowieka.



Daniel Pielucha, „Wiosna w Kamionie”, 195/240, 2013 r.

Marian Panek

Poszczególne byty rodzą się w samej „idei” rzeczywistości źródłowej, są obrazami dziedziczonymi po przodkach, „obrazami – przewodnikami”.
Platon

DANIEL PIELUCHA – JEGO TWÓRCZOŚĆ MALARSKA W KONTEKŚCIE „NADREALIZMU POLSKIEGO”, POJĘCIA DEFINIOWANEGO PRZEZ SAMEGO ARTYSTĘ

Malarstwo jest dziedziną sztuk wizualnych, specyficznym komunikatem przedstawieniowym, uprawianym już w czasach prehistorycznych w postaci naskalnych obrazów wykonanych dostępnymi pigmentami i narzędziami. Każda epoka, każda współczesność



Daniel Pielucha, „W stodole”, 180/200, 2019 r.

ma twórców odwołujących się nie tylko do swoich malarskich korzeni, ale też do podstawowych emocji, które wyraża na różne sposoby, w różnym stylu czy odmiennej ekspresji.

Malarstwo najwyższej rangi prawie zawsze dotyka, przedstawia zwłaszcza to wszystko, co mentalnie i duchowo wspólne w sposób indywidualny, osobny, z artystyczną pasją, życiową prawdą jego autora. Twórczość taka zwykle szybko jest rozpoznawana. Osiąga wysokie uznanie u odbiorców, zyskuje pozytywne oceny krytyki artystycznej. Takie malarstwo reprezentuje talent Daniela Pieluchy. Jego prace ciągle budzą zainteresowanie świata kolekcjonerów, znawców sztuki.

Daniel Pielucha jest wybitnym polskim malarzem, specyficznym w swoim dziele – zanurzonym w wielowątkowe narracyjne odniesienia do historii malarstwa, literatury czy rodzimej przestrzeni kulturowej. W wielkoformatowych, autorskich kompozycjach realizowanych przy użyciu realistycznego modelowania postaci i warsztatu, wyobraża świat, który nazywa „nadrealizmem polskim”.

Jego twórczość jest przedstawieniowa, figuratywna, oparta o symboliczne myślenie. Pielucha artykułuje obrazy o cechach onirycznych – odnoszących się jednak do artefaktów czy bardzo osobistych przeżyć artysty: traum, nastrojów, poszukiwań w polskim pejzażu kulturowym. Są to poetyckie, malarskie, metaforyczne wypowiedzi ujawniające „słowiańską duszę” artysty, ale też wszystko co wspólne, składające się na „polską mitologię” w przestrzeni historycznej, jak i nam współczesnej.

Malarz pokazuje polskość, a właściwie wizualizuje jej cechy jako archetypiczny rezerwuuar instynktów zarówno tych pierwotnych, jak i wysublimowanych, drzemających czy uaktywnionych w nas, w naszej jaźni lub popędach.

Pokazuje swoich bohaterów nieświadomych swoich zachowań – skąd one przychodzą, jakie jest ich źródło, pierwowzór – tego całego naszego „polskiego behawioru” wywodzącego się z przeszłości, z pradziejów słowiańskich plemion, ludowości wierzeń i obyczajów. Odnosi się czasami do mitologii, a zwłaszcza do zawartej w niej wielowątkowej dwustronnej relacji pomiędzy ludźmi i bogami zarządzającymi ich losem i życiem.

Artysta przywołuje zdarzenia, sytuacje, wyobrażenia, które odczytujemy jako zderzenie władzy demonicznych sił z ludzką ziemską egzystencją nasyconą nie tylko tragizmem, walką z przeznaczeniem, ale też obnaża człowieka w jego bogatym zakresie emocji, od euforii aż po bezsilność.

Pielucha widzi nas zanurzonych w naturze, ale też z tej natury wychodzących do relacji, interakcji ze swoimi marzeniami, depresyjną niemocą, błędnym kołem uniesień i upadków czyhającym za płotem, złem znowy. W jakiejś mierze ta twórczość jest konfesyjna, ma znamiona zwierzenia, bliska jest spowiedzi duszy przed światem. Wyrasta z własnych życiowych doświadczeń, przeżyć, które są u podstaw kreacji, dają asumpt do powstawania obrazów wywodzących się zarówno z zachwyty nad materią życia, jak i przepełnionych bólem po stracie najbliższych osób. W swej nadrealistycznej rodzajowości nawiązuje do mistrzów polskiego pejzażu. Sam też wypracowuje jego poetykę, po części zaobserwowaną w nadwarciańskich klimatach, zakątkach i przysiółkach.

Możemy po wielokroć doświadczać, że te symboliczne wyobrażeniowe postaci i formy zanurzone są zwykle w swojskim, sielskim, rodzimym pejzażu. Ludzki dramat odbywa się w scenerii, która go w niczym nie zapowiada. To osadzenie nadaje ważny, istotny ryt oraz znaczące kontekstualne treści jego artystycznej kreacji w panoramie współczesnego, a także nieodległego czasowo polskiego malarstwa z przełomu XIX i XX wieku.

Źródeł nawiązań powinowactw przede wszystkim z naszym rodzimym (Jacek Malczewski, Józef Chełmoński), choć i światowym malarstwem romantycznym (Caspar Da-

wid Friedrich, Gustave Courbet) czy symbolicznym (Odilon Redon, Gustave Moreau) w jego artystycznej drodze jest wiele. Dojrzały twórca ciągle podejmuje interesujący, czytelny dialog z malarzami, których poszczególne kompozycje chce na nowo w duchu „nadrealizmu polskiego” zinterpretować. W tej swoistej reinterpretacji takich tematów, jak: „Ostatnia Wieczerza”, „Dawid i Goliat”, „Ikar”, „Porwanie córek Leukippa”, „Śmierć Ellenai”, „Zatruta Studnia”, „Kuszenie św. Antoniego”, rozważa dzieła: Boscha, Bruegla, Rubensa, Malczewskiego, Dudy-Gracza, Beksińskiego, Starowieyskiego.

Jak sam mówi, docenia dorobek Zdzisława Beksińskiego i jego obrazy: „za ich kolor, mistyczne tajemnicze treści i zawarty w nich tragizm ludzkiego losu”, Franciszka „Byka” Starowieyskiego realizację komentuje w ten sposób: „widzę dynamiczne, ekspresyjne postaci ze znakomitych teatrów rysowania jako echo twórczości Michała Anioła Buonarrotiego”, natomiast dokonania Jerzego Dudy-Gracza ocenia w kontekście: „choroby na Polskę» uzewnętrznianej w karykaturalnych portretach przedstawicieli społeczeństwa okresu PRL-u czy bliskiego mu środowiska artystycznego, lubię też jego etiudy pejzażowe z Jury Krakowsko-Wieluńskiej, poświęcone muzyce Chopina”.

Ważnym przedstawieniem dla twórczości malarza są demony i bestie. W początkach nasyconej, bardzo ekspresyjnej artystycznej drogi, Pielucha pokazał podczas swojego ekspozycyjnego indywidualnego debiutu w BWA w Częstochowie znaczącą monograficzną wystawę, którą nazwał „Bestiarium”. Składał się na nią przede wszystkim rozległy cykl obrazów, gdzie dominowały antro- i zoomorficzne stwory, bestie, potwory zbudowane ze struktur włókien mięśniowych, szkieletowych elementów kostnych, pischczeli, zdeformowanych czaszek, powiązanych ścięgnami jak sznurami – w jakimś wyjątkowym napięciu, wysiłku, ruchu czy pędzie. Stwory te wyrażały pogoń bądź ucieczkę, budziły przestрах i paniczny horror jak „Jeźdźcy Apokalipsy” Dürera – zbliżający się nieuchronnie koniec świata. Jak każde demoniczne postaci stawały się zwiastunem totalnej władzy śmierci. Są one wyrazem zła, szaleństwa, oblędu, destrukcji. Ich niewidzialna obecność przenika przez inne późniejsze obrazy Daniela Pieluchy. Demon reprezentuje w sobie różnorodne energie, pojęcie to odnosi się do wielu mitologicznych istot. W Grecji owe demony nazywano harpiami, eryniami. Germańskie – elfami, walkiriami, arabskie – dżinnami, indyjskie – rakszasami. Demony słowiańskie w rodzimej mitologii zajmują również pozycję pośrednią między bogami a ludźmi. Nie wszystkie reprezentowały siły zła – część z nich pełniła funkcje opiekuńcze, co objawiało się pomocą żyjącym w trudnych dla nich sytuacjach. Demonologia ludowa przetrwała do czasów dzisiejszych. Na obrazach Pieluchy pojawiają się strzygi, południce, rusalki, utopce, zmory, bogunki, ale także anioły wyposażone w męskie i kobiece cechy urody.

W pracach: „Ellenai”, „Na wozie”, „Walka aniołów” widzimy ich odmienne upostaciowanie. Fauny i chimery zajmują też poczesne miejsce w jego „panteonie” postaci, tak jak bawiące się dzieci czy młode kobiety w otoczeniu agresywnych buhajów („Taniec z bykami”, „Byki”, „Viva Polonia”). Pojawiają się inne tematy, jak: „Centaury” z wątkiem osobistym, „Bachanalia”, „Porwanie Europy”, „Świniobicie”, „Judeopolonia”, „Świtezianki”. Portrety: Józefa Piłsudskiego, Karola Wojtyły, Stefana Wyszyńskiego, Ignacego Jana Paderewskiego, Romana Polańskiego, Zbigniewa Wodeckiego. Każdy z tych konterfektów pokazuje niezwykłą aurę osobowości portretowanego.

Pieluchę interesuje sztuka dawna nie tylko przez pryzmat malowania klasycznie z użyciem światłocieniowego modelunku ciała, bryły postaci – człowieka czy zwierzęcia, budynku czy jego otoczenia. Nie mówiąc już o cyzelowaniu znaczącego szczegółu rekwizytu. Bierze z niej umiejętność myślenia obrazami, jej narracyjność, ale też humanistyczne

przesłanie, że „nic co ludzkie nie jest mi obce”, a nawet to, co zwierzęce, w sensie chuci i napięcia seksualnego. Pokazuje człowieka pomiędzy naturą a kulturą, w ciągłym balansie odniesień. Po mistrzowsku łączy treść anegdoty z obrazem, jego sposobem realizacji. Powstają więc wielkoformatowe prace, odnoszące się nie tylko do własnej egzystencjonalnej świadomości zdarzeń, w których uczestniczył, ale również, jak mówi: „do nieświadomego samoistnego uzewnętrzniania obrazu – jako żywego, mocnego wyobrażenia, «obudzonego» we mnie niekiedy w przypadkowy sposób na zasadzie łączenia wielu opowieści i obrazów. Objawia się to w jakościowej, czytelnej kondensacji jego zapisu w pamięci”.

To myślenie obrazami sugestywnymi, dynamicznymi, ekspresyjnymi, ale także sielskimi, wyciszonymi, o ezoterycznym klimacie dziwnego niepokoju, i – jakby to poeta powiedział, że: „dziwna to godzina, kiedy coś kończy się i znów się zaczyna” – w tym przypadku wpisuje się w kompozycję, w całościową strukturę poszczególnego dzieła. Stało się ono podstawowe, istotne dla całości dotychczasowej twórczości Daniela Pieluchy.

Artysta wypracował swoistego ducha malarskiego obrazowania, konstytuuje go, określa w wypowiedziach jako „nadrealizm”, dodając mu istotne przymiotnikowe określenie „polski”. Można skonstatować, że stworzył wyczerpujący, kompletny świat oryginalnych przedstawień malarskich – kompozycji, w których jak na scenie ponownie zainscenizował wiele podstawowych tematów światowej sztuki, reinterpreterując je w sposób spektakularny, przefiltrowując przez bezpośrednie odniesienia do rodzimego polskiego krajobrazu czy wiejskiego obyczaju.

Pielucha często posługuje się symbolem. Warto przypomnieć za Carlem Gustawem Jungiem, że symbol to przejaw mitycznego rytmu stworzenia, oparty o pierwowzór archetypu. Przypisywany jest mu stopień prawdziwości, zgodności z naturą i rzeczywistością. Malarz podejmuje proces kreacji, gdzie symbole z ich energetyką, mocą, magnetyzmem, przyciąganiem – wiążą ze sobą różne zjawiska posłuszne temu samemu rytmowi. Umożliwiają ich wzajemną wymianę, wspieranie się czy przenikanie (możemy ufać w tej kwestii Jungowi, bo sam był malarzem). Dlatego też artysta wiąże ze sobą symbole czy symboliczne zdarzenia, sytuacje, którym nadaje ten „nadrealizm polski” charakter i wymiar. Relacje związane ze współczesnością przenikają się w twórczości Pieluchy z tymi antycznymi i mistycznymi. Myśliciel sądzi, że symbole nie reprezentują niczego zewnętrznego, obcego duszy, lecz raczej – niezależnie od swych form czy figur, w ten czy inny sposób wyartykułowanych – streszczają życie czy duchową esencję czytelną dla wspólnot ludzkich i większych zbiorowości. Przypomina też i stwierdza w swej książce *Energetik der Seele*, że: „Psychologiczną maszyną przekształcającą energię jest symbol”, a w dalszym komentarzu dodaje: „nie chodzi tu o przedstawienia dziedziczone, lecz o pewną wrodzoną predyspozycję do przedstawień równoległych”. Taką podnoszoną przez Junga „wrodzoną predyspozycję” jako malarz posiada Daniel Pielucha, kreując „nadrealizm polski”.

(Ustka-Częstochowa, wrzesień-październik 2020 r.)

Arkadiusz Frania

Z PRZYKŁADÓW PRZEKŁADU: POEZJA ŁOTEWSKA OLGII ANNY WIEWIÓRY

Szeregi literatów Częstochowy tworzą przede wszystkim poeci i prozaicy, jednak coraz odważniej, a ostatnio nawet waleczniej, reprezentowana jest działalność translatorska skupiona wokół ogniska kulturowego, jakim stała się społeczność artystyczna Częstochowskiego Magazynu Literackiego „Galeria” i jego wydawcy Towarzystwa Galeria Literacka (wcześniej Literackiego Towarzystwa Wzajemnej Adoracji „Li-TWA”). Profesjonalizacja czynności edytorskich tego literackiego gremium rozpoczęła się bez wątpienia z chwilą objęcia stanowiska redaktora naczelnego przez Olgę Wiewiórę (od „Galerii” nr 25, styczeń-marzec 2013), a następnie Bogdana Knopa (od „Galerii” nr 36/37, październik-grudzień 2015, styczeń-marzec 2016). W kształtowaniu się tożsamości pisma bezwzględnie należy też uwzględnić rolę sekretarza redakcji, poetki Barbary Strzelbickiej.

Z osiągnięć kręgu Towarzystwa „Li-TWA” warto wymienić opublikowanie w ramach „Częstochowskiej Biblioteczki Poetów i Prozaików” 2 książek: *Wyśnij*

mnie... Anny Bagriany (przekł. z j. ukraińskiego Wojciech Pestka, 2008)¹ i *Syberiadą. Wiersze poetów znad Bajkału* (przekł. z j. rosyjskiego Ryszard „Sidor” Sidorkiewicz, 2010)².

W tzw. nowej (tj. od nr. 25) „Galerii” funkcjonuje rzetelnie prowadzony dział „Przekłady”, w którym czytelnicy mogli się dotąd zapoznać m.in. z pisarstwem: Wasyla Słapczuka (przekł. z j. ukraińskiego Wojciech Pestka)³, Egdara Lee Mastersa (przekł. z j. an-

1 Anna Bagriana, *Wyśnij mnie...*, przekł. z j. rosyjskiego Wojciech Pestka, Literackie Towarzystwo Wzajemnej Adoracji „Li-TWA”, Częstochowa 2008, wydano w serii „Częstochowska Biblioteczka Poetów i Prozaików”.

2 Ryszard „Sidor” Sidorkiewicz, *Syberiada. Wiersze poetów znad Bajkału*, przekł. z j. rosyjskiego, Wydawnictwo Literackie „Li-TWA”, Częstochowa 2010, wydano w serii „Częstochowska Biblioteczka Poetów i Prozaików”. Zob. *Poezja z Irkucka. Wiersze poetów znad Bajkału w przekładzie Ryszarda „Sidora” Sidorkiewicza*, Częstochowski Magazyn Literacki „Galeria” nr 5, październik 2007, s. 5-8. W dalszej części eseju, odwołując się do tego Częstochowskiego Magazynu Literackiego, używam jedynie tytułu „Galeria”.

3 Wasyl Słapczuk, *Życzysz sobie kuli w zadzie – witamy w Dżalalabadzie...* (Fragment afgańskiej epopei Wasyla Słapczuka „Księga zapomnienia” w przekładzie Wojciecha Pestki) [proza], „Galeria” nr 26, kwiecień-czerwiec 2013, s. 93-98. Wasyl Słapczuk, *Kropka w środku* [wiersze], przekł. z j. ukraińskiego Bohdan Zadura, „Galeria” nr 48, październik-grudzień 2018, s. 71-72.



Olga Anna Wiewióra, fotografia ze zbiorów prywatnych

gielskiego Wioletta Grzegorzewska)⁴, Ihora Pawluka (przekł. z j. ukraińskiego Tadeusz Karabowicz)⁵, Wahana Teriana (Tery Grigoriana) i Wardgesa Petrosiana (przekł. z j. ormiańskiego Naira Makchanyan)⁶, Alesia Nawarycza (przekł. z j. białoruskiego Wojciech Pestka)⁷, Auśry Kaziliūnaitė (przekł. z j. rosyjskiego Bogdan Knop)⁸, Gottfrieda Benn (przekł. z j. niemieckiego Bogdan Knop)⁹, Kārļa Vērdiņa (przekł. z j. łotewskiego Aleksandra Keller)¹⁰, Siergieja Moreino (przekł. z j. rosyjskiego Bogdan Knop)¹¹, Conrada Ferdinanda Meyera (przekł. z j. niemieckiego Bogdan Knop)¹², Guntisa Berelisa (przekł. z j. angielskiego Olga Anna Wiewióra) i Jurisa Kronbergsa (przekł. z j. łotewskiego Olga Anna Wiewióra)¹³. Osobno wyróżnijmy 2 numery „Galerii”: 35. – „białoruski” z obszernym „katalogiem” poetyckim¹⁴ oraz 55. z obfitą częścią *Poezja białoruska*¹⁵. Podkreślmy też wydanie przez Towarzystwo Galeria Literacka tomu wierszy Wasyla Ślāpczuka w przekładzie Bohdana Zadury¹⁶.

Jak widać, dzieła translatorskie coraz częściej „wychodzą” na łamy „Galerii” spod piór twórców częstochowskich, a bezsprzecznie prym w tej dziedzinie wiodą Bogdan Knop (j. niemiecki, rosyjski) i Olga Wiewióra (j. angielski, łotewski), której praca nad przekładami współczesnych poetów łotewskich znalazła zwieńczenie w postaci, opublikowanej w 2020 roku nakładem lubelskich Warsztatów Kultury (w serii „Wschodni Express”), antologii *Wszystkie ptaki, co we mnie... / Visi putni, kas manī*. Nim pochylimy się nad tą cenną publikacją, niech wolno mi będzie podać kilka danych biobibliograficznych i osobistych refleksji o samej tłumaczce.

Olga Wiewióra, używająca też drugiego imienia (Olga Anna Wiewióra), „ukrywała się” (wciaż „ukrywa”, choć z mniej żelazną konsekwencją) pod pseudonimem Aleksandra Keller (nazwisko kojarzy mi się nieodparcie z postacią majora Edwarda Kellera, bohatera kreowanego przez Bogusława Lindę w obrazie Władysława Pasikowskiego *Demony wojny*

- 4 *Epigramaty z antologii „Umarli ze Spoon River” Egdara Lee Mastersa* [wiersze], przekł. z j. angielskiego Wioletta Grzegorzewska, „Galeria” nr 27, lipiec-wrzesień 2013, s. 40-41.
- 5 Ihor Pawluk, *Męskie wróżby (wybór)* [wiersze], przekł. z j. ukraińskiego Tadeusz Karabowicz, „Galeria” nr 28, październik-grudzień 2013, s. 32-34.
- 6 Wahan Terian (Ter Grigorian) [wiersze]; Wardges Petrosian, *Dlaczego wcześniej umierają kwiaty* [proza], przekł. z j. ormiańskiego Naira Makchanyan, „Galeria” nr 29, styczeń-marzec 2014, s. 43-47.
- 7 Aleś Nawarycz, *Czarny kogut ze złotym ogonem* [opowiadanie], przekł. z j. białoruskiego Wojciech Pestka, „Galeria” nr 30, kwiecień-czerwiec 2014, s. 52-56.
- 8 Auśra Kaziliūnaitė, *Wiersze wybrane*, przekł. z j. rosyjskiego Bogdan Knop, „Galeria” nr 31/32, lipiec-grudzień 2014, s. 42-45.
- 9 Gottfried Benn, *Podróże* [wiersze], przekł. z j. niemieckiego B. Knop, „Galeria” nr 33, styczeń-marzec 2015, s. 38.
- 10 Kārlis Vērdiņš, *Małe prozy poetyckie*, przekł. z j. łotewskiego Aleksandra Keller, „Galeria” nr 34, kwiecień-czerwiec 2015, s. 42-43.
- 11 Siergiej Moreino, *Kolor: czarny* [opowiadanie], przekł. z j. rosyjskiego Bogdan Knop, „Galeria” nr 38, kwiecień-czerwiec 2016, s. 78-84. Tenże, *Kolor: turkus* [opowiadanie], przekł. z j. rosyjskiego Bogdan Knop, „Galeria” nr 54, kwiecień-czerwiec 2020, s. 53-60.
- 12 Conrad Ferdinand Meyer, *Zabłyśnij dnu, a życie, wymknij się! / Tag, schei' herein und, Leben, flieh hinaus!* [wiersz], przekł. z j. niemieckiego Bogdan Knop, „Galeria” nr 46, kwiecień-czerwiec 2018, s. 81-82.
- 13 Guntis Berelis, *Juris Kronbergs* [esej o poecie], przekł. z j. angielskiego Olga Anna Wiewióra; Juris Kronbergs, *Vilks vienācis* [wiersze], przekł. z j. łotewskiego Olga Anna Wiewióra, „Galeria” nr 53, styczeń-marzec 2020, s. 32-40.
- 14 *Poezja Białorusi*: Franciszek Bohuszewicz [przekł. z j. białoruskiego Jazep Januszkiewicz], Uładzimir Niaklajeu [przekł. z j. białoruskiego Czesław Seniuch], Halina Chinka-Januszkiewicz [przekł. z j. białoruskiego Czesław Seniuch], Jazep Januszkiewicz, „Galeria” nr 35, lipiec-wrzesień 2015, s. 28-34.
- 15 *Poezja białoruska*: Michaś Stralcou, Uładzimir Arlou, Wałżyna Mort, Hanna Komar [przekł. z j. białoruskiego Bohdan Zadura], „Galeria” nr 55, lipiec-wrzesień 2020, s. 37-49.
- 16 Wasyl Ślāpczuk, *kropka w środku* [wiersze], przekł. z j. ukraińskiego i posłowie Bohdan Zadura, Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2018, wydano w serii „Biblioteka «Galerii»”.

według Goi z 1998 roku) i w ten sposób sygnowała wszystkie swoje dotychczasowe pozycje książkowe.

Jaki był powód przybrania przez autorkę innych danych personalnych? Dobrosława Świerczyńska, odtwarzając teorię pseudonimowości, wskazała na motywy psychologiczne „wynikające może po prostu z potrzeby pewnej tajemniczości w życiu człowieka”, „nieśmiałość i brak pewności siebie”¹⁷. Badaczka zauważyła również: „pseudonim pojawia się też niekiedy jako nazwa pewnego rodzaju sobowtóra twórcy”¹⁸, „autorzy, chcąc wzbudzić zainteresowanie czytelników czy też chcąc utrafić w ich oczekiwania, przybierają zamiast własnych, »swojskich« nazwisk – obce, cudzoziemsko brzmiące pseudonimy”¹⁹. Mam wrażenie, że w przypadku Olgi Wiewióry mamy do czynienia z kompromisowym czerpaniem z powyższych powodów, choć najnowsze dzieło pisarki ukazuje się pod „właściwym” (urzędowym) imieniem i nazwiskiem. Na pewno nie podejrzewam autorki o stworzenie „drugiego ja” jako symptomu rozdwojenia jaźni, co stało się depresyjnym udziałem zmarłej w 2020 roku Barbary Rosiek, która „wytworzyła” (uroiła sobie i nam?) tożsamość Bałki eR. (to jednak temat na oddzielną rozprawę; analiza wykazałaby wiele miejsc wspólnych z notacjami w dziejach choroby, wypisami ze szpitali, jakich sporo za życia zgromadziła autorka *Pamiętnika narkomanki*).

Olga Wiewióra, jako Aleksandra Keller, opublikowała trzy samodzielne tomy i, co ciekawe, wszystkie w 2011 roku. Przywołajmy najpierw dwie prace prozatorskie: *Dialogi rodzaju żeńskiego*²⁰ i *Listy Nauzykai*²¹. Ta ostatnia książka była realizacją nagrody głównej, jaką pisarka z Częstochowy zdobyła w XXI Konkursie Literackim Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Lublinie: „W książce Aleksandry Keller jurorów ujęła »umiejętność stopniowania emocji, uczuć, gra konwencjami epistolarnymi, zręczne i nośne nawiązania do znanych dzieł polskiej i obcej literatury, zwłaszcza prozy Marii Dąbrowskiej, bliskiej – jak się wydaje – autorce nagrodzonego tomu«”²². Twórczyni, obok prozy, uprawia też z wielkim powodzeniem i wyczuciem krytykę literacką, czego owocem stały się: autorskie *Kellerowskie szkice częstochowskie 2009–2011*²³ oraz współredakcja zbioru *Wokół twórczości Andrzeja Kalinina. Szkice i recenzje. Zeszyt jubileuszowy*²⁴.

Antologia *Wszystkie ptaki, co we mnie...* została przygotowana, jak głoszą informacje redakcyjne, w ramach: Stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego (Polska, czerwiec 2016), Stypendium dla tłumaczy w Międzynarodowym Domu Pisarzy i Tłumaczy w Ventspils (Łotwa, lipiec 2016 – lipiec 2019), Stypendium dla tłumaczy w Translation

17 Dobrosława Świerczyńska, *Polski pseudonim literacki*, wyd. drugie zmienione i rozszerz., Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1999, s. 21.

18 Tamże, s. 23.

19 Tamże, s. 27.

20 Aleksandra Keller, *Dialogi rodzaju żeńskiego*, Wydawnictwo Literackie „Li-TWA”, Częstochowa 2011, wydano w serii „Częstochowska Biblioteczka Poetów i Prozaików”.

21 Tamże, *Listy Nauzykai*, Polihymnia, Lublin 2011.

22 (red.), *Aleksandra Keller nagrodzona w literackim konkursie* [dział „Kultura” w częstochowskiej edycji internetowej „Gazety Wyborczej”, 11 stycznia 2012 roku „Kultura”], https://czestochowa.wyborcza.pl/czestochowa/1,35270,10946903,Aleksandra_Keller_nagrodzona_w_literackim_konkursie.html – dostęp 19 czerwca 2020 roku.

23 Aleksandra Keller, *Kellerowskie szkice częstochowskie 2009–2011*, Literackie Towarzystwo Wzajemnej Adoracji „Li-TWA” i Wydawnictwo Literackie „Li-TWA”, Częstochowa 2011, wydano w seriach: „Częstochowska Biblioteczka Poetów i Prozaików” oraz „Częstochowskie Zeszyty Biobibliograficzne” – zeszyt 3.

24 *Wokół twórczości Andrzeja Kalinina. Szkice i recenzje. Zeszyt jubileuszowy*, pod red. Agnieszki Złotej i Aleksandry Keller, Literackie Towarzystwo Wzajemnej Adoracji „Li-TWA” i Wydawnictwo Literackie „Li-TWA”, Częstochowa 2013, wydano w seriach: „Częstochowska Biblioteczka Poetów i Prozaików” oraz „Częstochowskie Zeszyty Biobibliograficzne” – zeszyt 7.

House Looren (Szwajcaria, lipiec 2017), przekład i wydanie zrealizowano w ramach Grantu Latvian Literature (Łotwa, luty 2020). Prasa częstochowska donosiła m.in. o stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego z 2016 roku²⁵. Mogliśmy się dowiedzieć, iż tłumaczka uczestniczyła w warsztatach literackich i translatorskich w Ventspils (Windawa) na Łotwie w 2014 roku. Efektem tych spotkań twórczych były choćby przekłady tekstów Kārlisa Vērdiņa, które m.in. ukazały się we wrocławskiej „Odrze”²⁶ i częstochowskiej „Galerii”²⁷. Na łamach „Odry” pisarka opublikowała też przekłady wierszy Knutsa Skujenieksa²⁸, a w „Galerii” – Jurisa Kronbergsa²⁹.

Omawiany zbiór to edycja dwujęzyczna polsko-łotewska, zawierająca liryki 11 poetek i poetów łotewskich. Oto ich lista: Knuts Skujenieks, Jānis Rokpelnis, Leons Briedis, Māra Zālīte, Inese Zandere, Liāna Langa, Edvīns Raups, Kārlis Vērdiņš, Ingmāra Balode, Juris Kronbergs, Uldis Bērziņš. Wśród artystów wybranych przez Olgę Annę Wiewiórę znalazły się więc 4 kobiety i 7 mężczyzn. Najmłodszy autor, a właściwie autorka urodziła się w 1981 roku (Ingmāra Balode), najstarszy w 1936 roku (Knuts Skujenieks). Dwóch pisarzy niestety nie doczekało edycji antologii, w 2020 roku zmarli Juris Kronbergs i Leons Briedis. Najliczniej reprezentowane są roczniki 40. XX wieku (4 poetów). Tom wzbogacił wstęp *W skrócie o Łotyszach i ich poezji* Mārisa Salējsa (właśc. Mariāns Rižijs) oraz posłowie *Łotewski las rzeczy i wierszy, nieoswojona (w Polsce) poezja* Andrzeja Niewiadomskiego, przybliżające rozwój literatury łotewskiej i teksty zawarte w antologii.

W niezwykle interesującym wywiadzie Bogdana Knopa z Olgą Wiewiórą tłumaczka wyznała:

Wszystkie ptaki, co we mnie... jest antologią autorską, skrojoną według wyboru jednej osoby, gdzie należało odnaleźć oryginalny styl każdego z poetów



25 Bogdan Knop, *Stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego dla Olgi Wiewióry*, „Galeria” nr 38, kwiecień-czerwiec 2016, s. 9. Zob. też wiadomości w portalach internetowych: *Olga Wiewióra i Cyprian Baszyński ze stypendium Ministra Kultury* (7 lipca 2016), <https://czekultura.pl/olga-wiewiora-i-cyprian-baszynski-ze-stypendium-ministra-kultury/> – dostęp 19 czerwca 2020 roku; *Częstochowianka otrzymała stypendium ministra* (7 lipca 2016), <http://czestochowskie24.pl/czestochowa/czestochowianka-otrzymala-stypendium-ministra/> – dostęp 19 czerwca 2020 roku.

26 Kārlis Vērdiņš, *Bon appétit!, Wiosna nad Dźwiną, Jeździec, Sól, Cmentarz Centralny w Münster* [wiersze], przekł. z j. łotewskiego Aleksandra Keller, „Odra” 2015, nr 1, s. 35–36.

27 Tenże, *Małe prozy poetyckie*.

28 Knuts Skujenieks, *Mała moja ojczyzna, Zegar bije i wieczór gotowy do snu, To już jest nie ma czego więcej chcieć, Nieduży sentyment, Słowo bez słowa, Okręt* [wiersze], przekł. z j. łotewskiego Aleksandra Keller, „Odra” 2017, nr 9, s. 39–40.

29 Juris Kronbergs, *Vilks Vienacis*.

i zindywidualizować go w języku polskim na tyle, by brzmiał głosem innym, jeśli nie własnym. Nie mam jednak odwagi, by twierdzić, że udało mi się tego dokonać. Starałam się osiągnąć wyznaczony cel, ale ocenę skutków zostawiam czytelnikom³⁰.

Promocja książki odbyła się 6 września 2020 w cyklu „Wschodni Express” w ramach festiwalu „Wschód Kultury – Inne Brzmienia”. W tym dostępnym za pośrednictwem portalu Facebook spotkaniu, prócz tłumaczki, wzięli udział: Andrzej Niewiadomski – prowadzący, Marians Rižijs – autor posłowa (udział online), Ingmāra Balode – autorka (udział online). Co ważne, Olga Wiewióra popularyzuje współczesną poezję łotewską również w mediach internetowych; w serwisie YouTube można zapoznać się z prezentacjami, w których opowiada o Jurisie Kronbergsie (także czyta wiersze z cyklu *Wilk Jedno Oko*)³¹ i Ingmārze Balode³².

Książka Olgi Wiewióry to dopiero trzecia w literaturze polskiej „grupowa” ofensywa poezji z Łotwy. W 1938 roku ukazała się bowiem *Antologia poezji łotewskiej* (w wyborze Edvarda Virzy oraz przekładzie Stanisława Czernika³³), a w 1972 roku – *Zorze nad Dźwiną. Łotewskie wiersze wybrane* (w wyborze i pod redakcją Leopolda Lewina, przekłady różnych autorów)³⁴. Już powyższe zestawienie każe widzieć w omawianym tomie rzecz ważką dla badaczy i miłośników poezji Europy Środkowej i Bałtyckiej.

Na marginesie odnotujmy, że w numerze 6. z 2018 roku internetowego pisma kulturalnego „Helikopter”, wydawanego przez Ośrodek Postaw Twórczych we Wrocławiu, opublikowano materiał *Nie tylko Orbita: nowa poezja z Łotwy*, gdzie ukazały się wiersze członków istniejącego od 1999 roku stowarzyszenia poetów rosyjskich na Łotwie „Orbita”³⁵.

Janis Andrupš zauważył, iż „Poezja jest tą częścią łotewskiej literatury, która mogłaby najwięcej dać czytelnikowi nie-Łotyszowi, a jednak »najgłębsza poezja jest nieprzetłumaczalna i nawet niemożliwa do przekazania«, a te poetyckie wartości pozostają zamknięte w obrębie języka łotewskiego”³⁶. Z kolei Karl Dedecius przekonywał: „Do najpiękniej-

30 O książce, *Łotwie i związkach kulturowych*, rozmowa Bogdana Knopa z Olgą Wiewiórą, „Galeria” nr 55, lipiec-wrzesień 2020, s. 13.

31 Olga Anna Wiewióra o Wilku Jedno Oko: pamięci Jurisa Kronbergsa (data premiery: 14 lipca 2020 roku), https://www.youtube.com/watch?v=_3IP0TAOnlo – odtworzenie 14 września 2020 roku; Olga Anna Wiewióra czyta Jurisa Kronbergsa: *Wilk Jedno Oko* (data premiery: 14 lipca 2020 roku), <https://www.youtube.com/watch?v=UIGDQeBAELQ> – odtworzenie 14 września 2020 roku.

32 O Ingmārze Balode opowiada Olga Wiewióra (data premiery: 24 lipca 2020 roku), <https://www.youtube.com/watch?v=U1a8U6TFhqw> – odtworzenie 14 września 2020 roku.

33 *Antologia poezji łotewskiej*, wybór Edvarda Virza, przekł. Stanisław Czernik, przedmowa Ludwik Berzińska, komentarze Stanisław Kolbuszewski, Ostrzeszów 1938, „Biblioteka »Okolicy Poetów«”.

34 *Zorze nad Dźwiną. Łotewskie wiersze wybrane*, wybór i redakcja Leopold Lewin, wstęp i noty Zygmunt Stoberski (przekłady różnych autorów), Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1972.

35 *Nie tylko Orbita: nowa poezja z Łotwy*, <https://opt-art.net/helikopter/6-2018/nie-tylko-orbita-nowa-poezja-z-łotwy/> – dostęp 14 września 2020 roku. W nocy informacyjnej czytamy o założeniach artystycznych „Orbity”: „Cechą wyróżniającą grupę jest jej stałe zainteresowanie projektami multimedialnymi: od regularnych wspólnych wystąpień z muzykami, aż po opracowywanie projektów wydawniczych w najdrobniejszych detalach. Szczególne znaczenie dla »Orbity« ma praca w sferze wideo: grupa kilka razy zorganizowała w Rydze festiwal wideopoezji »Word in Motion«, uczestniczy także w jednym z największych tego typu europejskich festiwali »Zebra« (Berlin) oraz w rosyjskim »Piataja Noga«. Poeci z kręgu »Orbity« znani są z aktywnego twórczego dialogu z poezją łotewską: tłumaczą z łotewskiego, ich własne teksty są wydawane w przekładach na łotewski”.

36 Janis Andrupš, *Literatura łotewska w zmieniającym się świecie*, „Archiwum Emigracji. Studia – Szkice – Dokumenty” 2009, zeszyt 1, s. 28.

szych właściwości należy to, że jej forma, jej sens i działanie są przekładalne³⁷. Niemiecki tłumacz zachęcał do podejmowania trudów translacji: „Literaturę można porównać do okna, przez które jeden naród przypatruje się innym, ale też przez które inni mogą zajrzeć w jego sprawy. Spojrzenie w głąb duchowej rzeczywistości sąsiada przez otwarte okno książki jest konieczne i pożyteczne”³⁸.

Aleksandra Keller w posłowie do zbioru tłumaczeń Ryszarda „Sidora” Sidorkiewicza *Syberiada. Wiersze poetów znad Bajkału* stwierdziła: „Wiersz zapisuje stany ducha, a tym, co je wyróżnia, jest ich niejednoznaczność, zestawienie sprzeczności, nieustanna walka z żywiołami i samym sobą”³⁹. Myślę, że wizję tę można odnieść także do zawartości artystycznej omawianego zbioru. Na pewno Olga Anna Wiewióra zadaje kłam nieco seksistowskiemu stwierdzeniu Juliana Tuwima, że „Tłumacz, specjalnie zaś tłumaczka, to zjawisko, z nielicznymi wyjątkami, socjalne, klasowe, nie literackie”⁴⁰.

Warto może zadać autorce pytanie, czy podpisałaby się pod słowami Jerzego Jarniewicza, który nazwał mentalną sferę sztuki przekładowej w sposób następujący: „Tłumacze przede wszystkim dla poszerzenia doświadczeń językowych. Dla kogoś, kto sam coś pisze, tłumaczenie jest doświadczeniem, które trudno przecenić, pozwala z całą mocą poczuć swoją obcość w języku, ale daje również możliwość kształtowania siebie w obliczu tej obcości”⁴¹.

Lektura pomieszczonych w antologii wierszy pozwala nieraz wprost, kiedy indziej bardziej intuicyjnie, wyodrębnić czy raczej wysnuć kilka nici tematycznych. Dlatego nie będę charakteryzował pisarstwa poszczególnych autorów, lecz swoje refleksje postaram się zbudować wokół wybranych obszarów poetyckich.

Każdy poeta, każdy człowiek, każdy jego czyn i sen łaknie nazwania. Bez samookreślenia nie ma „ja”, może być jedynie fałszyfikat, w najlepszym razie erzac, stąd niezmienna potrzeba spojrzenia sobie w serce poprzez drugie „ja”. W lirykach tych kołyszą się motywy luster, odbić, sobowtórów. Zwierciadło staje się oknem, dzielącym „nasze czuwanie od snu” (Rokpelnis, s. 45), dotykamy zagadki światów stycznych. Natomiast lalka to wewnętrzny „dziwny” przyjaciel: „Oto w drzwiach stoi lalka. Koronka światła rozplata się w ciemności. / Tylko lekko rozpalona pamięć wlecze za sobą duchy, / związane wibrują w pętli bez końca” (Langa, s. 133). Mamy tu do czynienia z utworem o przeszłości, dzieciństwie, przechowującym naszą przyszłość, kompleksy i „zgubę” teraźniejszości. „Stopniowo zmieniałam się w dziewczynkę, / która częściej gapi się w lustro, / niż stoi przy oknie i czeka machając ci na do widzenia” (Balode, s. 189) – czytamy kilkadziesiąt strof dalej w wyimku o starzeniu się na wspak. I w końcu wątpliwość: „więc po co patrzeć z drugiej strony / jak gdybyś umarła a ja był wszystkim” (Raups, s. 151).

Kondycja człowieka została opisana ciemnymi lub szarymi pierwiastkami:

serce człowieka
szaro krwawiące

37 Karl Dedecius, *Libri*, [w:] Karl Dedecius, *Notatnik tłumacza*, przełożyli Jan Prokop, Irena i Egon Naganowsky, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 1988, s. 21.

38 Tamże, s. 21-22.

39 Aleksandra Keller, *Posłowie od redakcyjne*, [w:] Ryszard „Sidor” Sidorkiewicz, *Syberiada. Wiersze poetów znad Bajkału*, s. 88.

40 Julian Tuwim, [wypowiedź na temat przekładu], [w:] *Pisarze polscy o sztuce przekładu*, wybór Edward Balcerzan, „Teksty. Teoria literatury, krytyka, interpretacja” 1975, nr 6, s. 160.

41 „Tłumacz nie może być kochankiem tekstu”, rozmowa Zofii Zaleskiej z Jerzym Jarniewiczem, <https://www.dwutygodnik.com/arttykul/5840-tlumacz-nie-moze-byc-kochankiem-tekstu.html> – dostęp 27 czerwca 2020 roku.

bez końca smutne
puste
monotonne
i samotne
wzgórza i doliny
(Briedis, s. 61).

Pustka pochłania spokój: „Nie mów – we mnie niczego więcej nie ma” (Zālite, s. 89), pozostaje alienacja: „jedyną odpowiedzią / jedynym dźwiękiem // jest jego własny oddech” (Kronbergs, s. 225), rzadko kiedy wsparta młodzieńczym buntem i próbą przechytrzenia porządku rzeczy: „Niedziela. / Możemy być samotni / tyle ile chcemy” (Balode, s. 199). Samotność skłania do rozważań egzystencjalnych: „Nie ma nikogo do rozmowy, absolutnie nikogo. / Dobre miejsce, by rozmyślać o śmierci i końcu” (Langa, s. 131).

Narrator notuje: „światliki zdobią powietrze błyskiem” (Rokpelnis, s. 47), co stanowi preludeum do mroków spowijających przestrzeń ziemi i ludzkie myśli. Najpierw światło tylko dogasa wraz z mijającymi godzinami: „powietrze jest ciężkie i gwiazdy zgasły / słońce zgasło i wszystkie przyszłe dni” (Kronbergs, s. 205), potem w ciemności słychać krzyk: „Jesteś ze mną. / Tam w ciemności, / wapienne ściany / o suchej woni, / dosięga mnie / twój krzyk” (Balode, s. 195).

Wiele liryków zdaje się nieść jak echo „znad krawędzi, / z niezagojonej rany” (Langa, s. 135), jawiąc się jako „Dziewiąta pieśń [...] o krawędzi świata” (Langa, s. 131). Potwierdzeniem byłyby cytaty: „Za polem pole, za śniegiem śnieg” (Langa, s. 143), „otwierają się drzwi / otwierają się drzwi do drzwi” (Vērdiņš, s. 163), „Niech spadnie / gwiazda i podzieli się na pół” (Raups, s. 151), „Gdzieś w wieczności / nowo narodzone gwiazdy / toną” (Zālite, s. 83). Pada pytanie jak cięcie: „dokąd odchodzi człowiek / co przychodzi znikąd” (Zandere, s. 97), i przykazanie: „Co było, nie mówcie / co będzie, pytajcie” (Bērziņš, s. 235).

W lirykach łotewskich odbija się świat przyrody, zwłaszcza roślinny, ptasi i wodny, rzadko jednak „malowany” dla samego krajobrazu czy geografii, stanowi bowiem składnik pejzażu psychicznego, *de facto* opowieści o przeżyciach wewnętrznych podmiotu lirycznego.

Florystyka poetycka uzmysławia ludzką zmienność, jak choćby w wątku dendrologicznym: „byłem obłokiem / osiadłem na wierzchołku lasu / i stałem się drzewem” (Skujenieks, s. 31), las nie symbolizuje jedynie zagubienia w świecie, lecz (może tylko na moment) wy-ciszenie, stanowiące cel poszukiwań duchowych „ja”: „spokój lasu / spokój mchów i szyszek” (Skujenieks, s. 25). Drzewo innym razem pojawia się jako los:

Jest takie drzewo
Znam je jak samego siebie
Jest takie drzewo
I żyję w jego cieniu
Jest takie drzewo
I nie mogę go odnaleźć
(Skujenieks, s. 23).

Również erotyzm czerpie z przyrody swoją leksykę (siłę?). Zmysłowość unosi się nad obrazem: „W moich palcach sutki twoich piersi / Jak brązowe pączki brzozy nabrzmiewają” (Skujenieks, s. 21). Jesteśmy świadkami zbliżenia seksualnego między partnerami:

„przeniknę cię stokrotką, byś zakwitła” (Skujenieks, s. 29), ale w wersji kobiecej dochodzi do głosu namiętność bardziej romantyczna: „spójrz w wilgotne oczy jeziora, / bo są moje” (Zālite, s. 87).

Bardzo wiele w omawianych tekstach „płyń” wody. Są to rzeki, deszcz, fale, krople. Akwatyki nie służą ukazaniu uroków pływania, lecz sugerują bliski dzień utonięcia w życiu, pamięci. Na początku mamy obrazy niemal obojętne, bez determinizmu: „jestem wodą / we mnie przegląda się niebo” (Vērdiņš, s. 165), ale kwintesencją bytu są frazy: „Gdy-bym była każdą z fal, które uderzają o / brzeg, / Wypłukałabym pustkę” (Langa, s. 139), „Po deszczu, / kiedy ziemia wynosi na wierzch to, co ze mnie zostało” (Bērziņš, s. 233). Ostatecznie i tak woda zmywa nasze ślady: „czy za tobą cicho podąża morze / ścierając ślady twoich stóp” (Zandere, s. 105).

Wydaje mi się, że motywem łączącym wszystkie sfery ludzkiej refleksji jest ptak. We fragmencie: „ptaka cień / zanurzył się w wodzie, co karmiła kwiaty” (Rokpelnis, s. 37), dostrzeżemy ciekawy zabieg ontologiczny, gdzie podmiot liryczny w szczególe opisu nie ptaka nawet, lecz jego cienia, wyraża człowieczą egzystencję. To chwila oddania się tajemnicy nieskończoności, może nawet konfrontacji *ego* i *alter ego*. Inny poeta dodaje: „ptak był tak samotny / że uwił gniazdo / w swoim cieniu” (Briedis, s. 69). Z kolei przenikanie jaskółki i „ja” sugeruje istnienie na granicy światów, ptasie za-swiaty, wprowadza niepokój, wyjawia ból „za sobą”, „z siebie”: „jaskółki zanurzają końce skrzydeł w twoich oczach / mimowolnie / w zwykłym pośpiechu” (Rokpelnis, s. 39). Nie sposób refleksji ornitologicznych nie zakończyć lirykiem, z którego zaczerpnięto tytuł antologii:

Wszystkie ptaki, co we mnie
w panice biją skrzydłami.
Wszystkie – pracowite pliszki
i kraczące wrony.
Drży wątłe ciało żurawia,
wyniosłe pawia wołanie
zdradza go.
Nie ma odwrotu – zamarzniemy.
Wielu, wielu zginie.
Nie ma odwrotu – nie odlecieliśmy.
Mieliśmy nadzieję, kochaliśmy, wierzyliśmy –
że lato nigdy się nie skończy.
Nie odlecieliśmy
(Zālite, s. 79).

To bardzo przejmujący wiersz o odwadze bycia sobą na przekór zdrowemu rozsądkowi, okolicznościom, za cenę nie-życia.

Oznaczmy też wiersze z katalogu *ars poetica* czy szerzej tekstów autotematycznych. Rzeczywistość rośnie „na słowniku”: „Wszystko, co wyblakłe / jak czerwonego wina plama na obrusie, powraca i próbuje / stać się słowem” (Langa, s. 133), właściwie nic nie dzieje się „na-prawdę”, niemal wszystko „na słowo”, w równoległym bycie:

w słowie *niebo* już od dawna nie świeci
słowo *słońce*

słowo *wiatr*
 przegania nade mną
 chmury słowa *jesień*
 [...]

 jedyne co przynosi ulgę
 współczujące słowo
nic

(Briedis, s. 57).

Wyraz jest szorstki, nieprzyjazny, odległy: „słowo, którego zawsze szukam / i nigdy nie wypowiem” (Skujenieks, s. 29), „do mnie należą słowa / których znaczenia są mi obce” (Briedis, s. 57). W jednym z liryków następuje odwrócenie porządku przyczynowo-skutkowego: „boi się / bo wszystko / czego dotknie / staje się słowem” (Briedis, s. 65), czyli nie słowo staje się przedmiotem, realnością, ale materia przeistacza się w słowo. Czy słowo zatem jest ważniejsze od rzeczywistości? Na pewno to jedna z cech trwania: „w Tokio, w Berlinie, Paryżu pobędziemy pod opieką wierszy” (Balode, s. 197), „niech słowa spadają bez obnażonej więzi / tak swobodnie jak jesienne liście” (Rokpelnis, s. 47), tym bardziej że poeta wciąż mówi: „mam nadzieję na następne słowo” (Vērdiņš, s. 167).

Przyjrzyjmy się też wierszom *sensu stricto* łotewskim, gdzie pojawia się kontekst czy wprost topografia kraju i jego symbole. Czytamy: „mała moja ojczyzna / z obu rąk szerokości / miła moja ojczyzna / z obu rąk czułości // niezgłębiona moja ojczyzna / z całego życia rozległości” (Skujenieks, s. 31). Ta „mała moja ojczyzna” będzie macierzą serca, emocji, dobrych i ciepłych myśli. Wymieńmy miasta i ulice: „jak wnuczka Starej Rygi / pochodzi z okolic Rundāle” (miasta; Rokpelnis, s. 41), „idąc o jasnym świtanie po ulicy Āgenskalna” (ulica w Rydze; Zandere, s. 95), „I Madonna, co kołysze się na księżycu / w Krasławiu” (miasto; Balode, s. 201), „pięć okien w rzędzie / i drzwi na dźwinę” (rzeka; Zandere, s. 113), *Wiosna na Zadźwiniu* (Vērdiņš, s. 177). Najpełniejszą puentą stanie się na pewno obcowanie z ojczystą naturą: „Trzymam swoją rękę / Nad niebieskimi lasami, czułymi zakolami rzek. / Nie trzeba nic mówić, tylko – Łotwa” (Zālīte, s. 83). Przypomnijmy, że także tytuł poprzedniej antologii poezji łotewskiej z 1972 roku umiejscawiał lirykę w konkretnie narodowo-przyrodniczym: *Zorze nad Dźwiną*, przywołując rzekę przepływającą przez stolicę Łotwy – Rygę.

Skończywszy lekturę zbioru, możemy mieć nadzieję na odkrywanie przez Olgę Annę Wiewiórę kolejnych poetyckich obszarów Łotwy, przecież już została zapowiedziana przez tłumaczkę edycja wierszy Jurisa Kronbergsa. Myślę też, że autorka przygotowuje książkę krytyczną o liryce łotewskiej.



Konrad Ludwicki

O „OSOBOWOŚCIACH I OSOBLIWOŚCIACH...” ARKADIUSZA FRANI I O OSOBIE ICH AUTORA

Książka Arkadiusza Frani pod znamienitym tytułem *Osobowości i osobliwości*. Z życia literackiego współczesnej Częstochowy (Częstochowa 2019, stron 176), której wydawcą jest Towarzystwo Galeria Literacka, traktuje przede wszystkim o nieżyjących twórcach pióra z regionu. Cztery nazwiska (Gaiński, Gierymski, Łągiewka, Piekarski) to niejako meritum treści, jakkolwiek jest i o innych zjawiskach literackich Częstochowy; o czym za chwilę. Rzecz jasna nie jest to epitafium żałobne ani wyłącznie pośmiertny hołd wobec wyżej wymienionych. Wprawdzie pewien szacunek jest także, jednak ostatecznie publikacja zachęca raczej do wędrówki po światach przedstawionych w tekstach przywołanych twórców. Autor natomiast pełni tu rolę osobliwego przewodnika. Przewodnika na polu piszących, których ceni i których (po)znał. Na początku swej książki *Iść po siebie*. *Zamiast wstępu* stwierdza:

Zawarte w książce teksty, które z premedytacją nazywam esejami (...), są śladem moich zmagania z samym sobą, bo tak właśnie postrzegam rolę własnej twórczości bez względu na jej rodzaj: nieważne, czy piszę wiersz, prozę, recenzję, szkic literacki – zawsze walczę o siebie (stąd moja „odludkowość”, ucieczka w samotność) czy wręcz stany depresyjne¹.

Nie mam wątpliwości, że – w przypadku (nie tylko) Arka Frani – owe „stany depresyjne” są kuriozalnym paliwem do pisania. Jakkolwiek on sam twierdzi cokolwiek innego – „(...) z dwojga złego, wolę osunąć się na biurko z przepracowania, niż wpaść w depresyjne odrętwienie” – stwierdza. Myślę, że to swoista przekora. „Odrętwienie” na pewno mu nie grozi. Autor nie popada w nicnierobienie. Wykonuje – po raz kolejny – kawał pożytecznej i wskazanej roboty. Książka w odczuciu mym jest – jeśli wolno tak rzec – reprezentatywna dla jego eseistyki. Frania bowiem nie po raz pierwszy skupia się w wypowiedzi w kwestii zasadniczej na twórcach regionu. Na twórcach miasta. Przywołajmy wcześniejsze tytuły: *„Solidne nie-farbowane retro” O poezji Tadeusza Gierymskiego* (Częstochowa 2004), *Strażnicy i najeźdźcy. Zjawiska we współczesnej poezji regionu częstochowskiego* (Częstochowa 2005) i najnowsza *Grupa literacka Profile. Zjawisko, poeci, wiersze* (Częstochowa 2020). W tym temacie jego

1 Arkadiusz Frania, *Osobowości i osobliwości*. Z życia literackiego współczesnej Częstochowy, Częstochowa 2019, s. 3.



teksty stają się niejako – nie boję się użyć tego słowa – kanoniczne. Omawiany wybór Arkadiusza Frania – to potrzebne kompendium z komentarzami. Jak mówi:

Osobowości i osobliwości to także przypomnienie ciekawych, moim zdaniem, zjawisk częstochowskich, których wspólnym mianownikiem jest cecha pewnego zamknięcia, „zakończoność” w czasie. Drugi element łączący poszczególne teksty to powody osobiste. Punktem wyjścia było zawsze wspomnienie, epizod, błysk, skojarzenie².

Zatem pisze o innych, ale pisze też o sobie. Bo przecież każda opinia piszącego jest pisaniem siebie i siebie wyrażaniem.

Całość – nie tylko zresztą tej jego książki – osadzona jest w sferze niszy. Innymi słowy refleksje swe snuje on z dala od nowych establishmentów literackich, pisząc o twórcach znaczących, jakkolwiek nie aż tak znanych. Wydaje mi się, iż podstawą jego stylu (przynajmniej w tej publikacji) jest dążenie do uchwycenia związku dwu wymiarów bytu: jednostkowego i społecznego. Bo i te dwie formy egzystencji konfrontuje i łączy ze sobą. Jest szczegół biograficzny tego, o kim pisze, jest analiza jego twórczości, jest wreszcie ocena. Dominuje – powiedziałbym – tonacja rozpamiętywania i refleksji.

Na książkę składa się dziewięć esejów, odnoszących się do zjawisk, których cechą wspólną jest „skończoność”. Oprócz przywołanych czterech nazwisk Autor opisuje także – i nie tylko – częstochowski okres życia i twórczości „znakomitej autorki, osiadłej w 1983 roku w Lublinie” (s. 5), Elżbiety Cichli-Czarniawskiej (rocznik 1935). Widać hołubi i nobilituje jej talent, który przed nami na nowo odkrywa. Frania przybliża jej biografię, kontekst historyczny, przywołuje lirykę i wspomnienia. Uwidacznia i uświadamia fakty mało bądź w ogóle nieznanne. Wierzę razem z nim, iż jego tekst „stanie się pretekstem, szczególnie dla młodych badaczy i miłośników literatury, do podjęcia bardziej wnikliwych analiz, na które autorka *Krążenia wzajemnego* bez wątpienia zasługuje”. (s. 32)

Nadto wolumin przypomina nam Grupę Literacką „Lit-Ars” (1986-1989) i wskrzesza informacje o „Częstochowskich Czwartkach Literackich” (1993-1994) oraz rubrykach poetyckich – miejscach w periodykach regionalnych („Dziennik Częstochowski. 24 Godziny”, „Gazeta Częstochowska”), prowadzonych przez Tadeusza Gierymskiego i Waldemara M. Gaińskiego.

Na zadane pytanie: „Dlaczego tak bliska jest Ci przeszłość literacka Częstochowy, ta swoista współczesność oddalona?”, Arkadiusz Frania odpowiada: „Utrwalam przeszłość, bo hołduję zasadzie, że jeżeli zapomnimy o przeszłości, przyszłość zapomni o nas, a dla osób piszących być zapomnianym to niezbyt miła perspektywa. Nie bez znaczenia jest również fakt, że byłem uczestnikiem bardzo wielu omawianych w książce przedsięwzięć artystycznych”³.

Dobrze się stało, że podjął się wskrzesić znaczących nieobecnych. Sprostą temu idealnie. Książka składa się, w znacznej części, z luźnych, powiązanych ze sobą refleksji autora, ale jednocześnie i faktów skrupulatnie zweryfikowanych w źródłach. Publikacja jest tym samym rodzajem dokumentu pozwalającego zrozumieć, czym było życie literackie w Częstochowie u końca dwudziestego wieku. Głównie poprzez esej, który uprawia, Autor ustanawia intymne niejako relacje z adresatem. Relacje, w których mieszają się różne poziomy przedstawionej rzeczywistości i rozmaite jej rejestry.

² Tamże, s. 4.

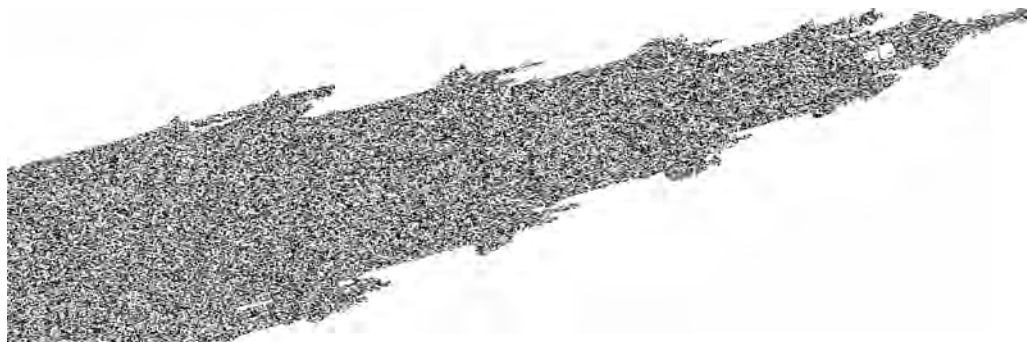
³ <https://www.legimi.pl/ebook-osobowosci-i-osobliwosci-z-zycia-literackiego-wspolczesnej-czestochowy-frania-arkadiusz,b600898.html> (dostęp: grudzień 2020 r.)

Nie będę szczegółowo streszczał ani tym bardziej interpretował woluminu Arka Frania, jako że najlepiej interpretuje się on sam w swojej formie i treści podczas lektury. Nam – czytelnikom – pozostaje jedynie rozstrzygnąć, czy Frania dokonał trafnych wyborów, pisząc o tych, a nie innych twórcach. No ale to jego antologia i jego decyzja...

Książka niniejsza, w moim odczuciu, syntetyzuje (selektywnie i subiektywnie) to, co Frania zdążył wcześniej napisać w swych publikacjach krytycznych. Znam je. Pisze on zatem nie tylko o twórcach wymienionych w spisie, ale też o roli czytelnika, interpretacji i tekście. Odczuwa wręcz posłannictwo słowa (wszak jest przede wszystkim poetą). Zna wagę zdań i literatury, ale i wagę słowa wciąż przywraca i nadaje. Umie przedstawić ludzkie natury (owe „osobowości”), ludzkie relacje i wydarzenia oraz ich konsekwencje, właściwie nie stosując długich opisów. Łączy za to prostotę wypowiedzi z obserwacją. To w zupełności wystarczy. Jest i coś jeszcze. Otóż Frania – w kontekście omawianych nazwisk – przypomina, że istnieją uniwersalne prawa moralne, a pisanie przepojone nimi staje się czymś więcej niż tylko samym pisanem. Niejako w eschatologicznej perspektywie, odkrywając prezentowanych twórców, odkrywa zarówno prawdę o nich, jak i w ogóle, pośrednio, prawdę o nas. Autor w swojej poezji, jak i esejstyce, dąży do nadania moralnego sensu ludzkim poczynaniom. Poczynaniom osadzonym niejednokrotnie w świecie groteski i defetyzmu. Widzi i ma świadomość, iż – jakkolwiek pretensjonalnie to zabrzmie – kończy się czas elit zaangażowanych w piękno bezinteresowne. Zaczęła się epoka pysznych dyletantów. Ignorantów, dla których najważniejsza jest fura, komóra i wielka plazma na białej ścianie w otoczeniu dodatków z Ikei. Dominuje jeden wielki *shopping* i tępe konsumowanie – wie to.

Cóż jeszcze dodać? Kończąc, powtórzę za Eweliną Dziewońską-Chudy: „Zazdroszczę autorowi determinacji, z jaką zaczyna, i konsekwencji, z jaką kończy swoje utwory. Wszak napisanie większości zawartych w książce tekstów zajęło mu zaledwie kilka miesięcy”⁴. Zatem pisz, Arku, i wydawaj, ale ostrożnie z ilością, liryki bowiem – to swoista prawidłowość – gdy przybywa nam tomów poetyckich, ubywa czytelników w poezji rozmiłowanych.

I już na koniec: dobrze stało się, że Arkadiusz Frania jest tegorocznym Laureatem Nagrody Prezydenta w dziedzinie literatury. Chyba nikt nie ma wątpliwości, że – jak mało komu – należy mu się to wyróżnienie. Byłem mocno za nim. Mimo zamiłowania do świata wirtualnego wciąż wierzę – jak i Autor – w cywilizację książki.



4 Ewelina Dziewońska-Chudy, *Po słowie. Zamiast postowia*, [w]: Arkadiusz Frania, „Osobowości i osobiwości...”, s. 169.

Maciej Rudlicki

NASZE PISANIE

Sławomir Mrozek, pytany niegdyś przez dziennikarkę prowadzącą z nim wywiad: „Mistrzu, jak to się to robi, że tworzy pan takie dzieła?”, odpowiedział: „sie bierze stołek, sie siada i sie pisze”.

Prostota tej recepty jest urzekająca. Mam prawie pewność, że wszyscy piszący w Częstochowskim Magazynie Literackim „Galeria” bez żadnej podpowiedzi odkryli tę metodę. Widocznie wszyscy mamy odpowiednie stołki.

A jednak kryje się tu pewien problem, którego świadomość mamy, ale pozostaje on, i słusznie, własnością każdego z nas. Niezależnie od uwarunkowań osobistych, ważnym punktem odniesienia naszego pisania jest ambitny poziom i zawsze ciekawa graficzna prezentacja naszego Magazynu.

Gdyby zadano niektórym z nas pytanie – dlaczego piszesz? – to zapewne powtarzałyby się odpowiedzi: bo czuję taki wewnętrzny imperatyw, a świat zewnętrzny dostarcza mi takich wrażeń, że muszę zareagować w sposób dla mnie dostępny i możliwy. Wreszcie najprościej: piszę, bo chcę!

Pisząc, zostawiamy po sobie pewien dodatkowy ślad realnej obecności w życiu. To naturalne, przecież każdy z nas ma świadomość przemijania i samotności nieodwołalnie wkradającej się w nasze życie wraz z upływem lat. Właściwie możemy powiedzieć, że cokolwiek piszemy – piszemy o sobie, bo nie mamy innego instrumentu do pisania jak samego siebie, swoją umiejętność pisania, dostrzegania i pojmowania problemu, własną wrażliwość, przekonania i swoje ograniczenia. Możemy zatem stwierdzić, że z konieczności jesteśmy usytuowani w relacji „ja i reszta świata” – i choć ten opis nie jest w pełni właściwy, to ma jednak pewne umocowanie. Sztuka czy też wszelka twórczość nie rodzi się bowiem z zasad demokracji, nie zna pojęcia neutralności czy też negocjowania swojego stylu czy formy wypowiedzi. Ma sens tylko wtedy, kiedy wywodzi się ze szczerego, wyłącznie własnego poglądu, z bezkompromisowego dostrzegania obrazów i problemów zewnętrznego świata, którego naturę badamy przecież własną, subiektywną wrażliwością.

Nie dziwi nas, że wielcy twórcy kultury i sztuki apodyktycznie narzucali nam własną formę wypowiedzi, do której starali się nas przekonać.

Ale czy na tej podstawie możemy powiedzieć, że powód i sens naszego pisania wynika z prawie nieograniczonej wolności, która bez wątpienia jest warunkiem koniecznym wszelkiej twórczości? Żaden wywód na powyższe pytanie nie jest w pełni możliwy, jeśli nie zmierzmy się z reakcją odbiorcy. My bowiem, świadomie czy nie, chcemy stworzyć jego, a on w pewnym sensie stwarza nas.

Myślę, że na miejscu jest pytanie: czy zawsze o nim myślimy? Kim on dla nas właściwie jest: wymagającym cenzorem czy potulnym odbiorcą kłękającym przed naszym dziełem, ozdobionym powagą druku? A może w ogóle o nim nie myślimy, skoro w przeważającej mierze żadnej gratyfikacji za to nie dostajemy i sam fakt zaproszenia nas do stołu powinien nam wystarczyć?

A jednak, wiedząc o tym i doświadczając tego, nasza potrzeba wypowiedzi literackiej jest silnym imperatywem wewnętrznym. Wreszcie dochodzimy do kolejnego ważnego pytania. Czy mamy jakąś własną ideę pisania, której podporządkowujemy wszystko, co publikujemy? Czy mamy jakiś cel lub też czy chcemy za wszelką cenę coś głośno wy-

krzyczeć w sprawach, które uznajemy za ważne? A dlaczego nie pisać o czymkolwiek, co dla nas w danej chwili nastroju i emocji jest konieczne do opisanego? Czy taki rodzaj motywacji jest gorszy, czy rzeczywiście pozbawia nas autorskiej identyfikacji i powagi? Odpowiedź na takie pytania jest zawsze odpowiedzią osobistą i z tego powodu jest subiektywnie wystarczającą. W ostatecznym rozrachunku świadectwem jest przecież nasza twórczość.

Największe dzieła sztuki i literatury w ogromnej większości dotyczyły realnego życia, zmagania człowieka z losem, były nie tylko opisem świata, ale często miały charakter rewolucyjny. Witold Gombrowicz w swoich *Dziennikach* napisał, że sztuka i bunt to niemal to samo.

Dziś los ulokował nas w czasie wyjątkowym i dramatycznym. Nagle ze zdziwieniem i wręcz z przerażeniem znaleźliśmy się w świecie niepewnym, kruchym, niebezpiecznym, gdzie prawda i fałsz są bliźniakami trudnymi do odróżnienia, a jedyny obiektywny wyraz ma śmierć zbierająca nadal swe pandemiczne żniwo. Lęk spowodował bałagan w naszych umysłach i nieufność wobec przyszłości. Dosadnie i dramatycznie przekonujemy się o tym, że najważniejszym odniesieniem wobec wszelkiej twórczości jest człowiek i człowieczeństwo. Żadna inna idea nie jest ideą wyższą! Niezapomniane strofy wiersza księdza Jana Twardowskiego „spieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą” znów przemawiają do nas prawdą, bólem, ale i nadzieją.

(21.05.2020 r.)



Tomasz „Aztzenty” Barański

BŁ. EUZEBIUSZ – ZAŁOŻYCIEL ZAKONU PAULINÓW

„Euzebiusz, mąż oddany Bogu, przewspaniały miłośnik pustelni, zamieszkawszy wraz z sześcioma braćmi w grocie o trzech pomieszczeniach, w której sam żył kiedyś, w pobliżu źródła, tryskającego na cześć Krzyża Świętego, dał początek siedzibie przyszłego klasztoru o regule zakonnej i gdzie on sam żył bogaty w cnoty, wyróżniając się pobożnością i świętością, choć słaby ciałem i błady, zaprawiony we wszelkiej pokorze, odejmując sobie od ust i oszczędzając, ograniczając do minimum miarę jedzenia i picia, przez co zawsze był zawsze zdrowy i piękny”.

(fragment dodatku do *Liturgii Godzin*)

W roku 2020 mija 750 lat od śmierci bł. Euzebiusza, zmarłego 20 stycznia 1270 r. – jednego z patriarchów Zakonu św. Pawła Pierwszego Pustelnika – paulinów. Żył na Węgrzech, gdzie tradycje życia eremickiego sięgały czasów chrystianizacji tego kraju w 974 r. Nazwa Zakonu Świętego Pawła Pierwszego Pustelnika (łac. Ordo Sancti Pauli Primi Eremitae, w skrócie OSPPE) pochodzi od osoby św. Pawła, eremity z Teb (Egipt), żyjącego w latach 228-341, którego Kościół uroczystie uznał za pierwszego pustelnika podczas kanonizacji w Rzymie w 491 r. Jednak nie św. Paweł był rzeczywistym założycielem Zakonu Paulinów, a błogosławiony Euzebiusz – kanonik z Ostrzyhomia.

Euzebiusz urodził się zapewne około 1200 r. w węgierskim mieście Ostrzyhom z zamożnych i powszechnie szanowanych rodziców, sam Ostrzyhom zaś był wówczas siedzibą arcybiskupów węgierskich i początkowo także stolicą nowego państwa (tu koronował się pierwszy król węgierski, św. Stefan). Doskonale wykształcony i pobożny Euzebiusz wkrótce został w swoim rodzinnym mieście kanonikiem. Mimo piastowania wysokiej godności utrzymywał ożywione kontakty z pustelnikami, żyjącymi w górach i lasach na terenie całej archidiecezji.

Głównym zamiarem bł. Euzebiusza było stworzenie nowego zgromadzenia zakonnego, obejmującego całe Węgry i uzyskanie dla jego organizacji zezwolenia Stolicy Apostolskiej. Prawdopodobnie po tragicznym w skutkach najeździe Tatarów na Węgry i Polskę w 1241 r., bł. Euzebiusz zdecydował się zrezygnować z zaszczytnej funkcji kanonika, by rozpocząć życie eremity, lecz w sposób bardziej zorganizowany niż wcześniejsi pustelnicy węgierscy, którzy żyli osobno, prawie nie kontaktując się ze sobą. Zamieszkał początkowo w pobliżu grotty na górze Pilis – tam, gdzie już dawniej żyli eremici. Tam też miała miejsce cudowna wizja bł. Euzebiusza, który zobaczył nocą liczne samotne płomyki, łączące się w jeden wspólny ogień, rozjaśniający ciemności. Głos, który towarzyszył tej wizji objaśnił Euzebiuszowi, że żyjący samotnie eremici, połączeni w jedno zgromadzenie, będą skuteczniejsi w swym oddziaływaniu.

W związku z tym podjął inicjatywę zorganizowania wspólnotowego eremu na górze Pilis, gdzie około roku 1250 wznosił mały kościół pw. Świętego Krzyża. Jego zabudowania zniszczyli całkowicie Turcy w czasie swego panowania po bitwie pod Mohaczem w 1526 r., kiedy to zginął ostatni król węgierski z dynastii Jagiellonów – Ludwik i większa część Węgrów dostała się na kilka stuleci pod panowanie tureckie. Z tego też powodu większość znanych klasztorów paulińskich na tym obszarze jest obecnie w ruinie, a centrum życia zakonu przeniosło się do Polski, przede wszystkim na Jasną Górę, ale i do Krakowa na Skalkę.

Dążąc do nadania założonemu przez siebie klasztorowi odpowiedniej reguły, bł. Euzebiusz nawiązał kontakt z klasztorem w Patacs, gdzie eremici żyli wedle zasad określonych w 1215 r. przez Bartłomieja, biskupa w Pecs (pol. Pecz). Euzebiusz otrzymał tekst reguły od ówczesnego przełożonego klasztoru w Patacs, Antoniego, potem zapadła decyzja o unii obu konwentów i wybraniu wspólnego przełożonego (prowincjała), którym został Euzebiusz. Zaistnienie takiej wspólnoty, obejmującej początkowo tylko dwa klasztory (później było ich więcej), stało się punktem wyjścia do starań o zatwierdzenie nowego zakonu. Udał się więc Euzebiusz w roku 1261 do Rzymu, gdzie złożył u papieża Urbana IV odpowiednią petycję. Popierał ją zresztą przebywający wówczas w Rzymie dominikanin, św. Tomasz z Akwinu, który umiał docenić cechy osobowości i intelektu bł. Euzebiusza (wyrazem wdzięczności eremitów jest kult, jakim ten wybitny teolog, doktor Kościoła, otoczony jest w zakonie paulinów).

Papież ocenił, że materialne podstawy życia nowego zgromadzenia (w postaci nadań majątków) nie są jeszcze wystarczające dla zapewnienia niezależności eremitów, w rezultacie nowy zakon nie był jednak w pełni gotowy do rozpoczęcia samodzielnej egzystencji w oparciu o regułę nadaną przez papieża – co nie przeszkadzało dalszemu intensywnemu rozwojowi zgromadzenia pustelników, kierowanego przez bł. Euzebiusza oraz powstaniu kolejnych konwentów na terenie Węgier. Po latach wznowiono starania o zatwierdzenie papieskie i oficjalne nadanie reguły.

Następne ważne wydarzenia w historii paulińskiego zakonu to śmierć bł. Euzebiusza wśród współbraci (1270 r.), kontynuacja starań o papieskie zatwierdzenie zakonu i ostateczne już nadanie reguły przez legata papieskiego (1308 r.). Kroniki Zakonu Paulinów nie odnotowały informacji o cudach za sprawą Euzebiusza, natomiast jego głównym „cudem” było zjednoczenie węgierskich eremitów, założenie klasztoru na górze Pilis i umocnienie nowej prowincji. Dziedzictwo Euzebiusza przejęli z powodzeniem jego uczniowie, wśród których najbardziej znany był bezpośredni jego następca bł. Benedykt – inicjator powstania wielu nowych konwentów.

Przebywający na Węgrzech legat papieski, kardynał Gentilis, posiadający szeroko zakrojone upoważnienia, po stwierdzeniu bujnie rozwijającego się życia zakonnego paulinów – 13 grudnia 1308 r. wydał oficjalny dokument o papieskim zezwoleniu na działanie nowego zakonu i nadał zmodyfikowany wariant reguły augustiańskiej, przystosowany do życia kontemplacyjnego, a następnie innym dokumentem zezwolił paulinom na ułożenie własnych konstytucji zakonnych. W 1328 r. paulini otrzymali zgodę od papieża na wybór generała zakonu. Tak właśnie wszedł w życie realizowany pół wieku wcześniej plan, którego twórcą był bł. Euzebiusz – i dlatego można go uznać za założyciela Zakonu Paulinów na Węgrzech, który zapoczątkował bujny rozwój paulinów na terenie całej Europy Środkowej (m.in. w Chorwacji).

Do Polski paulini przybyli w roku 1382 za sprawą króla Ludwika Węgierskiego, kiedy książę Władysław Opolczyk wybudował im na Jasnej Górze klasztor i kościół, gdzie umieścił znany obraz Matki Boskiej. Pierwszy konwent pauliński na ziemiach polskich ufundowany został w 1382 roku (krakowski klasztor na Skałce ufundował w 1479 r. Jan Długosz) i szybko zyskał wielką sławę dzięki częstochowskiemu obrazowi Matki Bożej. Wraz z upadkiem Zakonu Paulinów na Węgrzech to właśnie Jasna Góra, jako sławne sanktuarium pielgrzymkowe, przejęła rolę najważniejszego paulińskiego klasztoru. Bł. Euzebiusz otoczony jest wielkim kultem we wszystkich polskich konwentach paulińskich, o czym mogą świadczyć dzieła dawnego malarstwa zachowane na Jasnej Górze.

Iwona Skrzypczyk-Gałkowska

REFLEKSJE O PRZEKŁADZIE LITERACKIM I ELEMENTY OBCEJ KULTURY W TWÓRCZOŚCI LUDMIŁY MARJAŃSKIEJ

(część druga)

Ludmiła Marjańska stosowała w translacji odmianę przekładu zwaną przekładem wyłobcowanym – strategię tłumaczenia, która okazała się tożsama ze strategią pisania będącego odmianą przekładu – przenosiła egzotykę kultury wyjściowej w twórczość oryginalną, przez co przybliżała polskiemu czytelnikowi egzotyczną i w zasadzie niedostępną dla niego w czasach PRL kulturę amerykańską. Poznała ją dobrze w czasie pobytu stypendialnego w Stanach Zjednoczonych w latach 1960-1961, który zaowocował bagażem wrażeń, wspomnień i refleksji wynikających między innymi z obserwacji różnic kulturowych między Europą Wschodnią i Polską a Ameryką Północną i USA. Pisarka wykorzystała je, między innymi popularyzując wśród młodych czytelników wiedzę o życiu amerykańskich Indian. W roku 1962 w czasopiśmie dla dzieci i młodzieży ukazały się teksty osnute na wspomnieniach z pobytu w Stanach Zjednoczonych¹. Marjańska prezentowała w nich polskiej młodzieży świat amerykańskich czerwonoskórych. Barwnie zrelacjonowała wygląd krajobrazu Arizony, z zachwytem podkreślając rozmiary i kolorystykę Wielkiego Kanionu Kolorado. Używała przy tym czasami słownictwa charakterystycznego dla kultury indiańskiej, jakby osławiając polskiego czytelnika z mało znanymi wówczas wyrazami, i tłumaczyła je, na przykład: „ruiny starych, indiańskich pueblós – dużych budowli, wykutych głęboko w stromych ścianach Wielkiego Kanionu” lub „[...] pięć czy sześć kółek zwanych »hoop«, czyli obręcz”².

Podobny sposób malowania egzotycznej dla Polaków kultury amerykańskiej wykorzystała Marjańska w opublikowanych w 1967 roku krótkich opowiadaniach *Winky, mały Indianin* i *O kowbojach z Kolorado*³. Wyzyskała tu perypetie bohaterów do zapoznania czytelnika z kulturą Indian i kowbojów, przyrodą i historią egzotycznej Ameryki Północnej. Z książeczki *O kowbojach z Kolorado* młody odbiorca mógł uzyskać informacje o wyglądzie amerykańskiego *rancho* i jego mieszkańców oraz o typowych elementach krajobrazu i kultury. Autorka wprowadziła słownictwo używane na określenie przedmiotów czy zjawisk obcych lub mało znanych polskiemu czytelnikowi. Przykładem może być opis ubioru kowboja: „[...] młody mężczyzna w kowbojskim sombrero, w szerokich chaparajos [tu Marjańska umieściła przypis: „skórzane spodnie kowbojskie”] z brązowej skóry, w butach na wysokim obcasie. Pod szyją miał fantazyjnie zawiązaną kolorową chustę” (s. 6). W treści opowiadania pojawiają się nazwy amerykańskich stanów (Karolina/Północna Karolina, Arizona i Wisconsin), miasto Denver (w przypisie: „stolica stanu Kolorado w USA”, s. 18), co pozwalało na zaznajomienie młodego polskiego czytelnika z nowym słownictwem z zakresu geografii obszaru niedostępnego wówczas przez reżim komunistyczny.

1 L. Marjańska, „Biała Chmura” z *Kanionu Kolorado*, Wspomnienia z podróży pani Ludmiły Marjańskiej na podstawie rozmowy zapisała Z. Okoniówna, „Świat Młodych. Gazeta Harcerska” 1962, nr 27 (1082), s. 1-2; Tejże, *O Indianach dawnych i współczesnych*, „Płomyczek. Dwutygodnik dla dzieci” 1962, nr 10, s. 272-275.

2 L. Marjańska, „Biała Chmura” z *Kanionu Kolorado*...

3 L. Marjańska, *O kowbojach z Kolorado*, il. D. Konwicka, Biuro Wydawnicze „Ruch”, Warszawa 1967; Tejże, *Winky, mały Indianin*, il. Z. Darowska, Biuro Wydawnicze „Ruch”, Warszawa 1967.

Słowo „stan”, jak i słowo „Karolina” autorka opatrzyła wyjaśnieniami wewnątrztekstowymi bądź w przypisach, na przykład: „[...] tak się nazywa stan [...] – stan Północna Karolina” (s. 4).

W okresie gdy powstawały opowiadania Marjańskiej o tematyce amerykańskiej, w komunistycznej Polsce mógł być znaczny popyt na prozę dla młodych odbiorców o tematyce podróżniczej czy właśnie indiańskiej, gdyż w latach wcześniejszych twórczość tego typu była wycofana z obiegu. Jak zauważyła Halina Skrobiszewska: „W latach stalinowskich [...] wytworzył się swoisty obieg nieoficjalny, koleżeńsko-domowy, w którym krążyły książki na skutek selekcji z bibliotek wycofane, zwłaszcza powieści indiańskie, przygodowe i podróżnicze [...]”⁴. Badaczka zaznaczyła też, że w latach sześćdziesiątych literatura dla dzieci i młodzieży (głównie powieść obyczajowa) przeżywała swoisty kryzys moralny, który skutkowałam osłabieniem podstawowych wartości moralnych; deprecjonowano dobroć, filantropię, podważano wzorzec tradycyjnej rodziny. Na tym tle „indiańskie” opowiadania Marjańskiej, przedstawicielki pokolenia pisarzy urodzonych po 1920 roku, stają się reprezentatywne dla tak zwanej „nowej prozy”, która opiera się o tradycje dwudziestolecia międzywojennego, zwłaszcza w sposobie kreowania bohatera i prezentowania jego motywacji.

W swojej twórczości oryginalnej Marjańska przybliżała kulturę amerykańską także dojrzałym polskim czytelnikom. Nie była w tym odosobniona. Jak dowodzą badacze, Stany Zjednoczone jako miejsce akcji pojawiały się w polskiej literaturze⁵; na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych do głosu dochodzi tu żywioł autobiograficzny⁶, owocujący między innymi w postaci wypowiedzi eseistyczno-wspomnieniowych, na przykład *Widzenia nad zatoką San Francisco* Czesława Miłosza z 1969 roku. Wspomnieniowe są też źródła debiutanckiej powieści Marjańskiej dla dorosłych *Powrócić do miłości*⁷, której akcja rozgrywa się w przestrzeni Stanów Zjednoczonych. Widoczne są ślady podobnej tendencji pisarskiej co w twórczości dla dzieci. Nasycenie książki wieloma informacjami o charakterze topograficznym oraz chętnie wprowadzanie przez pisarkę słownictwa angielskiego w pisowni oryginalnej, miało na celu jak najwierniejsze odmalowanie wielokulturowego środowiska naukowego, którego dotyczy fabuła, jak również umożliwienie polskiemu czytelnikowi odbycia wraz z główną bohaterką podróży po Ameryce. Dla zachowania realizmu Marjańska przedstawia USA jako „*America the Beautiful*”, czyli „Piękną Amerykę”, państwo bogactwa i szczęścia (s. 123). Wrażliwy na piękno natury narrator *Powrócić do miłości* dba o dokładność opisu przyrody amerykańskiej, posługując się zapożyczeniami z języka angielskiego i fachowymi nazwami gatunków, by lepiej oddać specyfikę tamtejszej roślinności:

[...] w ogrodach sadziło się kamelie, które okrągłymi, płaskimi kwiatami osłaniały drewniane ściany domów i były bardzo praktyczne, *indeed*. Buggenvilla była jeszcze lepsza, pięła się wysoko, spływając masą czerwonych kwiatów. Tak, przyroda była tutaj wspaniała: krzaki rododendronów obsypane różowymi kwiatami, dywany azalii, drzewa *dowoods* kwitnące białą, trawa, na której można siadać, kłaść się w słońcu. W parkach było tutaj niewiele ławek, alejki dla pieszych też były zbyteczne. Amerykanie jeździli po arboretum samochodami, od czasu do czasu przystawali podziwiając

4 H. Skrobiszewska, *Literatura dla dzieci i młodzieży*, [w:] *Słownik literatury polskiej XX wieku*, red. A. Brodzka i in., Ossolineum, Wrocław-Kraków, s. 564.

5 K. Tołczyńska Dietrich, *Amerykańsko-polskie związki*, [w:] *Literatura polska. Przewodnik encyklopedyczny*, red. J. Krzyżanowski, t. 1, Warszawa 1984, s. 10-12.

6 Por. S. Burkot, *Literatura polska po 1939 roku*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2007, s. 289-290.

7 L. Marjańska, *Powrócić do miłości*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1971 (drugie wydanie 1972).

przez okienko wozu kwitnący właśnie okaz [...] (s. 10).

Potwierdzeniem autentyczności zawartych w *Powrócić do miłości* reminiscencji z osobistej podróży Marjańskiej do Stanów Zjednoczonych były *Zapiski amerykańskie* (zwane też *Notatkami amerykańskimi*), które publikowane były w pismach kulturalno-literackich w latach 2001–2004 oraz po śmierci autorki⁸. Nie pełniły one jednak roli popularyzującej kulturę amerykańską wśród Polaków w takim rozumieniu jak teksty wcześniej zaprezentowane, bo ukazały się w czasach długo po upadku komunizmu, kiedy zachodnia cywilizacja nie stanowiła już dla Polaków nieznanego obszaru; stanowią kontekst do amerykańskiej twórczości Marjańskiej.

Późniejsza twórczość prozatorska⁹, zarówno dla dorosłych, jak i dla młodego czytelnika, zawiera podobne chwytły, motywy i tematy odwołujące się do lingwistycznej praktyki i podróżniczych doświadczeń Marjańskiej. Niezależnie od wieku prawie wszyscy główni bohaterowie książek pisarki z Częstochowy posiadają dobrą znajomość języków obcych lub się ich uczą, potrafią stosować łacińskie sentencje, a w narracji pojawiają się obcojęzyczne wyrazy i cytaty.

Praca twórcza Ludmiły Marjańskiej, zarówno oryginalna, jak i przekładowa, spotkała się z uznaniem środowiska. W roku 1993 została wybrana prezesem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Tuż po wyborze zaskoczona powiedziała:

Nigdy nie myślałam o kandydowaniu na to stanowisko, gdyż byłam przekonana, że prezesem Stowarzyszenia powinien być [...] ktoś z nazwiskiem. Ktoś reprezentujący sobą środowisko pisarskie. [...] Ale może właśnie przyszedł czas ludzi trochę z zewnątrz, takich jak ja – którzy nigdzie poza Związkiem Literatów nie należeli, którzy nie reprezentują sobą żadnej siły politycznej¹⁰.

Jako prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich Marjańska jasno i zdecydowanie określiła swoje zamierzenia i cele, wśród których znalazły się między innymi: dostęp do książki i poszanowanie autora¹¹, wypracowanie prawa autorskiego, działania zmierzające do przywrócenia

8 L. Marjańska, *Notatki amerykańskie. Spotkanie nad Missisipi*, „Arkusz” 2001, nr 6; Tejże, *Notatki amerykańskie. Utab czyli Mormoni* [fragm. książki przygotowywanej do druku], „Aleje 3. Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy” nr 38, marzec-kwiecień 2002; Tejże, *Przylot – Kennedy Airport*, „Aleje 3. Kwartalnik Kulturalny Częstochowy” nr 42, kwiecień-czerwiec 2003; Tejże., *Zapiski amerykańskie* (fragmenty), „Migotania. Przejaśnienia” 2009, nr 1 (22); Tejże, *Zapiski amerykańskie* (fragmenty), „Wyspa” 2008, nr 4; Tejże, *Zapiski amerykańskie. Biała Dom i otoczenie*, „Arkusz” 2001, nr 5; Tejże, *Zapiski Amerykańskie. Hotelowe refleksje*, „Aleje 3. Kwartalnik Kulturalny Częstochowy” nr 44, październik-grudzień 2003; Tejże, *Zapiski amerykańskie. Nieoczekiwane spotkania*, „Arkusz” 2001, nr 4; Tejże, *Zapiski amerykańskie. Spotkania z malarstwem w... Ameryce*, „Aleje 3. Kwartalnik Kulturalny Częstochowy” nr 45, styczeń-marzec 2004; Tejże, *Zapiski amerykańskie. Starość*, „Arkusz” 2001, nr 3; Tejże, *Zapiski amerykańskie. Turban Hindusa*, „Arkusz” 2001, nr 11.

9 W kolejności chronologicznej: L. Marjańska, *Stopa trzeciej Gracji*, Czytelnik, Warszawa 1980; Tejże, *Pierwsze śniegi, pierwsze wiosny*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1985; Tejże, *Życie na własność*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1988; Tejże, *Zakochany zuch*, il. J. Bohdanowicz, Nasza Księgarnia, Warszawa 1989, (drugie wydanie 1997). Tejże, *Pimpinella i Tatarzy*, Fundacja „Książka dla dziecka”, Warszawa 1994; Tejże, *To ja, Agata*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1997.

10 *Stowarzyszenie żyjących poetów. Z Ludmiłą Marjańską, prezesem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich rozmawia Marcin Piasecki*, „Polityka” 1993, nr 34 (1894), s. 10.

11 *Bez ludzi nie istnieje. Rozmowa z Ludmiłą Marjańską, poetką, prezesem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich*, rozm. S. Stanik, „Inspiracje” 1993, nr 15/16, s. s. 20, 23. Wywiad ten ukazał się także pod tytułem *Bez ludzi nie istnieje. Rozmowa z Ludmiłą Marjańską, poetką, prezesem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich*, rozm. S. Stanik, „Myśl Polska” 1993, nr 22 (1128), dod. „Myśl Polska z Książką”.

„funduszu martwej ręki”¹², walkę o czystość języka¹³, obronę bibliotek i czytelni jako głównych instytucji w ruchu czytelniczym¹⁴, wreszcie – poprawę stanu literatury polskiej i dbanie o ułatwienia w wydawaniu wartościowych książek¹⁵. Cele, które sobie postawiła jako prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, były w pełni zgodne z dyrektywami przyjętymi przez delegatów podczas III Walnego Zjazdu Delegatów Stowarzyszenia Pisarzy Polskich¹⁶. Pełniąc funkcję prezesa Stowarzyszenia, Marjańska dbała o popularyzację polskiej literatury za granicą¹⁷, na przykład w czeskim Cieszynie czy na Zaozlu, gdzie odbywała spotkania z Polonią¹⁸. Brała udział w pracach komisji Konkursu Literackiego dla Polaków na Ukrainie¹⁹. Uczestniczyła w wielu zagranicznych zjazdach, debatach, na przykład: w Kongresie Pisarzy Europejskich²⁰ czy w szwedzkim Centrum Pisarzy Nadbałtyckich w Visby na Gotlandii²¹. W związku z owocną współpracą z władzami Przemysła odwiedziła Lwów. W 1996 roku, po trzech latach piastowania zaszczytnej funkcji prezesa Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Ludmiła Marjańska zrezygnowała ze stanowiska. W wywiadzie, jakiego udzieliła w 1997 roku, tak uzasadniła tę decyzję: „Wydawało mi się, że pełnienie funkcji przewodniczącej nie godzi się z reklamowaniem własnej twórczości. Teraz wróciłam do pisanie wierszy [...]”²². Rzeczywiście, twórczość Marjańskiej „wybuchła” po 1999 roku. Wydała kolejne zbiory wierszy własnych i przełożonych, trzy powieści dla młodego czytelnika, wspomniane *Zapiski amerykańskie*. Przetłumaczyła dwa utwory prozatorskie. Wiele utworów poetyckich oryginalnych i tłumaczonych opublikowała w czasopismach, antologiach i książkach prozatorskich²³.

Dla pamięci o Ludmile Marjańskiej koniec roku jest szczególnie – 26 grudnia minie kolejna (w 2020 roku 97.) rocznica urodzin, a 17 października piętnasta rocznica śmierci tej niezwykle wszechstronnej autorki. Warto podtrzymywać pamięć o pisarce i tłumacze pochodzącej z Częstochowy, zwłaszcza że badacze, krytycy i recenzenci stosunkowo rzadko wypowiadali się na ten temat, a czasem nazbyt krytycznie niż na to zasługiwała.

12 Wydania pisarzy nieżyjących, z wygasłymi prawami autorskimi – przyp. I.S.-G.

13 *Wszyscy mówimy jednym językiem. Rozmowa z Ludmiłą Marjańską, prezesem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich*, rozm. J.R. Kowalczyk, „Rzeczpospolita” 1993, nr 133.

14 Marjańska podkreślała dużą rolę bibliotek w upowszechnianiu czytelnictwa także w wywiadzie: *Wiersze dla dzieci – czy dla dorosłych? Rozmowa z Ludmiłą Marjańską, prezesem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich*, rozm. G. Leszczyński, „Guliwer” 1993, nr 5(13), s. 21.

15 *Stowarzyszenie żyjących poetów. Z Ludmiłą Marjańską, prezesem SPP, rozmawia Marcin Piasecki*, „Polityka” 1993, nr 34 (1894).

16 MT, *Z życia SPP Ludmiła Marjańska nowym prezesem SPP*, „Przegląd Literacki” 1993, nr 6 (27), s. 15.

17 BR, *Prezes SPP we Lwowie*, „Gazeta Lwowska” 1994, nr 9 (85), s. 6; L. Marjańska, *Polsko-niemieckie spotkania*, „Akcent” 1995, nr 3/4, s. 172-174; Mik., *Wizyta starszej pani*, „Życie Przemyskie”, 1994, nr 27, s. 6; Mówi Ludmiła Marjańska, prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, „Rzemieślnik” (Tygodnik Rzemiosła Polskiego) 1995, nr 18, s. 7.

18 Zob. F.B. [Franciszek Bałon], *Do Karwiny po książkę*, „Głos Ludu” (Gazeta Polaków w Republice Czeskiej) 1998, nr 142, s. 2.

19 L. Marjańska, *Bez ojczystego języka żyć nie sposób*, „Sycyna” 1996, nr 30, s. 9; A. Musiał, *Samą radością jest radość*, [b.m.r.w.]; J. Pawlikowski, *Final za nami*, „Dziennik Częstochowski” 1997, nr 197, bs.; T. Piersiak, *Tysiąc wierszy*, „Gazeta Wyborcza w Częstochowie” 1997, nr 273 (1936), s. 3; J. Woś, *Magdaleny górą*, [b.m.r.w.]; J. Woś, *Podróże małe i duże*, „Nowiny” 2002, nr 16 (15 662), s. 19; J. Woś, *Po pół wieku absolutnego milczenia. Wyjście z ciemności*, „Nowiny” (Magazyn) 1994, nr 121 (13744), s. 4.

20 L. Marjańska, *Jeszcze jedno wspomnienie*, „Aleje 3. Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy” nr 15, maj-czerwiec 1998, s. 3.

21 J. Krzemiński, *Szkic biograficzny...*, [w:] Marjańska L., *A w sercu pełnia. Wybór wierszy*, wybór J. Krzemiński, wstęp M. Baranowska, Świat Książki, Warszawa 2003, s. 249.

22 *Wiersze w mojej głowie*, Z Ludmiłą Marjańską rozmawia T. Piersiak, „Gazeta Wyborcza w Częstochowie” 1997, r. 7, nr 1.

23 Zob. E. Rajewska, *Domysł portretu. O twórczości oryginalnej i przekładowej Ludmiły Marjańskiej*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2016, s. 253-278.

Bogdan Knop

MIASTO POMIĘDZY POCZĄTKIEM I KOŃCEM

Drugi, po *Sygontce*, tomik wierszy Aleksandra Wiernego jest podobnie jak poprzedni objętościowo niewielki, ale wagi zdecydowanie ciężkiej. *Sygontka* – debiut poetycki autora, doczekała się nominacji do nagrody „Orfeusza” (ściśle finał) oraz wielu pochlebnych, by nie rzec entuzjastycznych, recenzji. Warto przywołać w tym miejscu i polecić czytelnikom tekst zamieszczony w numerze 50. „Galerii” *Poeta nadgryza prozaika?* autorstwa Arkadiusza Frani. Omawiany tomik zachowuje ton i poziom swego poprzednika, choć, co oczywiste, odmienne są realia. Te kilka słów, które poświęcam *Częstochowie*, nie pretendują do recenzji, narodziły się jako wynik wsluchiwania się w melodykę czytanych wierszy i z namysłu nad nimi. Czy okażą się przydatne? Życzylbym sobie.

Częstochowa Aleksandra Wiernego jest opowieścią wędrowca, który odzegnał się od celu swej wędrówki, nie chce go i głośno się mu sprzeciwia. A jednak nosi, jako insygnia swojego losu, płaszcz stargany wiatrem i deszczem, schodzone sandały oraz zmierzwioną brodę (co się jednak nie zgadza, bo broda Poety jest zadbana). Ale jak zawsze o wszystkim decyduje bystrość spojrzenia przenikającego tkaninę czasu i przestrzeni.

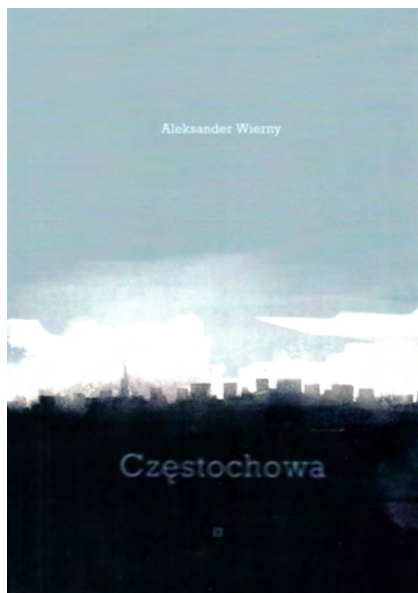
Oto początek – wzrok odnajduje ulicę (właściwie aleję) gdzieś w początku lat osiemnastych. Zaczyna się całkiem niewinnie:

Na wysokości Domu Frankego, ale po przeciwnej stronie Alej, u zbiegu
Z ulicą Piłsudskiego, opieram się o ścianę kamienicy.
(*Finisz*)

Tak zwykle bywa na początku – plecy oparte o ścianę kamienicy na rogu, by potem z podmiotem lirycznym przenosić się w czasie, choć wciąż w tej samej okolicy, wracać do czasów kilka lat później, mieszać się z pielgrzymami, jeść zapiekankę i wciąż być początkiem, zapowiedzią samotnego finiszu:

Wciąż jeszcze głodny, jeszcze nie wiedząc, że już zawsze będę krążył po
Alejach, lecz nigdy nie potraktuję ich jak pątnicy – jak finiszu, ostatniego
Wysiłku tuż przed metą.
(*Finisz*)

Potem czas staje się nieistotny. W środku, pomiędzy początkiem i końcem, jest miasto osadzone tylko w szczególe przestrzeni, do którego czas, jak się zdaje, nie ma dostępu:



Wracamy do miasta, obcego miejsca,
 W którym mieszkamy (ja tu też umrę),
 Strumienie płyną rurami pod spodem,
 Niesie nas nierdzewny nurt rozmowy.
(Wśród rzeczy z rdzy)

By ruszyć w tę drogę przez miasto, którą za sprawą autora lub wbrew niemu, wytyczyły lęk i zdziwienie, z pamięci przywołuję strofy motta powieści *W drodze* Jacka Kerouaca (pochodzącej z czasów, zauważmy, gdy Poety nie było jeszcze na świecie): „Dziś nie robię już planów / nie mam spotkań z kimkolwiek / z uwagą badam miasto”. A może to nie lęk, tylko ból i zdziwienie, oba nanizane na nitkę codzienności, w drobnych szczegółach odbite i zanurzone w otchłani pustki? Niech to będzie dziewczyna na mrozie z wiersza *Każdy drąży* albo przebiegający drogę jeź z *Muzyki miasta* czy wreszcie próżnia dopadająca nas w salonie fryzjerskim *Barbershop*. Niby nic wielkiego – codzienność, zwykłość, powszedniość, ale mocą sztuki, zaklęciem słowa spotęgowana, a czasem wręcz spotworniała jak w wierszu *Ogromne odbicie*:

Patrzę powyżej, zbliżam twarz do okna,
 Bo czekam, aż za szybą pojawi się inna,
 Wielka twarz
 Pamiętam ją z czasów, kiedy było dobrze,
 Kiedy wszystko płynnie krążyło
 Na swoim miejscu.
 Zbliżam jeszcze bardziej, naciskam nosem,
 Ale widzę tylko swoje oczy,
 Ogromniejące w odbiciu.
(Ogromne odbicie)

Koniec jak zwykle rozmywa się na brzegu początku, tuż za miastem, a czasem o wiele dalej, ale zawsze w podróży: w autobusie, w samolocie, pieszo. Rozległe przestrzenie nie mogą poszerzyć ani naszego ciała, ani ducha. Wszelka próba, jakikolwiek zamach, żadne fotografowanie nie pomogą temu „Ja”, które nosimy w sobie, ani go nie zamażą. Pozostaną tylko skrawki wrażeń, rzut oka w ciemność, wyrwana z kontekstu obserwacja. Więc niech chociaż dudni niewyraźna cisza zawarta w ostatnich wersach:

Niczego lepszego już nie wymyślimy
 Niż religia tymczasowego pobytu tu,
 Ciągłe pomiędzy startem i lądowaniem,
 Na zawsze, czyli jak zawsze na chwilę.
(Nie lądujemy!)

Pomyślałem o tej książce, że jest jak rym zaciągnięty między dwiema wieżami, z długą ulicą pośrodku. A potem przyszło mi do głowy, że przylatującemu skądś czasem może wydawać się, jakby lądował w okolicach Jasnej Góry. Poza czasem, wiarą, w tym miejscu – pomiędzy.

(grudzień 2020 r.)

Aleksander Wierny, *Częstochowa*, Wydawnictwo Fundacja Duży Format, Warszawa 2020.

Małgorzata Nowakowska-Karczewska

NAMIĘTNOŚCI



I

„Natura stawia żądania. Odmówić? Zbrodnia!”
(Serlon z Wilton)

W świecie, w którym wszystko, ludzki żywot także, bezpowrotnie przemija – „Bieżą niewrócone lata” – pisał Daniel Naborowski – niewiele jest chwil, które pozwalają zapomnieć tę smutną konstatację. Wielbiący zmysłowość Horacy nawoływał w jednej z pieśni, młodych zwłaszcza, do korzystania z uroków życia, uprawiania miłości, zaspokajania cielesnych „apetytów”:

„(...) szukaj przygód (...)
baw się (...) kochaj i szalej”.

Gaszenie „ogniów cielesności” nie jest wszak potrzebą tylko młodych, wystarczy przytoczyć fragment sielanki *Żeńcy* Szymonowica:

„I lata nie uskromią: zarówno szaleje,
I ta, co na świat idzie, i ta co siwieje”.

Poglądy czy obyczaje dotyczące miłości erotycznej, jak każdej innej dziedziny ludzkiego życia, bywały różne i zmieniały się wielokrotnie.

Jedni, jak choćby znany ongi medyk Kurcusz, twierdzili, iż „rozkosze miłosne i odchód soku najistotniejszego z naszych humorów są tak przyzwoite naturze, jak chęć jedzenia i picia”. Inni głosili wyższość miłości wolnej od pierwiastka zmysłowego i krytykowali tych, których „mądrość zesła w lędźwie” (Sarbiewski). Sebastian Klonowic mniemał, iż z nadużywania uciech cielesnych biorą się „bohaterów obłądy, stąd nawet i bogów szaleństwa, takie zbrodnie popełnia miłość, gdy chucią się staje”. A tymczasem

zdaniem Jędrzeja Śniadeckiego zaspokajanie naturalnych popędów sprzyja zdrowiu, albowiem „utrzymuje całe systema mięsne w czynności i natężeniu, zatem umacnia je”. Uległość wobec pokus ciała zdaniem Sebastiana Petrycego jest oznaką słabości człowieka, ze smutkiem stwierdzał tedy, że „na świecie pierwiej bywa ciało niż dusza, pierwiej żąda niż rozum”. Jan Andrzej Morsztyn śmiało przyznawał, iż rozkoszom cielesnym zawsze gotów jest ulec:

„Bym był jastrzębem, przepiórką ta pani,
Obaczyłbyś, jako świat, wnet jastrzęba na niej”.

Seks traktowany był często jako źródło grzechów, stąd różne zakazy, które rodziły lęki seksualne. Inwazja kiły w XV wieku przez wielu uznana została za sprawiedliwą karę za rozwiązłość.

Kasper Twardowski kwestionował zakazy, ze smutkiem stwierdzał:

„(...) człek za krótką swej pożądliwości
Rozkosz ma cierpieć wiecznych mąk srogości,
Miawszy wrodzone iskry cielesnego
Ognia”.

Cenzura kościelna potępiła jego *Lekcje Kupidynowe*, ów świetnie wykształcony poeta zaprzestał pisania „światowych” wierszy, poważną chorobę, która go dotknęła, uznał może za karę, dość że przyoblekł sutannę i w utworach poruszał inne treści.

Jan Andrzej Morsztyn także miewał krytyków swej twórczości, potrafił się wszelako zrzęcznie bronić. W *Przedmowie do fraszek wstydliwych* pisał:

„Ustąpcie, żartów kto nie znosi i wy,
Którym rumieniec zapala wstydlivy
Posłuszną gębę, u których nie wolny
Język i za grzech idzie wiersz swawolny”.

Jakub Teodor Trembecki także sprzyjał miłości:

„Jeszcze mi ta mądrość w serce nie wstąpiła,
Żeby też miłość jakim grzechem była”,

a i Hieronim Morsztyn twierdził, że człowiek powinien bez wyrzutów sumienia korzystać z uroków świata, przeciw: „je jemu k’woli Stwórca nadał”.

Wedle tej zasady niewątpliwie żył Stanisław Trembecki, o którym Niemcewicz pisał: „Epikurejczyk w najwyższym stopniu szedł zawsze w tę stronę, która mu najwięcej rozkoszy zmysłowości obiecywała”. Bo też i wiele mówiono i o paniach rozmaitej konduity, które widywano w mieszkaniu poety, i o jego nieopanowanej skłonności do hazardu, i o wynikających stąd długach, które spłacał monarcha.

Maciej Kazimierz Sarbiewski pouczał, jak wiele korzyści niesie uwolnienie się od pokus, bowiem „czystość cielesna zaostrza umysł, a znowu przeciwnie, rozwiązłość czyni go otepiałym”. Ideałem byłaby asceza, rzadko kto jednak potrafił dochować czystości. Daleka od ascezy była niewątpliwie atmosfera wielu dworów królewskich.

Nieoceniony gawędziarz Jędrzej Kitowicz w swych *Pamiętnikach* zanotował rozmaite pikantne „smaczki”, dotyczące swobody obyczajów Stanisława Augusta i jego otoczenia (a wieści miał pono z niezawodnych źródeł, widać każda epoka miewa takowe).

Dowiadujemy się tedy, że król lubił siadywać w pracowni Baciarellego i z upodobaniem przypatrywał się niewiastom pozującym malarzom, a czasem jakąś „sprowadziwszy do pokoju sypialnego sztychował (...) dłutem przyrodzonym”.

Siedliskiem zepsucia był niewątpliwie dwór carycy Katarzyny II. Niechętny jej wyrażnie Kitowicz zanotował: „lubieżna od młodości swojej aż do starości i tej przywary niepohamowany zbytek sprawił jej raka, który ją toczył w członku wstydlwym lat kilkanaście”. A zmarła „ruszona apopleksją”.

Alkowsy były też świadkami wszelkich okrucieństw, zbrodni, wystarczy przypomnieć tragiczne dzieje osobliwego czworokąta, króla Anglii Edwarda II, jego żony Izabeli, dumnej córki Filipa Pięknego, królewskiego faworyta Despensera i Mortimera, kochanka królowej.

Normy i poglądy w ciągu wieków zmieniały się, ale zwykle inaczej w sferze erotyki traktowano zachowania kobiet, inaczej mężczyzn. Kobiety pono wciągać miały panów w otchłań pożądań, występków, bowiem to do nich, jako do istot słabych, niestałych, diabeł miał swobodniejszy przystęp. Sarbiewski pisał przeto: „niczego nie należy bardziej unikać niż powabów kobiecych”.

Ale jak tu unikać, kiedy owe wdzięki tak wabią, intymna bliskość sprawia, że podoba się wszystko, o czym wiedział Morsztyn, frywolnie stwierdzając:

„A przedsię panny mają ciepłe udy
[Co wie, kto się ich dotknął bez obłudy] (...)
miech tylny wietrzyku dodaje”?

Zmysły panom trudno trzymać na wodzy, gdy kusi „kądziołka”, „włosiany gaik” czy ów „smaczny kąsek”, o którym pisał Daniel Naborowski:

„(...) choć smaczny ten kęs kryją panny,
Przecięm się ja go napatrzył (...).
I tak to oczom, ba, i rękom było
Przy nim się bawić, ba, i pieścić miło”.

Jednych gorszyła kobieta, która „poufałości przed ślubem nie broni”, inni woleli raczej za Stanisławem Trembeckim powiedzieć: „Nie bądź zbyt cnotliwa, będziesz doskonała”.

Niezbyt przychylny paniom Sarbiewski stwierdzał: „rzadko przebywa w kobietach mądrość”, stąd nieufnie traktowano panie, które zbyt śmiało wkraczały na pola przynależne mężczyznom. Oburzony Kitowicz ganił, że nawet do polityki zaczynały się mieszać, przysłuchiwały się bowiem obradom i... „Powoli zaczynają być poślicami na sejm (...), dają znaki swoim konfidentom przymilaniem ust lub marszczeniem czoła”.

Młodym, ładnym kobietom więcej wybaczano, od starszych, jak owa swacha, o której plotkowały bohaterki sielanki *Żeńcy*, oczekiwano raczej, by powściągnęły temperament:

„A psów niesyta, dosyć jej bywa każdemu,
Nie wybiegać się przed nią parobku żadnemu”.

Powodzenie swachy dziewczęta skłonne były przypisać sekretnym sposobom: „czary wszystko zmamiły”. Nie czarów być może było trzeba, ale... tu lepiej odwołam się do Owidiusza:

„W sztuce kochania uczeńsze
bywają dojrzałe damy (...).
Wiadome im są tajniki
miłości innym nieznane...
przykuwają nas do siebie
zwłaszcza przez pieszczot odmianę”.

Może to wyjaśnia trwałość uczucia, jakim Dianę de Poitiers obdarzył król Henryk II. Diana wprowadzała go w arkana sztuki miłosnej, gdy miał zaledwie 14 lat – ona kilkanaście więcej – przed jego ślubem z rówieśnicą Katarzyną Medycejską. Przy boku króla pozostała aż do jego tragicznej śmierci w wyniku rany odniesionej w turnieju rycerskim.

Panom wybaczano więcej, wszak poligamiści z natury, lubiący raczej zdobywać niż wiernie trwać przy jednej kobiecie, mieli prawo do swobody, nawet rozwiązłości. Od żon oczekiwali raczej, by były jak przywoływana choćby przez Klemensa Janicjusza Penelopa:

„Penelopy dwadzieścia lat wiernej mężowi
Dalekiemu, natrętny nie tknął żaden gach”,

sami chętnie, mimo zakazów, o których pisał Kasper Twardowski:

„Nie wolno panny w jej panieństwie tykać,
Nie wolno dowodów smutnych się przymykać,
Na mężatkę zaś snadź ani pozierać”

uwodzili cudze żony, własne zdradzali także z różnymi „amoratami”, „plugawicami”.

Panie tedy nie pozostawały dłużne, zawsze potrafiły znaleźć – jak owa pani z wiersza Zbigniewa Morsztyna – sposób, by okpić męża:

„Nasza pani przy panu drwi z swego galanta, (...)
Pan jej żartów pomaga i śmieje się z niego,
On tylko milczy, choć wie – wie i pani – na kim
Te żarty przysychają i kto tym prostakiem”.

Obie tedy strony, gdy zmysły się odezwą, potrafią skorzystać z okazji, o czym wzmianka w wierszu Jerzego Szlichtyngy:

„Często się mąż do panny służebnej omyli,
A pani miasto męża sługą się posili”.

Erotyczne przeżycia wymagają odpowiedniej oprawy. Wagę tych spraw doceniano bez wątpienia w haremie w pałacu Topkapi w Stambule, gdzie wiele godzin trwało przygotowanie i komnaty, i nałożnicy, z którą sułtan zamierzał spędzić noc. Noc stwarza

najlepszą atmosferę dla zmysłowych uniesień: „I te ogniste gwiazdy rozsiane po niebie / Świadkiem” – pisał Jan Kochanowski.

Najbardziej intymnym schronieniem jest łóżko. Babilończycy oddawali się ongi miłosnym uciechom w luksusowych łóżach z kości słoniowej i złota, w innych czasach słynne były florenckie i weneckie z hebanu i alabastru, z jedwabnym baldachimem. Posłanie równie mocno pobudzające wyobraźnię opisał Stanisław Herakliusz Lubomirski:

„Miękkimi rozkosz wyścieła naspami
Głowa w nich tonie”.

Mniej pewnym swoich seksualnych możliwości niż Jan Kochanowski, który przekonywał, iż podeszły wiek w tych sprawach bywa nawet atutem:

„(...) wszak wiesz, im kot starszy,
Tym, pospolicie mówią, ogon jego twardszy;”

polecano rozmaite zioła, trunki, co zgrabnie w wierszu ujął Daniel Naborowski:

„(...) po dobrym winie
Dogodzi się dziewczynie”.

Stosowano, często ze szkodą dla zdrowia, a nawet życia, afrodyzjaki. Elik sir miłosny z Tesalii był ongi pono szczególnie pożądanym (receptura niestety zaginęła), szaleństwa Kaliguli czy Nerona przypisywano jego nadużywaniu.

Uciekających się do tego rodzaju sposobów podnoszenia sprawności krytykował Wacław Potocki:

„Przypatrz się, jako grzeszą mężczyźni szkaradzie,
Zazdroszcząc na oborze bykom, koniom w stadzie.
Wymyślają potrawy, proszki, mocne soki,
Mało im białej płci...”.

Noc, łoże i... Wybornym znawcą uniesień, które w takiej scenerii rozegrać się mogą, był bez wątpienia Bolesław Leśmian:

„Nocą umówioną, nocą ociemniałą
Przyszło do mnie ciszką to przychętne ciało (...)
Lgnęło mi do piersi – ofiarnie pachnące,
Domyślnie bezwstydną i posłuszniejszą...”.



II

„Pasyja miłości wszystkim wrodzona”.
(Aleksander Paweł Zatorski)

Seks jest elementem życia, ale nie jego celem, spełnienie cielesnych pragnień to jeszcze nie miłość. Słynny ongi medyk Józef Struś pisał, iż „Miłość jest wzruszeniem zdolności duchowej zwanej pożądliwą, której siedlisko znajduje się w wątrobie” – częściej chyba w ślad za Janem Andrzejem Morsztynem powiemy:

„(...) – Cóż to ja za (...)
Gościnny afekt w sercu moim czuję?”.

A gdy już ów przemożny afekt zagości w sercu: „Ni gwałt, ni rozum tego nie wybije” – przekonywał Stanisław Herakliusz Lubomirski.

Pośród wielu namiętności jedynie miłość sprawia, że pragniemy żyć, poddać się jej nieprzemijającej władzy:

„...ty trwasz, wieczysta, jak strach, głód i zawiść (...)
nad wszystko wyniesiona, niepokonana
niczym i nigdy (...)
pierwotna, dzika potęgą miłości...” –

– głosił Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

„Próżno uciec, próżno się przed miłością schronić” – pisał Jan Kochanowski świadom, że siłę miłości trudno się oprzeć, ta bowiem nie omija nikogo, co potwierdzali inni poeci, choćby Daniel Naborowski:

„Nie dba miłość na świecie o wysokie stany,
O wielkie majątności, o ród zawołany,
Fraszka u niej posagi z wyprawą gotową
I król sielankę lubi, sielanin królową”.

Dobiegający czterdziestki król Władysław IV w czasie pobytu we Lwowie poznał młodzieńką Jadwiżkę Łuszkowską. Mieszczanki lwowskie powszechnym zdaniem miały jakiś niezwykły urok, nie oparł się też mu przystojny, obdarzony niespożytym temperamentem monarcha. „Zbytecznego może zamięłowania do przyjemności, które zmysłowymi zowią, a dla których niegdyś sam Jowisz zstępował na padół ziemski pod postaciami mniej godnymi ojca bogów i ludzi” – oceniał ktoś zgorszony postępowaniem króla. Jadwiga, zdaniem nieżyczliwych, omotała króla czarami, miała to być bowiem kobieta „pełna wiedźmowatych uzdolnień”. Uczucie okazało się trwałe, owocem związku był syn Władysław Konstanty, warto sięgnąć choćby do biografii Władysława IV, by poznać inne pikantne szczegóły.

Po sekularyzacji jezuitów strzałom Erosa uległ także Adam Naruszewicz, a rozplotkowana Warszawa komentowała miłosne perypetie księdza biskupa, który – także już nie młodzik – zakochał się w Magdalenie z Eysmondów Jezierskiej:

„Wstyd pocie w fioletcie
W cudzej kochać się żonie”.

Obdarzony gorącym temperamentem Naruszewicz, zdaniem Niemcewicza „bardziej Horacego niż brewiarz i ornaty kochał” – lat 20 pozostał wierny uczuciu do Magdaleny, którą w erotykach nazywał Korynną. Ubolewał przy tym, że lat tych było jedynie 20:

„Od nienawistnej życia mego prządki,
Na krótką rozkosz mając wiek przycięty,
Pod chmurnym niebem kwiat mój wziął początki
Oстрым świętości zamrozem przejęty.
Pod chmurnym dostał, i kiedy już schodził,
Twą się miłością, Korynno, odmłodził”.

Droga do zakochania obejmuje zwykle kilka faz. Najpierw chyba marzenia o wielkiej miłości, nieobce choćby bohaterce wiersza Rilkego:

„o tym, co nadejdzie: pełne treści,
inne, bujne, takie jak w powieści,
ryzykowne, rzadkie, nadzwyczajne”.

Potem pojawia się fascynacja wzrokowa, piękność kobiety robi czasem piorunujące wrażenie, o czym wspominał i Jan Kochanowski:

„(...) skoro (...) wzrok skłonię ku tobie (...)
drżę wszytek i bladnę”,

a także Cyprian Kamil Norwid, portretując Marię Calergis:

„Gdzie wnidzie i postawi stopę swoją,
Nie oglądają się ludzie zadziwieni,
Lecz jak stali wpierw, tak stoją”.

Niezwykle ważna jest tedy dbałość o atrakcyjność, o czym pamiętała niemłoda, acz skora jeszcze do amorów swacha, o której z upodobaniem plotkowały Oluchna i Pietrucha, bohaterki sielanki *Żeńcy*:

„A przedsię wymuskać się, przedsię z pstrokacinami
Czepeczek na głowie, przedsię fartuch z forbotami”.

Mniej urodziwe martwić się nie muszę, bo jak pisał Jan Andrzej Morsztyn, świetny znawca powabów kobiecych:

„(...) często miłość płocho
Upodobanie anizeli piękność kocha”.

Panów także, podobnie jak owego młodzieńca z wiersza Elżbiety Drużbackiej, uczucie potrafi odmienić:

„Niech będzie brutal z manier, z słowy nieostrożny,
Leniwy, niepojęty i nieochędożny,
Miłość go w ryzy ujmie, przerobi, wykrzesze,
Że na dzień trzykroć suknie oraz głowę czesze”.

W kolejnej fazie załotów włączyć się mogą oczy, posłańcy uczuć: „Jedno długie spojrzenie, ach, ileż potrafi” – wzdychał Jan Lechoń, a potem czas na dotyk, najszybszy, najbardziej bezpośredni znak porozumienia, zalecający się młodzian z sielanki Wincentego Reklewskiego „ściska (...) drobną rączkę w ogniste swe dłonie”.

Nie od rzeczy będzie teraz włączyć komplementy, jak pisał Sarbiewski „wielki jest związek wymowy z Wenerą” i rozmaite obietnice, choćby taką frazę z wiersza Sępa-Szarzyńskiego: „Co ty będziesz chciała, to się ze mną stanie”.

Wszystkie miłości, podobno nawet fałszywe, rodzą się z pocałunku, od zarania dziejów wierzone w jego magiczną siłę, przeto wielu, podobnie jak Morsztyn, marzy: „Chciałbym cię z dusze, dziewczę, pocałować”.

Na dworze Katarzyny Medycejskiej młode, wysoko urodzone damy wprowadzane były w arkana pocałunków tak samo jak w naukę haftu, gry na lutni czy tańca. Nieraz, z różnych względów, zakazywano pocałunków. Tyberiusz zabronił ich pono dlatego, iż uniknąć chciał epidemii opryszczki, Mussolini nakazał karać za całowanie się w miejscach publicznych, jedynie na dworcu, przy pożegnaniu można sobie było na takowe pozwolić, a stowarzyszenia kobiece gromko protestowały, gdy w filmie pojawiła się scena pocałunku.

Przyjemność i emocje, które budzą pocałunki, każą obiecywać sobie, że to wstęp do bardziej intymnej bliskości, bo przecież, jak pisał Jan Andrzej Morsztyn:

„Jest to mądrym zdaniem
Kiep, co całowaniem
Kontent, a dalszego
Nie uzna dobrego”.

Miłość zajmuje szczególne miejsce w życiu, zdawałoby się, że powinna być źródłem szczęścia, ale często, jak uczy doświadczenie, niesie strapienia, zwątpienie, żal: „Kto

kocha, ma niepokój wieczny” – przekonywał Jan Andrzej Morsztyn, a Hieronim Morsztyn doradzał: „Czujno strzeż Wenery, bo to pani płocha”.

Człowiek miewa wiele ciemnych stron, bywa, że kradnie cudzy majątek, myśli czy kobietę, stąd pojawia się, jak napisał Julian Tuwim:

„Najdziksz w duszy ludzkiej zwierzę,
Stugłowa hydra – podejrzenie”.

Rodzą się tedy w duszy różne nastroje, nadzieja, ale i zwątpienie, stąd frasunek, który w pięknej strofie zawarł Mikołaj Sęp-Szarzyński:

„Fortunna miłość, co z nadzieją bywa!
Ale piekielne ciężkości przechodzi,
Gdy z nią wątpliwość bojaźliwa chodzi”.

Nieufność, podejrzliwość rodzą zazdrość, nie zawsze uzasadnioną, niewielu zakochanych potrafi oprzeć się zwątpieniu. Reakcje w takich sytuacjach bywają różne. Tadeusz Soplica przysłuchiwał się rozmowie Zosi z Hrabią:

„(...) opily trucizną zazdrość,
Zdawał się obojętny, a pękał ze złości”.

Czasem sceny zazdrości są bardziej burzliwe, rani się słowami, krzywdzi się kochaną osobę, ulegając podszeptom własnej wyobraźni. Sytuację taką odnaleźć można w jednym z wierszy Bolesława Leśmiana:

„Zazdrość moja bezsilnie po łożu się miota:
Kto całował twe piersi, jak ja, po kryjomu?
Czy jest wśród twoich pieszczot choć jedna pieszczota,
Której, prócz mnie, nie dałaś nigdy i nikomu?”.

Zazdrości trudno się oprzeć, nawet jeśli uczucia nie są aż tak gorące. Bogusław Radziwiłł w liście do przyszłej żony, gdy dowiedział się, że Anna Maria koresponduje z innymi mężczyznami, napisał: „Kiedy bym WksM szczerze nie kochał, nie dbałbym o takie fraszki, ale że kocham, poruszyło to we mnie humory”. Anna Maria była córką Janusza Radziwiłła, po jego śmierci Bogusław został formalnym opiekunem panienki i postanowił ją poślubić. Anonimowy biograf księcia napisał: „książę nasz (...) uważając dość dojrzałe lata swoje, a potomka i dziedzica obszernych księstw swoich nie mając, a do tego, przypominając przeszłego życia występki, postanowił niedobrze dotychczas pohamowane natury upały świętego małżeństwa związkciem przytłumić”. Mariaż pozwalał Bogusławowi przyłączyć do swych dóbr niemały majątek Anny Marii, dlatego, nie szczędząc grosza, kilka lat wytrwale ubiegał się o dispensę. Małżeństwo trwało bardzo krótko, Anna Maria zmarła w połogu, Bogusław dwa lata po niej. Na córce pary Ludwice Karolinie wygasła linia Mikołaja Rudego.

Cierpienie bywa dotkliwsze, gdy zdrada jawna, a przestać kochać niewiernej nie można. Doświadczał tego rzymski poeta Katullus, który w bardzo intymnych, przejmujących lirykach opisał wszelkie emocje, które towarzyszyły mu od czasu, gdy

poznał Klodię – w wierszach nazywaną Lesbią – siostrę polityka Publiusza Pulchera Klodiusza:

„Moje serce tak jest zaćmione twoją podłością, Lesbio,
I tak się wyniszczyło przez swoją własną wierność,
Że już nie mógłbym dobrze ci życzyć, choćbyś się stała najlepsza,
I przestać kochać nie mogę, choćbyś nie wiem co uczyniła”.

Czasem łatwiej znieść wszelkie cierpienia, jakie niesie życie, niż trwać utratę kochanej osoby, o czym w jednym z sonetów wspomniał Szekspir:

„A gdy ciebie utracę, powiem, że z niedoli
Innych – najgorsza nawet aż tak mnie nie boli”.

Trudna bywa miłość nieodwzajemniona, zwłaszcza ta pierwsza, wspominał taką choćby w *Godzinie myśli* Juliusz Słowacki.

„Pierwszą i ostatnią była,
I najsilniejsza z uczuć, uczucia przeżyła”.

Ludwika Śniadecka, lat kilka od poety starsza, była niewątpliwie kobietą niepospolitą, o czym świadczy choćby jej związek z Michałem Czajkowskim, w różnych źródłach łatwo znaleźć takie wiadomości.

Niewzajemna miłość boli okrutnie, niszczy, a jednak człowiek nie potrafi wyrzec się choćby iluzji bliskości, zadaje sobie dodatkowe cierpienia, gdy kolejny raz wraca, by choć spojrzeć na ukochaną osobą obleganą przez grono adoratorów. Przejmujące wyznanie nieszczęśliwie zakochanego Cypriana Kamila Norwida pojawia się w wierszu *Czemu*:

„Próżno się będziesz przeklinał i zwodził,
I wiarołomił zawzięciu własnemu –
Powrócisz do niej – będziesz w progi wchodził
I drżał, że może nie zastaniesz?.. Czemu!”.

Niełatwo bywa i tym, których losy połączyły z kilkoma kobietami. W takiej sytuacji znalazł się choćby Zygmunt Krasiński. Delfina Potocka, wieloletnia ukochana, ale i przyjaciółka, której mógł się zwierzyć ze wszystkich cierpień egzystencjalnych, była adresatką i tego wiersza:

„Znasz, co namiętność? Czy ty wiesz, co piekło,
Gdy myśl jak skorpion w ogniu się przewraca,
Gdy serce kipi żądzą szczęścia wściekłą
I życie z życiem co chwila się skraca?”.

Nawet po wymuszonym nieco przez ojca ślubie z Elizą Branicką poeta pozostał wierny uczuciu do Delfiny, przysyłał jej w prezencie instrumenty – Delfina bowiem, jak wynika z różnych świadectw, pięknie grała – a nawet kołdrę z łabędziego puchu pokrytą jedwabną materią w kolorze wiśniowym, przywodzącą może na myśl jakieś intymne chwile.

Miłość miewa tedy rozmaite odcienie, ale warto chyba uwierzyć w słowa Franciszka Karpińskiego. Poeta zmarł wprawdzie jako leciwy stary kawaler, ale z jego pamiętników i korespondencji wynika, że podobał się kobietom, temperament miał spory, przeżył kilka romansów, czego ślady znajdujemy w jego erotykach:

„Trzeba się kochać, wszystko ci gada,
Co tylko żyje, co sobą włada,
Tymi prawami rządzi się wiecznie:
Trzeba się kochać, kochać koniecznie”.



Halina Poświatowska, *Wiersze. Gedichte. Стуху*, wybór i przekład Franziska Zwerg i Siergiej Moreino, Częstochowa 2020, wydano w serii Biblioteka Galerii.

35 wierszy Haliny Poświatowskiej w trzech wersjach językowych: polskiej, niemieckiej (przeł. Franziska Zwerg) i rosyjskiej (przeł. Siergiej Moreino). Twórcą starannej oprawy graficznej z wykorzystaniem fotografii Andrzeja Zembika jest Jacek M. Krasucki, druk – Drukarnia i Wydawnictwo „Gryf”. Książkę uzupełniają fotografie Poetki, udostępnione przez Zbigniewa Mygę. Wydanie tomu zostało dofinansowane ze środków Miasta Częstochowy. [B.S.]



Małgorzata Nowakowska-Karczevska, *Pasi koniki upiórkowane*, Częstochowa 2020, wydano w serii Biblioteka Galerii.

Zbiór tekstów (uzupełnionych i poprawionych), drukowanych na łamach „Galerii” w latach 2016–2020 oraz opowiadanie kryminalne, pochodzące z wcześniejszego okresu. Połączenie wątków w książce pozwala na wieloaspektowe ukazanie ludzkiej kondycji na przestrzeni wieków i uwypukla uniwersalność literatury. Autorska forma wydawnictwa podkreślona została rysunkami Autorki. Redakcja tomu i posłowie: Barbara Strzelbicka, skład i opracowanie graficzne: Jacek M. Krasucki. [B.S.]



Rafał Socha, *Spóźniony zrzut*, Wydawnictwo Memuar (www.memuar.pl), 2020, wydano w cyklu Antykwariat Czerwonego Tygrysa (tom 1).

Z noty katalogowej: Powieść (...) łączy zagadnienia historyczne ze współczesnością. Za sprawą niewielkiej domieszki fantastyki akcja biegnie dwutorowo: współcześnie i w połowie lat czterdziestych. Oba światy przenikają się, przy czym wątek historyczny oparto na epizodzie z dziejów zgrupowania majora Mariana Bernaciaka „Orlika”, niejako w kontrze do niesławnego tomiku z serii Biblioteka Żółtego Tygrysa. [R.S.]



Jan Ciesielski

ŚWIĄTECZNE REFLEKSJE

Do jasnej choinki dziś przybywamy,
w pamięci, jak kiedyś dzieci,
w jej cieniu się chowamy –
niech nam choinka świeci!

Wszystko już nam dziś wisi
– to znaczy – jest zawieszone,
jesteśmy też bardziej cisi
– nadzieje są przytłumione.

Z kolędą „W żłobie leży”,
tak nam się wydaje,
znowu ta sama grupa
do żłobu się udaje.

Kolędnicy najczęściej
(takie nastały czasy)
to są niby wybrańcy,
lecz przeważnie bez klasy.

Klęcząc na miękkich klęcznikach,
śpiewają gromkie hosanna,
patrząc, czy są kamery
i wizja jest opłacalna.

Lud bowiem, jak twierdzą znawcy,
kiedy się go upupi,
jest bardzo wierzący – w przekaz
albo po prostu – głupi.

Wśród krzątany codziennosc
miażdży świąteczny walec;
wypieki piękne na twarzach,
w piekarniku – zakalec.

Dziecięce, zwykle normalne,
złoszczą nas fanaberie,
ujawniane szczególnie
w każde świąteczne ferie.

Choinka zaś z czegoś zrobiona,
o co wiele dziś krzyku,
zamiast lasem pachnąca –
z drutu i plastiku.

I nie kartki świąteczne
od znajomych, rodziny,
a sztapowe slogany
w smartfonach się zagnieżdziły.

Dziś Boże Narodzenie,
podniosły czas opłatkowy,
często się staje pretekstem
okazjonalno-alkoholowym.

Na sztucznej choince wisi
to, co podoba się Chince:
pokemony, smoki, maskary
i dziwny osiołek, i aniołek do pary.

W czasie codziennym i w święta,
ludność dziś mi to przyzna,
w każdej dziedzinie panuje
niepodzielnie chińszczyzna.

Od wielu dni w telewizjach
świat świątecznie przybrany;
od reklam choinek, świecideł
co chwilę ekran – ubabrany.

A cieszy wszystkich niezmiennie,
od starca aż do dziecka,
polecana szczególnie
(wy)pożyczka świąteczna.

Splacać ją zacząć należy,
niech każdy zapamięta –
aż się nie chce wierzyć –
dopiero... po świętach!

W gazetkach zaś reklamowych
 świąteczny zawrót głowy:
 ozdoby świąteczne – filcowe,
 torby na prezenty – foliowe,

obrus i słoik świąteczny,
 i dalej, nie do wiary,
 jeszcze skarpety świąteczne
 i od razu dwie pary.

Holograficzny papier
 do pakowania prezentów,
 tasiemki, foremki, pudełka,
 bibułka i tytoń (na skręta).

Lizak świąteczny czekoladowy,
 domek z piernika, a w nim lampiony,
 figurki korzenne świąteczne
 i leki na nie w podręcznej apteczce.

Dla dziewczynek –
 świąteczna skakanka
 i zawinięte w folię
 żółtko-niespodzianka.

Już do zdobycia, częściowo ledowe,
 świąteczne oprawki okularowe.
 Na dalszy zaś zawrót głowy
 w złote gwiazdki papier... toaletowy.

Farmacja o klientach też dobrze pamięta,
 wiele nowych produktów poleca na Święta –
 chodzi o skutki świątecznego jedzenia:
 bóle, zaparcia i wszelkie swędzenia.

W TV program, co lepsze:
 krupniok czy serek pleśniowy?
 A wkrótce, takie są trendy,
 po chińsku będą kolędy.

Na telewizję znów kraczą,
 nie znudzi się jednak nikomu
 film, którym co roku nas raczą:
 „Kevin sam w domu!”.

Może Świat jeszcze się opamięta,
 trwać będzie w zgodzie nie tylko od święta
 i w Betlejem, i w Jerozolimie
 przywita ludzkość Bożą Dziecinę!

(Obecnie, po wielu latach,
 choć brzmi to niedorzecznie,
 znów rządzi tam jakiś Herod
 i jest tam niebezpiecznie!)



Copyright © TOWARZYSTWO GALERIA LITERACKA

Redakcja:

Barbara Strzelbicka (sekretarz redakcji), Bogdan Knop (redaktor naczelny),
Ida Jadwiga Łubińska, Olga Wiewióra, Arkadiusz Frania.

Stali współpracownicy:

Małgorzata Franc, Izabela Kołdej-Ptak, Małgorzata Nowakowska-Karczewska,
Alicja Nowak, Elżbieta Jolanta Gola, Janusz Jano Mielczarek, Marian Panek,
Andrzej Kalinin, Tomasz „Aztenty” Barański, Wiesława Owczarek, Jan Ciesielski, Anna
Jędryka.

Skład:

J.M.K., Jarosław Leszczuk (redaktorzy techniczni)

Druk:



Drukarnia Usługowa „Gryf”
ul. Garibaldiego 14 a
42-200 Częstochowa
www.gryf.czystochowa.pl

Printed in Poland.

Wydawca:



Towarzystwo Galeria Literacka
ul. Metlera 4
42-224 Częstochowa

Adresy e-mail do przesyłania materiałów w formie elektronicznej:

galeria.literacka@gmail.com

Krajowy Rejestr Sądowy nr: 0000545735 Regon: 360871693 NIP: 9492200168

Nr rachunku: mBank 06 1140 2004 0000 3302 7814 7608

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca i nie przechowuje.

W tekstach przeznaczonych do druku zastrzega sobie prawo do skrótów i zmian tytułów.

ISSN 2449-5328



Daniel Pielucha, „Babie lato”, 120/100, 2017 r.



Daniel Pielucha, „Porwanie Europy”, 200/180, 2019 r.